

Wszystko, co najważniejsze  
w dziennikach Mrożka

60

# PRZE KROJ

NR 38 3404 21 WRZEŚNIA 2010 CENA 4,95 ZŁ  
WWW.PRZEKROJ.PL w tym 7% VAT





## Wolny piątek. Długi weekend. Podróż życia.



## Nowy Touran. Gotowy na wszystko.

Nawet do siedmiu miejsc, gdyż Twoja rodzina w każdej chwili może się powiększyć. Maksymalna pojemność przestrzeni bagażowej 1989 litrów i aż pięćset kombinacji ustawienia foteli, ponieważ nigdy nie wiadomo, jak duże mogą być Wasze bagaże. Innowacyjne systemy wspomagające kierowcę, takie jak kamera cofania, czujniki parkowania czy Park Assist, który praktycznie sam parkuje, aby maksymalnie ułatwić Ci każdy manewr, jaki będzie trzeba wykonać. Dwustrefowa, automatyczna klimatyzacja Climatronic, bo pogoda może być różna. Dynamiczne i oszczędne silniki TSI i TDI w połączeniu z ekologiczną technologią BlueMotion, żeby ograniczając wydatki i dbając o środowisko nie rezygnować z radości jazdy.

**Nowy Touran. Przygotowany na wszystko, co może przynieść życie.**



Das Auto.

**PRZEKROJ**

zobacz w roku 1945  
Krakówie redaktor  
Jan Eli

### "Przekrój" w sieci:

Chcesz być z nami  
godziny na dobę?  
Najprostszego. Adres  
[www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl)  
na pewno znasz. Sporo  
tam dzieje.  
To zdecydowanie  
wszystko.



Prawdziż nasz  
profil w portalu  
społecznościowym  
Facebook. By go znaleźć,  
w wbudowaną weń  
wyszukiwarkę wpisz  
po prostu: tygodnik  
Przekrój. A potem, jeśli  
chcesz, dołącz do grona  
nad 18 tysięcy osób,  
którym podobają się  
nasze poczynania.



Chcesz zobaczyć, o czym  
redakcja na bieżąco  
donosi na Twitterze.  
To tu pojawiają się  
skawostki z tekstów,  
które dopiero powstają,  
wiekopomne chwile  
z życia  
Przekroju". Twittujemy  
niecodziennie, ale  
radością obserwujemy,  
gdy już 800 osób śledzi  
nasze informacje na  
[twitter.com/przekroj\\_pl](https://twitter.com/przekroj_pl).



Nad 2000 osób  
obserwuje doniesienia  
na Blipie.  
Prowadź nas tu:  
[przekroj.blip.pl](http://przekroj.blip.pl).

Pamiętaj – zawsze  
możesz do nas napisać.  
Na nasze e-maile  
czekamy pod adresem  
[redakcja@przekroj.pl](mailto:redakcja@przekroj.pl).

## W TYM TYGODNIU

### WYCZYŃOWO NIE PISZEMY...

...że premier Jan Krzysztof Bielecki wyjaśnił, na czym polega jedyny polski problem. Otóż: „Jedyna dziedzina, gdzie jesteśmy absolutnymi debilami, to piłka nożna”. Bo ten zdradziecki atak na urzędującego premiera budzi nasze najwyższe zdumienie.

...że mimo te kalumnie rząd mężnie stawia czoła problemom i nieugięcie trenuje. Nie widać? Bo nie robi tego na popis. Ale niech zwróci państwo uwagę na niedawny mecz piłkarski Bahrajn-Togo! Okazało się,

że pod Togo podszyła się niezidentyfikowana drużyna, czyli... cyt! Wiadomo, że tajemnica, ale o misternej intrydze polskiej dyplomacji i służb specjalnych szepać będą po wiek wieków na każdym orliku.

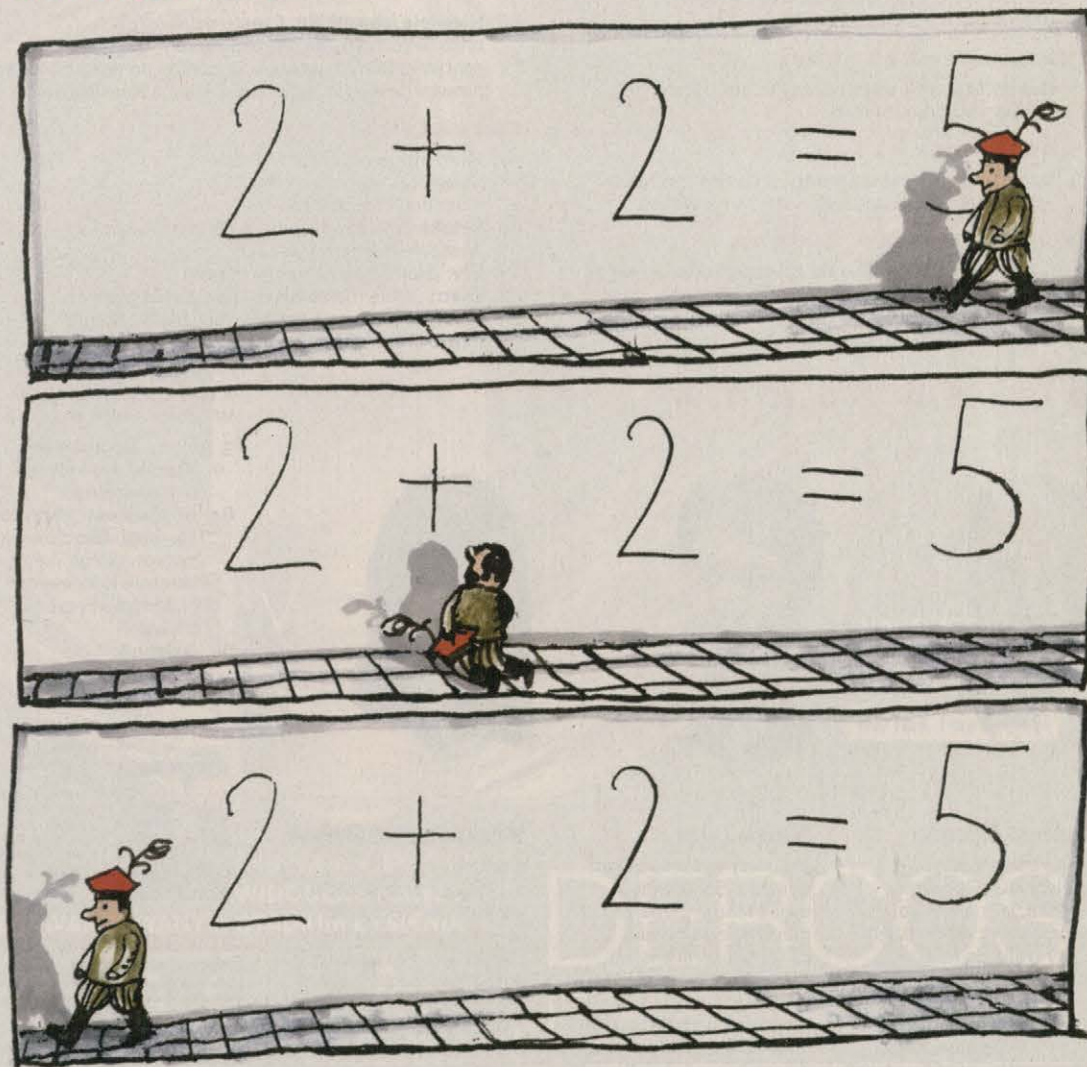
...że nie próżnuje też poseł Mirosław „Furda-Zdrowy-Rozsądek-Partia-Zawsze-Ma-Rację” Sekuła. Mąż ów chce kandydować na wódcę Zabrza. Najpierw reklamował się na pocztówkach z Hindenburgiem (jak zwano Zabrze od 1915

do 1946 roku na cześć pruskiego marszałka), co mu wytknięto jako kontrowersyjne. Dotknięty Sekuła żali się dziś i wspomina Wojciecha Korfante, którego „polscy nacjonaliści” trzymali w więzieniu. Co prawda, to prawda, ale zważywszy, że Korfante trzymał w więzieniu najpierw Józef Piłsudski, trochę się o Sekułę martwimy. Tu marszałek, tam marszałek, może naprawdę w głowie mu posada Schetyny? Dyskwalifikacja wisi w powietrzu.

...że Lech Wałęsa rzucił pomysł (ja wam rzucam, wy łapcie), by się prezydent przeniósł na Zamek Królewski, bo w gruncie rzeczy prezydent to jak król elekcyjny. I wyraźnie rozmarzył się najlepszy z naszych prezydentów. Złapał się. Koronacja mogłaby się odbyć podczas jakiejś dużej piłkarskiej imprezy. Już widzi, my to oczyma duszy: w łóżku honorowej Lech I, obok prezydenta-wyżer Bronisław z flintą i kordelasem. Premier w ataku! I Bahrajn bez szans.

MARCIN SENDECKI

### MAREK RACZKOWSKI



### LAST MINUTE KRZYSZTOF PŁYTA

Podstuchane w kiosku: – Czy nowy „Przekrój” wyszedł? – Bardzo









## ŚWIAT WEDŁUG PRZEKROJU

KATARZYNA JANOWSKA  
REDAKTOR NACZELNA

### Przewodnik po nowym „Przekroju”

**D**rodzy Czytelnicy, oddajemy Wam dziś do rąk nowy „Przekrój”. Ale spokojnie, rewolucji nie ma, jesteśmy przecież z Krakowa. Zmieniamy tygodnik, respektując tradycję i Wasze przyzwyczajenia. Wybraliśmy czcionkę zaprojektowaną w latach 60. ubiegłego wieku. Dzięki temu między innymi nasz tygodnik jest nowoczesny, bo lata 60. i 70. królują dziś w modzie i we wzornictwie. Tradycję „Przekroju” – zgodnie z duchem pisma – traktujemy z przymrużeniem oka. Bawimy się elementami graficznymi, które pojawiają się na łamach tygodnika od 65 lat. Dobrze Państwu znana „przekrojowa” rączka wskazuje działy w gazecie. Przez wiele lat znakiem firmowym „Przekroju” była słynna satyryczna poprzeczna okładka. Teraz najśmieszniejsze są rysunki Marka Raczkowskiego, dlatego z przyjemnością oddajemy mu ostatnią stronę w gazecie. Uprzedzam jęk fanów i fanek i uprzejmie informuję, że w związku z tym Jerzego Pilcha i jego „Dziennik” przesuwamy nieznacznie w głąb naszego tygodnika. Ale to przecież drobnostka w porównaniu z innymi rozkoszami płynącymi z obcowania z jego prozą.

„Przede wszystkim”, „Cywilizacja od środka”, „Koniec z kulturą” – to nowe, bardzo „przekrojowe” nazwy działów. Wbrew pozorom dział kultury w „Przekroju” się rozrasta. Proponujemy nowe rubryki, między innymi „Tydzień z »Przekrojem«”, czyli nasz informator, gdzie mniej lub bardziej kulturalnie spędzić czas od wtorku do wtorku. Obok „Końca z kulturą” pojawia się dział z recenzjami, z których „Przekrój” słynie. Bywamy bezlitośni, ale za to jaka radość, gdy kogoś lub coś wysoko ocenimy! Uruchamiamy „Forum »Przekroju«” – miejsce na dyskusje i intelektualne debaty.

Ale nie samym słowem człowiek żyje. Jest jeszcze ciało. W co je przyoblec, będzie można się dowiedzieć ze znacznie powiększonej rubryki „Ładne rzeczy”, która od czasu do czasu zmieniać się będzie w „Ładne wzory”. Uznaliśmy to za nazwę znacznie bardziej pasującą do „Przekroju” niż obco brzmiący „dizajn”. Pamiętając o smakoszach, przywracamy historyczną rubrykę „Jedno danie”.

Naszym znakiem rozpoznawczym stały się rysowane okładki. Nie poprzestajemy na tym. W środku gazety przybiera ilustracji i rysowników, którzy komentują aktualne wydarzenia. Jestem przekonana, że „Przekrój” – pismo z charakterem – będzie się Państwu czytało łatwiej niż dotychczas i, mam nadzieję, z jeszcze większą przyjemnością.



## ORBITA PRZEKROJU

JOANNA MYTKOWSKA

### Kultura, głupcze!

**W**łaśnie mija rok od Kongresu Kultury Polskiej w Krakowie. Kongres z pewnością przyniósł wielkie ożywienie w życiu kulturalnym, a szczególnie jego strony obywatelskiej. Dział Obywatelski Komitet Obrony Mediów Publicznych oraz ruch Obywatele Kultury. Pod petycją zwiększenia nakładów na kulturę do co najmniej 1 procentu budżetu państwa podpisało się sto tysięcy osób.

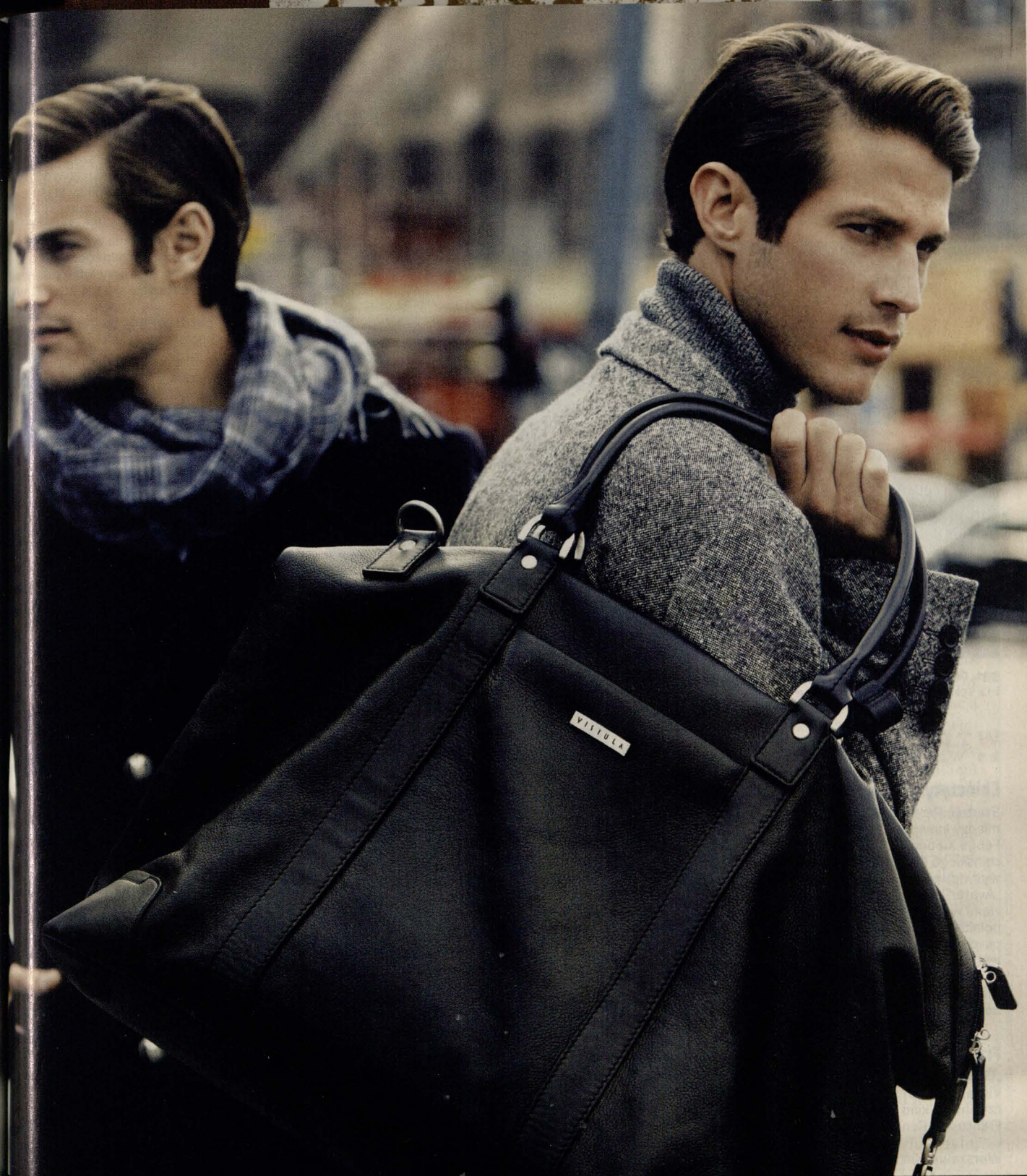
Dlaczego tak się dzieje? Zmienia się język dyskusji o kulturze. Akcent z problemów środowisk twórczych przesunął się na uczenie w kulturze. Rośnie świadomość, że od stanu wykształcenia i kompetencji kulturowych zależy jakość życia. Bez umiejętności rozumienia współczesnego świata, dzielenia się wiedzą o nim, nie ma rozwoju. Rozwinięte gospodarki są obecnie oparte na innowacyjności. A ta się nie pojawi bez inwestycji w naukę i kulturę. Dlatego telewizja docierająca niemal do każdego nie powinna ograniczać się tylko na komercyjnej rozrywce i rezygnować z obywatelskiej misji edukacyjnej. Dlatego trzeba inwestować w infrastrukturę kulturalną, program rozwoju czytelnictwa i edukację artystyczną. Społeczeństwo analfabetów i ignorantów będzie społeczeństwem nieszczęśliwym i biednym. A debata publiczna utknie w pustej przestrzeni po krzyżu.

O nowych sposobach rozumienia kultury i jej miejsca w społeczeństwie dyskutowano na zorganizowanym przez Collegium Civitas i Narodowe Centrum Kultury, a prowadzonym przez Edwina Bendyka seminarium „Kultura i rozwój”. Spotykali się na nim naukowcy, ludzie kultury i politycy i to była najważniejsza odpowiedź na pokongresowe zapotrzebowanie na nową refleksję o stanie kultury w Polsce. Ale to za mało. Dlatego na nowo zintegrowane środowiska twórcze planują kolejny, oparty na nowej refleksji Kongres Obywateli Kultury, który ma się odbyć w grudniu 2010 roku, w rocznicę pamiętnego Kongresu Kultury z roku 1981.

Co to wszystko znaczy? Otóż to, że kultura nie jest oderwana od życia. Jej ignorowanie, lekceważenie i permanentne niedoinwestowanie przynosi wymierne spustoszenie życia publicznego. Znaczy to, że ludzie coraz bardziej będą zabiegać o dostęp do kultury, bo od tego zależy jakość ich życia.

Wydaje się, że na razie mamy do czynienia z rewolucją świadomości, stąd ożywienie i ruch obywatelski. Decyzje są w rękach polityków. Prezydent Bronisław Komorowski jeszcze w czasie kampanii wyborczej podpisał się pod postulatem zwiększenia wydatków na kulturę do co najmniej 1 procentu budżetu państwa. Co jeszcze musi się wydarzyć, aby doszło do realizacji tych obietnic?

Autorka jest dyrektorem  
Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie



www.vistula.pl

VISTULA

the men's world





# Kulturalnie polecamy



331. drzewo Cecylii Malik (jeśli nie pomyliliśmy się w rachunkach) zdobyte 22 sierpnia o godzinie 12.21 i 12 sekund. W SOBOTĘ 25 WRZEŚNIA W KRAKOWIE finał dendrologicznej epopei artystki

## WTOREK 21 WRZEŚNIA

**Chińczycy na ekranie**  
Startuje Przegląd Filmów Chińskich. W programie między innymi europejska premiera „Aftershock” Fenga Xiaoganga – najbardziej dochodowego chińskiego filmu w historii (w pierwszy weekend wyświetlenia zarobił w Chinach więcej niż „Avatar”). Rzecz dzieje się po trzęsieniu ziemi w roku 1976 i z opisów wynika, że jest połączeniem kina katastroficznego z dramatem psychologicznym na bliskowschodnią modłę. Jak jest naprawdę, można przekonać się samemu.

**Warszawa, do 24 września**, kino Kultura  
**Łódź, 27–30 września**, kino Polonia

## Francuskie laboratorium

„Ci, którzy zostają” Anne Le Ny (w roli głównej Vincent Lindon znany z „Dla niej wszystko”), czyli nowe kino znanego z Sekwany w ramach cyklu Francuskie Rendez-Vous.

**Warszawa, Kino.Lab**, godzina 20.30

## ŚRODA 22 WRZEŚNIA

### Kojący głos i koledzy

Każdy, kto owego słonecznego niedzielnego popołudnia rozsiadł się na trawie, by posłuchać uroczych akustycznych piosenek norweskiego duetu Kings of Convenience, zgodzi się, że były to najmiłsze chwile festiwalu Open'er 2010.

Odświeżyć tamte wspomnienia pomoże pierwsza polska trasa dowodzonej przez Erlenda Øye, wokalistę KoC, międzynarodowej grupy The Whitest Boy Alive. O słuchaniu ich na siedząco nie ma jednak mowy. Ciepły głos lidera podziela wprawdzie kojąco, ale jego koledzy (w tym Polak Marcin Ōz) robią wszystko, by mieszkanką alternatywnych gitar i dyskretnie elektroniki zmusić nas do tańca.

**Poznań 22–24 września** – Eskulap, **Warszawa** – Fabryka Trzciny, **Katowice** – Jazz Club Hipnoza

## CZWARTEK 23 WRZEŚNIA

### Animacje według braci Quay i Templeton

W Łodzi początek pierwszej edycji Se-Ma-For Film Festivalu. Okazja? Stulecie jednej z najważniejszych technik realizacji filmu animowanego – techniki lalkowej. W programie poza projekcjami spotkania między innymi z braćmi Quay i reżyserką nagrodzonego Oscarem „Piotrusia i Wilka” Suzie Templeton.

**Łódź, do 25 września**, różne miejsca, więcej na [www.se-ma-for.com](http://www.se-ma-for.com)

### I dla oczu, i dla uszu

Choć nazwa gdyńskiego festiwalu – Transvizualia – wskazuje, że uwaga skupia się tu na „wizualnie”, to „audio” będzie nie mniej ważne. Na koncertach przekonacie się, co ciekawego dzieje się obecnie na światowej scenie elektronicznej. Jimmy Edgar, designer danceflooru z Detroit (tak sam o sobie mawia),

znany jest z funkowych, futurystycznych i zadziornych brzmień. Luke Vibert to muzyczny kameleon poruszający się w obszarach trip hopu, ambientu, drum and bassu (zwróćcie uwagę szczególnie na jego remiksy klasyków – Nine Inch Nails czy Lamb). Natomiast Pinch, czołowa postać bristolskiego dubstepu, dowodzi, że albumy koncepcyjne to nie tylko gratka dla dinozaurów rocka progresywnego. Obowiązkowa impreza dla wszystkich, którzy lubią potężny, niekoniecznie przy Radiu Eska.

**Gdynia, do 3 października**, Pomorski Park Naukowo-Technologiczny i inne miejsca, więcej na [www.transvizualia.com](http://www.transvizualia.com)

## PIĄTEK 24 WRZEŚNIA

### Oslo we Wrocławiu

W Norwegii tanio nie jest, więc jeśli zamierzacie udać się na północ wyłącznie po to, by penetrować tamtejszą scenę awangardową, polecamy znacznie tańszą wycieczkę do Wrocławia, gdzie przez dwa weekendy dźwiękowego absolutu poszukiwać będą między innymi Maja Ratkje, Puma czy Necessary. Ale żeby nie było zbyt monotematycznie, zobaczycie i usłyszycie również Offonoff (w składzie gitarzysta The Ex i basista Zu), niemieckiego guru elektroniki Alve Noto oraz brytyjski duet – Jamesa Plotkina i Micka Harris. Jazz, eksperymentalna elektronika, muzyka improwizowana, post-rock mieszać się będą podczas trzeciej edycji festiwalu Avant Art w jednym kotle i trzeba przyznać, że z takim programem impreza w pełni zasługuje nie tylko na pierwszy, lecz także drugi człon swej nazwy.

**Wrocław, 24–26 września i 1–4 października**, różne miejsca, więcej na [www.avantfestival.pl](http://www.avantfestival.pl)

## SOBOTA 25 WRZEŚNIA

### „Nędznicy” na polską nutę

„Les Misérables” według słynnej powieści „Nędznicy” Victora Hugo w warszawskim Teatrze Roma. Najbardziej spektakularna premiera musicalowa roku zrealizowana przez Wojciecha Kępczyńskiego, jedynego człowieka w Polsce, który ma pozwolenie na autorskie zmiany w modelowym spektaklu „Les Misérables” z paryskiego Palais des Sports z 1980 roku. „Nędznicy” w wersji musicalowej to międzynarodowy superhit, który zobaczyło już 55 milionów widzów na świecie. W polskiej wersji w głównych rolach występują: Janusz Kruciński, Łukasz Dziedzic, Edyta Krzemień i Łukasz Zagrobelny.

**Warszawa, Teatr Roma, premiera 25 września**

### Na drzewie? Cemu nie!

„365 drzew” to nietypowa akcja drzewna inspirowana „Baronem drzewołazem” Itala Calvina. Podobnie jak Cosimo – bohater dzieła włoskiego postmodernisty – krakowska artystka Cecylia Malik wchodzi na drzewo. Jednak nie po to, by nigdy z niego nie zejść (taki zamiar powziął książkowy drzewołaz), lecz by się z nim

zgrażać. Wspina się tak już od roku. W tym czasie inne drzewo i nowa fotografia. Wreszcie nastąpi finał akcji i zdobycie drzewa numer 365, którym będzie Dąb Wolności przed wejściem do Uniwersytetu Jagiellońskiego. Początek o godzinie 19.

## NIEDZIELA 26 WRZEŚNIA

### Trójwymiarowe flamenco

Warszawski festiwal Skrzyżowanie Kultur w tym razem na brzmienia latynoskie. Nie zabraknie zatem koncertu inauguracyjnego, podczas którego wystąpi Ivan Lins. Brazylijski kompozytor i piosenkarz w trakcie 35-letniej kariery pracował między innymi z Quincyem Jonesem, a jego utwory nagrywali Sting, Ella Fitzgerald i Barbra Streisand. Tego samego wieczoru warto też posłuchać czarnoskórej gwiazdy flamenco: pochodząca z Hiszpanii Ancha Buika ma fascynujący głos oraz jest świetnie władna własnych słów – „trójwymiarowa seksualna”.

**Warszawa, do 2 października**, Teatr Kultury i Nauki

## ONIEDZIAŁEK 27 WRZEŚNIA

### Butoh i Osjan

Koktajl ruchu i muzyki zaprasza Teatr Polski. W pierwszej części wieczoru poznamy mistrza japońskiego tańca butoh i jego ucznia Yoshimoto w spektaklu „Ruins of the Body” z muzyką Jacka Ostaszewskiego i Adasława Nowakowskiego z grupy Osjan. W drugiej części będzie bohaterem drugiej części „Dziwna historia”, w której zabrzmi „muzyka fruwającej” – jak mówią o swej sztuce sami artyści.

**Wrocław, Teatr Polski, godzina 19**

## Na kanapie

Wampir, hulanki, awolacja – to tylko jeden z wielu tematów, dla którego warto przeczekać ten tydzień. W tym tygodniu nie po prostu biec do sklepu po DVD z drugą częścią „Czystej krwi” – pilnie zapiszcie się w kalendarzu na najbliższą sobotę. Ma bowiem taki mocny, który przetrzymałby się w historii całego polskiego kina. To nie smakowite, ale sezonowe, a przede wszystkim – to jest w tym sezonie w Bon Toms, to naprawdę mały pikus.

Wampir, hulanki, awolacja – to tylko jeden z wielu tematów, dla którego warto przeczekać ten tydzień. W tym tygodniu nie po prostu biec do sklepu po DVD z drugą częścią „Czystej krwi” – pilnie zapiszcie się w kalendarzu na najbliższą sobotę. Ma bowiem taki mocny, który przetrzymałby się w historii całego polskiego kina. To nie smakowite, ale sezonowe, a przede wszystkim – to jest w tym sezonie w Bon Toms, to naprawdę mały pikus.



„Czysta krew”, sezon 2., Galapagos

# Zombiak uniwersalny

## Żywe trupy nie potrzebują własnych mózgów. Cudze wystarczą im z nadstatkiem



ŁUKASZ ORBITOWSKI

**Z**achód kocha żywe trupy żarłoczną miłością. Uczucie to zawładnęło też sercem Kamila Śmiałkowskiego, który przepisał Żeromskiego po swojemu, doklejając zombi. „Przedwiośnie żywych trupów” zaraz wylądował w księgarniach, by tam rozpocząć proces gnilny, Czarkowi Baryce zmienia się zwyczajnie żywieniowe. Literackie mash-upy świetnie sprzedają się w Stanach, tu trudno o wybór bardziej sensowny – żeromszczyzna, nawet bez dopisków Śmiałkowskich, to przecież trup jak się patrzy, złośliwe widmo straszące w budynkach szkolnych.

Pomysł pochodzi od Setha Grahame’a-Smitha. Pisarz wprowadził żywe trupy do „Dumy i uprzedzenia” Jane Austen, a żeby przypadkiem nie przegiąć, dorzucił jeszcze wojowników ninja. Metoda jest prosta: bierzemy oryginalny tekst, kreślimy, dopisujemy, wiedząc, że martwy autor się nie upomni, no, chyba że wstanie z grobu, potwierdzając słusność zmodyfikowanej wersji. Rzecz okazała się hitem (tłumaczenie na 20 języków). Nie tylko ona.

W komiksie „Marvel Zombies” przemiana uległ komplet herosów ze Spidermanem, Hulkiem i resztą zamaskowanej hałstry. Nawet za życia nie grzeszyli intelektem, więc jako żywe trupy nie potrzebują własnych mózgów. Cudze wystarczą im z nadstatkiem. Supermoce funkcjonują nawet po śmierci, wskutek czego ludzkość została zeżarta przez niedawnych obrońców: ci szarpią się po pustej planecie, bo rozumieją, że grozi im śmierć głodowa. Nawet gada-

jące głowy pojęły wagę problemu – Arnold Blumberg z uniwerku w Baltimore otworzył zajęcia poświęcone żywym trupom w kulturze popularnej. Studenci będą oglądać filmy, czytać komiksy i powieści: żywie nadzieję, że obowiązującą formą wypowiedzi egzaminacyjnej będzie mamrotanie. Blumberg nie był zresztą pierwszy. Zombilogię wykładają już w Iowa i Chicago.

Zaskakująca popularność tego niemrawego stworzenia tłumaczy się oderwaniem od ram gatunkowych. Już George Romero w „Świecie żywych trupów” (1978) wpuścił zombiaki do centrum handlowego i kazał im małpować konsumencie zachowania. Dziś zombi, oderwany ostatecznie od horroru, służy właściwie za metaforę czegośkolwiek. Niech będzie to okrucieństwo wynikłe z dojrzewania seksualnego nastolatków („Deadgirl”, 2008), lęk przed emancypacją kobiet („Doghouse”, 2009) czy też żywio-

łowa krytyka pomiatania pracownikiem w korporacji („Fido”, 2006). Zombi jest jak pałka, każdy umie go użyć: lewicowcy chętnie posłużą się takim zgnilizną, wykazując zniewolenie człowieka przez system; chrześcijanie wezmą go za przykład degeneracji duchowej kultury Zachodu – jest

przecież człowiekiem bez duszy. Dochodzi więc do odwrócenia ról. Oto zombiak musi obawiać się ludzi szarpiących go w najróżniejsze strony.

A Polska? Jak zwykle jesteśmy ciut z tyłu, Śmiałkowski robi za nadpsutą jaskółkę. Tymczasem perspektywy oszałamiają ogromem, wszak mało kto tak jak my trupy kocha, klóci się na ich temat, nieustannie wywołując duchy w ramach publicznych dyskusji. Dmowski, Piłsudski. A najważniejsza figura literacka, Gustaw-Konrad, pomnik naszych snów wolnościowych, jest żywym trupem.







# Skazani za nic

Raz, dwa, trzy, mordercą jesteś ty! Bywa, że taka wyliczanka zastępuje myślenie prokuratury lub sądu. I nawet kiedy zdejmą ci kajdanki, nie zetrzesz z siebie piętna przestępcy

TEKST MALGORZATA ŚWIECHOWICZ ILUSTRACJA PATRYK MOGILNICKI

**S**iedemdziesiąt pięć tysięcy. Do tylu pomyłek może dochodzić co roku na polskich wokandach. Nikt tego głośno nie mówi, a w statystykach Ministerstwa Sprawiedliwości nie ma rubryki „pomyłki”. Resort zauważa tylko te przypadki, w których osobom niesłusznie zatrzymanym, aresztowanym lub skazanym uda się wywalczyć odszkodowanie (za zarobki utracone w czasie odsiadki) lub zadośćuczynienie (za cierpienie moralne). Do oficjalnych rubryk trafiają więc wyłącznie ci, którzy szczęśliwie doczekali uznania roszczeń. Nie sposób jednak byłoby dojść, jak dużo osób pozwało już Skarb Państwa i czeka w kolejce na przyznanie im pieniędzy.

Oficjalnie rzecz biorąc, problemu nie ma – a przynajmniej jest tak niewielki jak liczba osób, które po latach gehenny doczekały przyznania rekompensaty. W ostatnich trzech latach pieniądze wypłacono 896 osobom – w sumie 19,6 miliona złotych. Po podziale kwoty za wsadzenie niewinnego człowieka do więzienia nie są wysokie. Wręcz z roku na rok maleją – trzy lata temu przeciętne odszkodowanie za wyrok wydany przez pomyłkę sięgało 25 tysięcy złotych. Ostatnio średnia nie przekracza 20 tysięcy. Tak więc cena, jaką płaci państwo, spada. A co z ceną, jaką płacą ofiary pomyłek? – Nie słyszałam, żeby ktoś to w Polsce zbadał – mówi Maria Ejchart z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Tymczasem niektórzy mają tak dość koszmaru, w którym znaleźli się przez pomyłkę, że wolą umrzeć.

## Nieudolność niszczy dowody

– Słyszysz pani mój telefon?

– Nie.

– No właśnie – mówi smutno Wiesław Szymański.

Rozmawiamy czwartą godzinę, a jego telefon nie odezwał się ani razu.

– Kiedyś dzwonił bez przerwy. Teraz do pogadania mam tylko księdza i psa.

Duży facet: 180 centymetrów wzrostu, lekka nadwaga. Próbuje nie płakać – siedzimy w kawiarni w centrum Łodzi – najpierw oczy mu się tylko szklą, udajemy, że coś mu do nich wpadło. W końcu jednak tamy puszczają, łzy lecą po policach, kelnerzy patrzą zaniepokojeni, a on opowiada, jak biegły seksuolog badał jego potencję, ewentualne dewiacje i wielkość członka.

Kiedyś Szymański żył głównie tym, komu sprzedać okna („Miałem duże obroty” – wspomina), teraz wyłącznie kseruje i przekłada akta: zeznania, zawiadomienia, opinie. Dziś wziął ze sobą tylko część zbiorów – dziewięć grubych tomów. – Wtrącono mnie do piekła i nie mogę się

wygrzebać – opowiada. – Znajomi uciekają na drugą stronę ulicy. Nie potrafię już dogadać się z żoną, mieszkamy razem, a jakby osobno.

Szymański toczy właśnie z państwem walkę o odszkodowanie i zadośćuczynienie. Chciałby w sumie 400 tysięcy złotych. Sąd – zanim przyzna choćby ułamek tej kwoty – jeszcze długo będzie maglował wszystkich na okoliczność tego, jak areszt odmienił życie Szymańskiego. Przed sądem zeznawała już jego żona (operator maszyn elektronicznych). Powiedziała, jak jest: „Mąż stał się innym człowiekiem. Nerwowy, nie mogę z nim normalnie rozmawiać. Nasze życie nie jest już takie jak przedtem”. Gdyby ich było stać, zamieszkaliby oddzielnie.

– Popsuły się moje relacje z siostrą, bratem – wymienia Szymański. – Odwrócili się nawet synowie. Chyba dla wszystkich byłoby lepiej, gdybym umarł w dniu, w którym zostałem skuty za gwałt.

A skuty został prawie dwa lata temu, dokładnie 14 listopada 2007 roku. Sprawa dotyczyła 17-letniej dziewczyny brutalnie zgwałconej latem w parku. Łódzka policja przez ponad 18 miesięcy nie mogła znaleźć sprawcy. Aż w końcu ogłosiła dziennikarzom sukces. Następnego dnia poszło drukiem, że złapano gwałciiciela, który ukrywał się w szpitalu. Szymański rzeczywiście został zabrany ze szpitala (często bywał w szpitalach, ma rozrusznik serca, niedokrwienie, nadciśnienie, cukrzycę, stany depresyjne, od dawna cierpi też na zwyrodnienie kręgosłupa, a w związku z tym ma lekki niedowład ręki i nogi). – Byłem w szoku – wspomina. – Tłumaczyłem, że zapewne chodzi o jakiegoś innego Szymańskiego. Policjanci nie pozwolili mi nawet założyć butów, siedłem przez szpital w kajdankach i kapciach. Później dowiedziałem się, że wytypował mnie pewien aspirant sztabowy. Po prostu sporządził taką notatkę – Szymański wyciąga z akt jej kopię: „W dniu dzisiejszym podczas wykonywania czynności służbowych wytypowałem jako sprawcę gwałtu następującego mężczyznę” (tu nazwisko Szymańskiego).

– Dalej już poszło – kontynuuje Szymański. – Wystawiono nakaz aresztowania i przeszukania. Oczywiście nie miałem alibi, bo nie pamiętam, co robiłem 2 czerwca 2007 roku między 23.05 a 23.15. Po zatrzymaniu dostałem drgawek. I tak trzęsącego się zaciągaliśmy na okazanie. Mam 56 lat, jestem wysoki i łysy, a gwałciiciel był podobnie duży niż ja, miał włosy na głowie i nie więcej niż 42 lata. Mimo wszystko dziewczyna wskazała mnie. Dodatkowo rozpoznała mnie po głosie.

Ponieważ policja utrzymywała, że „w wyniku nieudolności zniszczeniu uległy dowody materialne”, takie jak nasienie sprawcy gwałtu i jego krew, rozpoznanie było koronnym dowodem winy Szymańskiego.









→ - Mamy dostatecznie rozbudowany system nadzoru i wizytacji - tłumaczy prokurator Mateusz Martyniuk, rzecznik Prokuratury Generalnej. - Jeżeli prokuratorowi zdarzyłoby się „rażąco naruszyć przepisy prawa”, może odpowiedzieć za to dyscyplinarnie.

A karnie? Mateusz Martyniuk się dziwi.

- Nie słyszałem o takim przypadku - mówi też profesor Filar.

W ubiegłym roku do sądu dyscyplinarnego wpłynęło co prawda 36 wniosków dotyczących pociągnięcia prokuratora do odpowiedzialności karnej, ale w żadnym przypadku nie chodziło o złe prowadzenie śledztw, lecz głównie o prowadzenie samochodu w stanie wskazującym na spożycie alkoholu.

### Niewinny nie siedzi

Jedna z najgłośniejszych i chyba najdziwniejszych spraw, jakimi dotąd zajmowała się Klinika Prawa „Niewinność”, to skazanie Tomasza K. spod Tczewa. - Przyjechała policja, że niby po brata, ale skoro nie ma, to mnie wezmą na chwilę - wspomina teraz Tomasz (32 lata, na rencie, postura chłopca, ale w oczach coś ze starca). - Kiedy mnie zabrali, to już żem nie wrócił do domu - opowiada. - Na golasa mnie trzymali na dołku. Zimno było. Obiecane miałem, że jak się przyznam, to mi dadzą wojskowe moro. Ale zapomnieli o moro, dali mi za to potrzymać broń, choć bez naboju. No i szlugi dali, kawę.

Biegły psycholog napisze później w opinii, że Tomasz jest podatny na sugestie i ma skłonności do konfabulowania, ale gdy przyznaje się do zabicia 11-letniego Marcina Skotarka z Lisewa Malborskiego, nikt nie uznaje tego za wymysł niezdrów wyobraźni.

Marcin zginął we wrześniu 2002 roku, gdy wracał rowerem od babci. Znalaziono go w polu pokłutego nożem. Na ubraniu były włosy - może sprawcy. Ustalono, że z pewnością nie są to włosy tego, który siedzi na dołku i ma obiecane moro. Na nożu, który znalazła policja, nie ma też jego odcisków. Ale wyrok zapada - 15 lat więzienia. Gdy już trzeci rok Tomasz K. siedzi w celi, ginie kolejny drobny 11-latek, tym razem koło Pruszcza Gdańskiego. Ktoś zauważa podobieństwo zbrodni - ciosy zadane chłopcu są odbiciem ciosów, od których wcześniej zginął Marcin Skotarek. W ręce policji wpada 29-letni mężczyzna, który przyznaje się do jednego i drugiego zabójstwa. Później wycofa swoje zeznania, zacznie kluczyć. Mimo to sprawi, że wymiar sprawiedliwości będzie musiał odkurzyć dawno zamkniętą sprawę małego Skotarka.

- Niesłuszne skazanie to katastrofa - Łukasz Chojniak dokładnie tak chce napisać w swojej pracy doktorskiej. - I to katastrofa nie tylko ze względu na skazanego.

Bo w czasie gdy siedzi niewinny, winny nie siedzi.

- Być może nawet nigdy nie zacznie się go szukać, bo państwo, dopóki się nie dowie, że to pomyłka, nie podejmie nawet próby jej naprawy - mówi mecenas. - A jeśli w końcu zorientuje się i choćby przypadkiem znajdzie tego, kogo powinno być znaleźć już wcześniej, wraca gehenna pokrzywdzonych. Proces trzeba zacząć od nowa. Jeszcze raz zeznania, świadkowie, powoływanie biegłych. Strach pomyśleć, co w takiej sytuacji czuje ofiara gwałtu albo rodzina zamordowanego.

Nie trzeba sobie wyobrażać. Wystarczy pojechać do domu Skotarków w Lisewie. Ojciec Marcina ściga zdjęcie 11-latka ze ściany, całuje je i płacze. Matka też płacze. W tym miesiącu minął ósmy rok, odkąd nie ma Marcinka, a i winnego jego śmierci też ostatecznie nie ma. Sąd Najwyższy w czerwcu 2006 roku uznał wyrok wydany na Tomasza K. za nieważny. Śledztwo, kto zabił chłopca, ruszyło od początku, lecz nic

nie dało. Prokuratura uznała, że „inicjatywa dowodowa w tej sprawie została wyczerpana”. A jak wyczerpują się dowody?

- Jakoś tak rok albo dwa lata po zabójstwie przyszła paczka z prokuratury - wspomina Lidia Skotarek. - Otwieram zdziwiona, bo też to dziwne dostawać paczkę z urzędu. Patrzę, a tam koszula Marcinka.

Cała we krwi i dziurach, bo - jak wyliczył biegły - sprawca zadał chłopcu 17 ciosów nożem. W paczce były też polepione od krwi dzinsowe, krótkie spodenki, granatowe slipki i czarne skarpetki. - Boże, jakim ja szlochłem się zaniósł - opowiada mama Marcinka. - Mnie rzuciło na kolana i wyłem z rozpacz - dodaje ojciec. Gdy okazało się, że sprawa trzeba zbadać ponownie, policja podjechała do Skotarków, żeby wydać to, co było w paczce, bo teraz by się przydało. - Przypomnieli sobie, że na ubrankach oprócz krwi syna mogły być ślady zabójcy. I zdziwienie, że my to wrzuciliśmy do pieca, a nie na kilka lat do szafy.

### Świadek lubi kłamać

- Ja jeszcze nie zamknąłem badań - zastrzega mecenas Chojniak - ale mogę już ostrożnie wnioskować, że najważniejsze przyczyny sądowych pomyłek to fałszywe zeznania i fałszywe wyjaśnienia.

W 2001 roku za kłamstwo trzeba było ukarać 2432 świadków, sześć lat później - niemal dwa razy tyle. A to może być tylko wierzchołek góry lodowej, bo który prokurator ma interes w tym, by oskarżać kogoś, komu wcześniej zaufał? Sam podważałby swoje ustalenia.

Dlaczego ludzie kłamią? Z badań Olgi Kowalskiej z Wydziału Prawa Uniwersytetu Śląskiego wynika, że fałszywie zeznaje się ze strachu, dla korzyści, ale też - aż w 13 przypadkach na 100 - dlatego, że prosi o to ten, który jest zainteresowany wynikiem sprawy.

Kolejnym kłopotem są kiepscy biegli. Mecenas Chojniak zalecałby też ostrożność wobec dowodów z okazania (ofiara staje za lustrem we neckim i spośród osób ustawionych w szeregu ma wskazać sprawcę). Karniści szacują, że w czterech przypadkach na dziesięć wzrok ofiary skupia się na niewinnym. Tak było w przypadku Szymańskiego. Zanim wykonano badania, które wykluczyły jego udział w gwałcie, a kobieta, która go rozpoznała, stwierdziła, że się pomyliła, minęły cztery miesiące.

Zanim Sąd Najwyższy uchylił wyrok w sprawie Tomasza K., a zagoniona znów do roboty prokuratura przyznała ostatecznie, że nie ma żadnych dowodów winy, minęło pięć lat. Uniewinniony Tomasz K. dostał już od państwa zadośćuczynienie i odszkodowanie, ale jakoś radosny nie jest. - Czuję, że nie wszyscy we wsi wierzą w moją niewinność - zdradza.

- Nie mogę znieść, że ten, kto zabił synka, jest nie ukarany - denerwuje się Lidia Skotarek. - Skoro pomyłki, to skąd wiadomo, czy pomyłka była wtedy, czy jest teraz?

Tomaszowi K. ktoś już podpowiedział, że lepiej się wyprowadzić. - Postanowione - mówi - zamieszkam pod Kwidzynem.

- Ja, aby nie myśleć o tym, co się stało, chyba bym musiał wyprowadzić się z samego siebie - wyznaje Szymański. - Umrę z tym naznaczeniem.

Niedawno przeszedł kolejną operację kardiologiczną, nie powinien aż tak się denerwować. Ale psycholog kliniczny, który go badał, zauważył, że niestety zalega w nim złość i poczucie krzywdy. Jest nieufny. Co po wyjściu z celi wydawano mu rzeczy, zauważył, że chyba brakuje kluczy do mieszkania. Od razu machnął zawiadomienie o kradzieży. - Bo co, gdy ktoś podrzucił na miejsce jakiegoś gwałtu albo zabójstwa - tłumaczy zrozpaczony. Psycholog, który go badał, oczywiście podobnych lęków nie podziela. Zbyt je, zapisując: „trendy paranoiczne nadmierne dramatyzowanie”.

Windows®. Życie bez ograniczeń.  
Lenovo® zaleca system Windows 7.

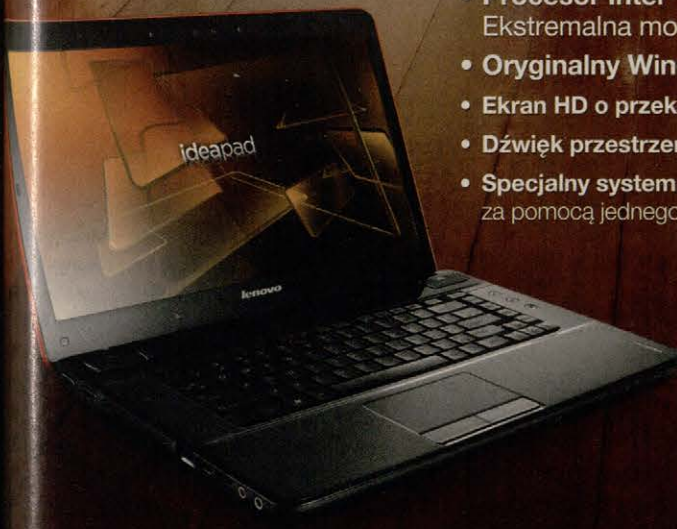
lenovo



What's  
your  
idea of fun?

## MOBILNA SALA KINOWA

ideapad Y560  
z procesorem Intel® Core™ i7-820QM



IdeaPad Y560 z inteligentnym procesorem Intel® Core™ i7-820QM, to przenośny notebook, który został stworzony by cieszyć Twoje zmysły doskonałymi wrażeniami wizualnymi i dźwiękowymi.

- Procesor Intel® Core™ i7-820QM z technologią Intel® Turbo Boost. Ekstremalna moc, nieograniczone możliwości.
- Oryginalny Windows® 7 Home Premium. Rozrywka najwyższej klasy.
- Ekran HD o przekątnej 15,6", formacie obrazu 16:9 i rozdzielczości 1366x768.
- Dźwięk przestrzenny dzięki systemowi Dolby® Home Theater™ oraz głośnikom JBL®.
- Specjalny system OneKey™ Theater II - dostosowanie obrazu i dźwięku za pomocą jednego przycisku.



www.whatsyourideaoffun.com

Wydajność w odniesieniu do procesora Intel® Core™2 Duo T5450 (2M Cache, 1.66 GHz, 667 MHz FSB) i laptopa Lenovo ideapad Y510, Intel® 965PM Express Chipset, Oryginalny Windows® 7 Ultimate, HDD: 250 GB 5400RPM, RAM: Dual-channel 1.5GB DDR2-667, grafika: nVIDIA GeForce 8400M GS, Driver: 8.16.11.8681. Model: 4242. Wyposażony w procesor Intel® Core™ i7-820QM 4M Cache, 2.66 GHz w Lenovo Y560 na Intel® HM55 Express Chipset, Oryginalny Windows® 7 Ultimate, RAM: Dual-channel 4 GB (2x2 GB) DDR3-1333, HDD: 320 GB 5400RPM, grafika: ATI Radeon HD5730, Driver: 8.683.0.0. Oświadczenia wielozadaniowości odnoszą się do PCMark Vantage - efektywności różnych pojedynczych i wielowątkowych zadań.

The following are trademarks of Lenovo: Lenovo, the Lenovo logo and ThinkPad. Microsoft, Windows Vista, Windows 7 and Life without Walls are trademarks of Microsoft Corporation in the U.S. and other countries. Intel, the Intel Logo, Intel Inside, Intel Core, and Core Inside are trademarks of Intel Corporation in the U.S. and other countries. For more information about the Intel processor feature rating, please refer to www.intel.com/go/rating. Other company, product and service names may be trademarks or service marks of others. 2010 Lenovo. ©All rights reserved.



# Pies Pański znowu w drodze

Miał depresję i kłopot z alkoholem. Twierdzi, że wyszedł na prostą. Został obarczony winą za klępkę koncertu w 30. rocznicę Sierpnia. Uważa, że padł ofiarą nagonki. Co teraz będzie robił **OJCIEC MACIEJ ZIĘBA?**

ROZMAWIA MAREK ZAJĄC



Po lustracyjnej burzy w zakonie były prowincjał dominikanów został dyrektorem Europejskiego Centrum Solidarności. Trafił z deszczu pod rynnę

Zafascynowany II wojną sześćioletni Maciek Zięba potrafił wymienić 70 niemieckich generałów i marszałków. Teraz też by się dało? – Guderian, Halder, Keitel, von dem Bach, Rommel, Niehoff... Gdybym pogrzebał w pamięci, wymienilibym pewnie parunastu. A do czego porównać to, co się zdarzyło w ojcu życiu po 30. rocznicy Sierpnia? Do Stalingradu? – Może raczej, jako że jestem wrocławianinem, do Festung Breslau. Ale co pan ma dokładnie na myśli, gdy mówi o Stalingradzie? Na początku błyskotliwe kampanie, sukcesy i szacunek. Potem perspektywa kolejnego zwycięstwa, a tu okrażenie. Słowem – klęska.

– Do listy dochodzi nam więc feldmarszałek von Paulus... Ale ja nie czuję się von Paulusem. W Europejskim Centrum Solidarności z niczego udało się stworzyć prężny zespół, zrobiliśmy sporo dobrych rzeczy. Na początku umówiliśmy się z założycielami, że ECS będzie ponadpartyjne, niezależne. Tak jak Solidarność, w której działałem, miało się otwierać na różne doświadczenia i wrażliwości. Ale kiedy pozycja Centrum urosła, okazało się, że w Polsce, gdzie uprawia się głównie politykę historyczną, a nie kulturę pamięci, jest to niemożliwe. W tym sensie to jakaś moja porażka. No i jeszcze cały ten atak na mnie. Ciężko się

z tym pogodzić, ale jestem zakonikiem, ślubowałem ubóstwo. A ubóstwo w wymiarze niematerialnym, rozumiane jako wypuszczenie z rąk osiągnięć czy utrata dobrego imienia, jest niekiedy trudniejsze i jeszcze ważniejsze niż życie skromne materialnie. Znam te słowa, służę cytatem: „Wyrzec się pieniędzy to żadna sztuka, wyrzec się swojego czasu – to dużo trudniejsze, ale najtrudniej jest zrezygnować z dobrego imienia. To dopiero jest prawdziwa szkoła wiary” – tak mówił Maciek Zięba przed pięcioma laty w wywiadzie. – Kiedyś mądrze teoretyzowałem, teraz to sprawdzam w życiu.

biurku leży przed nami „Rzeczpospolita”. Widziałem. Czytałem. Dla mnie nie w tym kraju dobrego miejsca, bo jestem Niemcem, które mieszka na poziomie politycznym. Mnie interesują głębsze treści. Tymczasem są dziennikarze, którzy widzą wszystko wyłącznie politycznie. Im prawda wydaje się prosta: byłem klientem PO, który został wykorzystany...

porzucony. Zmuszony do ustąpienia z fotela dyrektora ECS.

W książce „Kościół po komunizmie” Jarek Jurek podzielił polski katolicyzm na pięć grup. Mnie umieścił wśród katolików integralnych. To bardzo ładny podział, kłopot w tym, że moja grupa jest pośrodku. Najpierw jedni i drugi przechodzą po naszych plecach, a potem tamci kontratakują i po drodze w końcu się nam obrywa. I tak się to nie tylko Kościołowi, ale w ogóle w Polsce toczy. Raz jest lepiej, raz gorzej, teraz akurat fatalnie. Wielu z politycznym i medialnym zależy na pozycji, dzieleniu, wrogości. Jak świat jest czarno-biały, to istnieją tylko kategorie „swój” i „obcy”. Kłócimy się o bzdury, podczas gdy trzeba budować rzeczy podstawowe. Niektórzy jednak dają to luksus – w kłinczu łatwiej przegadać i pisać ostre artykuły.

Wielu życiwi, przyjmujący ojca wersję wydarzeń, pytają: po co było brać posadę dyrektora ECS? Mało jest wydarzeń, które mogłyby takie demony jak Sierpień '80. Można było sprzedać się czegoś innego?

Można było. Pamiętajmy też, że aż do 2007 roku nie było instytucji zajmującej się Solidarnością i kiedy wówczas rozpoczynały się rozmowy o utworzeniu Centrum, poziom dyskusji politycznych był niższy niż dziś. Zamiast trzy scenariusze: optymistyczny – że uda się zmniejszyć, realistyczny – nie się zmieni, pesymistyczny – uderzymy o głębokie dno. Założyłem wariant, wydawało się, że to będzie polityczny. Zwyciężył pesymistyczny.

Wierzył ojciec fizykę i budował modele matematyczne. Ale nasza polityka jest wariata, wymyka się racjonalnym mechanizmom. A dymisja dyrektora ECS to ostatni z najgorszych obchodów Sierpnia, jakie można sobie wyobrazić.

Podczas obchodów eksponowałem wątki historyczne. Tylko w tygodniu między 1 sierpnia a 5 września przygotowaliśmy serię imprez, od premiery imponującego filmu „XXX” Pawła Mykiety, przez widowisko „Wspomnienie” w Brukseli, wręczanie medali Wdzięczności w Brukseli i Berlinie, premierę filmu o strajku w stoczni widzianym oczami kobiet, stworzonego pod opieką

artystyczną Andrzeja Wajdy, i premierę musicalu „21” Milaszewskiej i Lorenca. A gdyby nie było naszego widowiska „Solidarność. Twój anioł Wolność ma na imię”, to co by pozostało? Msza i zjazd związkowców plus polityczna awantura. A my ścignęliśmy do stoczni 30 tysięcy osób. Przemawiali prezydent Komorowski oraz Wałęsa i Borusewicz, bohaterowie ze stoczni, a wśród VIP-ów siedziało też kierownictwo NSZZ Solidarność. Przybyli liderzy związkowi z lat 80. – dziś w różnych obozach. Było 300 pocztów sztandarowych Solidarności z całego kraju, bo zależało mi na tym, żeby ludzie z Mławy czy Przasnysza byli tym samym choćby symbolicznie uhonorowani. Ze społecznego i z politycznego punktu widzenia to wydarzenie było udane. Ale ja stałem się niewygodny, bo różnym obozom politycznym ta konfrontacja jest na rękę.

Artystycznie była to klapa. Nawet ojciec przyznał, że nie wszystko poszło dobrze.

– Tak, ale zespół ECS i tak powinien dostać złoty medal zasługi. Jak się otrzymuje 30 czerwca promesę pieniędzy na obchody 31 sierpnia, to wiadomo, że trzeba dokonać rzeczy niemożliwych. Żeby negocjować kontrakty z poważnymi artystami i uruchamiać przetargi, powinniśmy dostać środki najpóźniej w grudniu zeszłego roku. A skoro się robi na łapu-capu, na styk, to i burza wystarczy, żeby zniszczyć próbę generalną. Zgoda, czekaliśmy na wielkie widowisko, nową jakość – i to się nie udało. Ale słusznie mówi minister Zdrojewski, że zawsze istnieje „ryzyko artystyczne”. Za jednoznacznie negatywnym osądem przeważały względy polityczne, bo mieliśmy też wiele głosów pozytywnych. Przyjechały Macy Gray czy Angélique Kidjo, wspaniałe recytowali Krystyna Janda i Jerzy Radziwiłowicz. Było kilka świetnych wizualnie momentów, choćby podświetlenie orkiestry wykonującej fanfarę Pendereckiego w stoczniowej hali. Osobna historia to transmisja. Rozmowy z TVP rozpocząłem w styczniu, w lutym byliśmy blisko finału, ale potem nastąpiły zmiany personalne. Inercja i odmowa. Ostateczną decyzję podjęto... 24 sierpnia. A przecież telewizja powinna mieć tygodnie, jeżeli nie miesiące, by przygotować taką transmisję. Arcypolska improwizacja.

Ojciec piętnuje upolitycznienie, ale sam widzi wszędzie drugie polityczne dno i wpuszcza się w podobny kanał.

– Ale ja właśnie z tego kanału wychodzę! Chodzi o to, że jest też wersja wydarzeń, która z polityką nie ma nic wspólnego: ojciec miał nieudolnie zarządzać ECS, wpadł w kłopoty z alkoholem. A Paweł Adamowicz, prezydent Gdańska, ostrzegał, że sprawy idą źle.

– Prezydent został szefem rady ECS, która opiniuje moje działania prezydentowi miast, i faktycznie – w obu rolach chwilami był krytyczny.

Finał był taki, że ojciec musiał przed kamerami przyznać, że miał depresję i nadużywał alkoholu.

– Prawda, ale nie podczas pracy dla ECS. Mam wielki żal do „Gazety Wyborczej”, która w swoim artykule dopuściła się wielu nieprzekładkowych przekłamań i wiele ubarwiła. To sprawa przyzwoitości.

Bez artykułu by się ojciec tak nie otworzył?

– Nie w sposób publiczny.

A teraz? Zero ulgi?

– Mieszanina emocji. Trochę katharsis. Niesmak wywołany brutalnością ataku. Pewien żal, bo miałem rok do końca kadencji i chciałem dokończyć różne projekty. Ale i Bogu dziękuję, bo jest w tym sens, by mówić o depresji. W naszej świadomości depresja wciąż nie funkcjonuje jako choroba. Trzeba publicznie tłumaczyć, jak ważna jest rola bliskich, otoczenia. Poza tym dostaję setki e-maili, SMS-ów i telefonów z wyrazami solidarności. To cieszy.

A ulga, że nie trzeba już wstydliwie się ukrywać, bo wytropią? Powiem szczerze: od dawna w kręgach kościelnych słuchałem plotek, że ojciec ma kłopot z alkoholem.

– Tropili już wtedy, gdy przyjechałem do Gdańska. Dziennikarze z dwóch dzienników, jedna telewizja. Gdy nie było politycznych zakusów na ECS, było spokojnie, gdy się pojawiały, oblepiała mnie atmosfera dwuznaczności, szeptanek, tajemnic poliszynela. Ma pan rację – jest lepiej, bo udało się to nazwać i przeciąć.

Prezydent Adamowicz wiedział?

– Sam wskazał mi terapeutę, profesora, gdy go o to prosiłem, bo nie znałem Gdańska. Okazało się, że to depresja. Z pomocą fachowca zacząłem szybko z tego wychodzić, profesor mówił, że nie musimy już się spotykać, choć zawsze jest pod telefonem. O wszystkim informowałem prezydenta Gdańska.

Kiedy ojciec poprosił o pomoc?

– Depresja rozwija się niepostrzeżenie. To są momenty, gdy występuje większa potliwość, skurcz mięśni. Teraz wiem, że to ważne symptomy, ale wtedy nie zwracałem na nie uwagi. I potem przyszło totalne wyczerpanie fizyczne. Zasłałem. Poszedłem do specjalisty, gdy zobaczyłem, że się biologicznie rozsypuję. Wiem, że plotki zawsze dotyczyły alkoholu. Nawet ja sam nie wiedziałem, co się ze mną dzieje. Bo to subtelna różnica: czy ma się depresję i jako antydepresanta używa się alkoholu, czy cierpi się na chorobę alkoholową, która wpędza w depresję. Tego niefachowiec



→ nie jest w stanie ocenić. Dopiero po wielu miesiącach profesor postawił diagnozę.

**Przyczyny?**

– Pewnie 20 lat prawie bez urlopu, śmierć papieża, sprawa ojca Hejmy, chore biodro, załamanie się paru przyjacieli. Ale tego się nie da jednoznacznie wymierzyć. Są różne psychiki. Mnie się wydawało, że mam siłę. I może tak jest, ale każda psychika ma swoje granice.

**W 2005 roku Leon Kieres, prezes IPN, znany ojcu z czasów opozycji, pokazał ojcu teczkę dominikanina Konrada Hejmy. Stanęliście przed dziennikarzami, a ojciec wypowiedział skrzydlate już słowa, że dokumenty są „porażające”. Rozpętała się burza. Do dziś są w Kościele tacy, co nie podadzą ojcu ręki. Czy nie było tak, że Kieres trafił na minę, ale uznał, że przyjaciel – prowincjał dominikanów – pomoże ją rozbroić?**

– Było zupełnie inaczej, choć znam Leona Kieresa z początku Solidarności. Pierwszy zadzwonił do mnie biskup Libera, ówczesny sekretarz generalny episkopatu. Powiedział, że prymas Józef Glemp i przewodniczący episkopatu wiedzą o takich dokumentach. Prosił w ich imieniu, bym skontaktowałem się z profesorem Kieresem. Przyjechałem więc do IPN i przeczytałem akta. Sprawa była jasna, prawda gorzka, zresztą przez ostatnie lata odkryto wiele nowych materiałów potwierdzających tamtą moją ocenę, choćby w teście na księdza Bonieckiego. Ale Kolegium IPN powiedziałem, że nie podoba mi się wmanewrowanie mnie w tę sprawę. Zapytano, czy wezmę udział w konferencji. Nie chciałem przemykać się chylkiem przez tabun dziennikarzy.

**I ojciec nie wyczuł, dokąd wieją kościelne wiatry. Bo w Kościele wobec TW zwyciężyła opcja, że nie wskazuje się winnych, ale uparcie argumentuje, że teczkom nie wolno ufać.**

– To znowu jest takie arcypolskie, że mamy tylko fanatycznych lustratorów i antylustratorów. A tymczasem są oczywiste przypadki współpracy i przypadki niejasne. Jak zwykle stoję pośrodku, bo twierdzę, że lustracja jest potrzebna dla prawdy, oczyszczenia, także przyszłości, ale jednocześnie – każdy kazus trzeba traktować indywidualnie. Dla mnie szalenie bolesna była sprawa Michała Czajkowskiego, jednego z najbliższych mi księży.

**Od którego esbecy dowiedzieli się, że słaby punkt Zięby to matka, którą bardzo kocha.**

– To było straszne. Wcześniej, gdy jeszcze nie wiedziałem, że „Jankowski” to Czajkowski, a przeczytałem, że TW radzi, by skoncentrować się na matce Zięby, „bo Zięba bardzo ją kocha”, śmiałem się: „Mamo, z bezpieki mam

dowód, że cię kocham”. Potem już nie było mi do śmiechu. Dobrze jednak, że Michał po śmierci księdza Popieluszki, gdy komunizm wydawał się jeszcze stabilny, zerwał tę współpracę. To była odwaga. A po drugie, po latach się przyznał.

**A Hejmo się nie przyznał i wielu uwierzyło jemu, a nie teczkom, historykom i ojcu Ziębie.**

– Parę bliskich osób zerwało wtedy ze mną więzi.

**Co to jest depresja?**

– Jeden z młodych pacjentów mojego terapeutę stwierdził, że depresja to piekło. Wczoraj rozmawiałem ze znanym dziennikarzem, który na nią cierpiał, i powiedział to samo – depresja to piekło. Ja za nimi mogę to powtórzyć.

” *Po depresji czuję się dosyć mizernie, bo wiem, że istnieją granice mojej psychiki, ale nie wiem, jakie są jej rezerwy*

O. MACIEJ ZIĘBA

**Myśli ojciec też o piekle eschatologicznym?**

– Piekło to nie jest topienie w smole ani wyrwanie kończyn obcęgami, ale totalna samotność. Absolutna samotność. Ciemna, skondensowana samotność. Zabijająca wszelki sens, wszelkie znaczenie, ogarniająca całą rzeczywistość.

**Samotność wśród swoich. Księża z trudem znoszą kopniaki ze strony Kościoła?**

– Takie bardziej bolą. Teraz też boli, bo jestem brutalnie atakowany, niszczy się moje dobre imię i dorobek. Po depresji czuję się dosyć mizernie, bo wiem, że istnieją granice mojej psychiki, ale nie wiem, jakie są jej rezerwy. Ale robią to ludzie z zewnątrz, więc nie boli aż tak bardzo jak cios w plecy od swoich.

**Cios od Kościoła to tak, jakby matka uderzyła w twarz?**

– Trochę tak.

**I jest ojciec pewien, że depresja i alkohol nie szkodziły jego pracy w Centrum?**

– Na początku pracy w ECS o depresji nic nie wiedziałem, a alkoholu nie było. Mój profesor uważał, że praca może mi pomóc. Złosiłem się nawet, że to taka terapia przez pracę, ale potem zobaczyłem dobre efekty działalności ECS, zaufanie ludzi – i uwierzyłem, że to ma sens. Dwa i pół roku temu byłem jedynie ja, księgowa i gołe ściany. Proszę teraz wejść na stronę internetową ECS i zobaczyć, jak gigantyczną liczbę projektów prowadziliśmy

i nadal prowadzimy. Jeżeli byłem fatalnym dyrektorem, to czemu w sierpniu tego roku – podkreślam: tego roku – dostałem nagrodę za dobrą pracę od prezydenta Adamowicza? O pracy świadczą fakty i liczby. Jeden przykład dobrego zarządzania: koszty osobistego budżetu, a teraz wynoszą 12. Inne instytucje kultury mają po 30, a nawet 60 procent. Kontrolę z urzędu marszałkowskiego czy różnych audytów nie wykazały żadnych uchybień. **Ale dziewięć milionów złotych wydane na koncert w rocznicę Sierpnia to dużo.**

– Tyle kosztuje oświetlenie Krakowskiego Przedmieścia i sylwester w Warszawie. W naszym przypadku honoraria twórców, ich przeloty, noclegi to około dwóch i pół miliona złotych. Godzili się na niższe honoraria, bo wiedzieli, że to specjalny koncert. Reszta to koszty związane z każdą imprezą: maszyniści, scena, światło i dźwięk, ochrona, wynagrodzenia, setki toalet. Zalanego przez burzę terenu musieliśmy wywieźć 400 ton wody. Nie na rocznicę upadku muru wydali wiele dziesiątek milionów euro. Samo wielkie domińskie, które symbolizowało upadek komunizmu, kosztowało prawie tyle, ile cała nasza impreza. **I dyrektor ECS nie ma sobie nic do zarzucenia.**

– Trudne pytanie. Oczywiście sam wiele nauczyłem i popełniałem błędy, jeżeli chodzi o politykę personalną. Niektórych załatwiałem, ale potem odnajdywałem odpowiednie dla nich stanowiska.

**„O. Zięba znów bez pomysłu na życie” – to tytuł artykułu z dziennika „Polska”.**

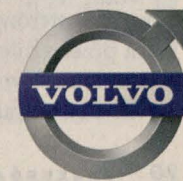
– To życie miało na mnie pomysły, a nie ja na życie. W latach 70. studiowałem fizykę, byłem dobrym studentem, ale uznałem, że takich fizyków jak ja jest w Polsce parę tysięcy, a opozycjonistów – garstka. Więc zaangażowałem się w opozycję. Jak w Solidarności trzeba było robić periodyk, stworzyłem „Solidarność Dolnośląską”. Jak poczułem powołanie, poszedłem do zakonu. Pod koniec lat 80. porzuciłem doktorat o modernizmie, bo zobaczyłem, że Polska jest nieprzygotowana do demokracji i kapitalizmu – zacząłem studiować społeczną naukę Kościoła i ekonomię. Kiedy dominikańskie wydawnictwo W drodze wytrzymało zderzenia z wolnym rynkiem, zostałem jego dyrektorem. Potem zostałem prowincjałem i myślę, że nie zmarnowałem tego czasu. Po ECS wróciłem do Instytutu Teologii Millennium, znowu zaczęły się jeżdżenie z rekolekcjami. *Domini canes* to po łacinie Pańskie. Ja jestem psem Pańskim i zamiast trząsać, jak się pies czuje, rozważam, dobieg. Nie obawiam się bezrobocia, żył dowiodło, że ma na mnie wiele pomysłów.

**POZNAJ DRUGIE OBLCZE NOWEGO VOLVO S60. POCZUJ EMOCJE PODCZAS SPORTOWEJ JAZDY. PRZEKONAJ SIĘ, Z JAKĄ ŁATWOŚCIĄ TRZYMA SIĘ DROGI. A KIEDY KTOŚ NAGLE WYSKOCZY NA JEZDNIĘ, TWOJE VOLVO SAMO SIĘ ZATRZYMA, DZIĘKI PRZEŁOMOWEMU UKŁADOWI WYKRYWANIA PIESZYCH Z FUNKCJĄ PEŁNEGO AUTOMATYCZNEGO HAMOWANIA – BO PRAWDZIWA NATURA VOLVO TO DBAŁOŚĆ O BEZPIECZEŃSTWO TWOJE I INNYCH. JEŹDZISZ VOLVO S60, BO WIESZ, ŻE ŻYCIE TO COŚ WIĘCEJ.**



W zależności od wersji silnika zużycie paliwa w cyklu mieszanym wynosi od 5,3 do 9,9 l/100 km, emisja CO<sub>2</sub> od 139 do 231 g/km.

**NOWE VOLVO S60 JUŻ OD 109 900 ZŁ BRUTTO**  
**WWW.VOLVOCARS.PL**



Volvo. for life



# Bohaterowie ze skazą

Weterani lotnictwa bombowego RAF będą mieli swój pomnik. Brytyjczycy się cieszą. Niemcy są oburzeni

RAFAL KOSTRZYŃSKI

**A**utorem inicjatywy jest Robin Gibb, jeden z braci, którzy założyli trio Bee Gees. Na pomysł uczczenia załóg bombowców Królewskich Sił Powietrznych (RAF) wpadł trzy lata temu, gdy poznał 86-letniego weterana RAF Douglasa Radcliffe'a. Dowiedział się od niego, że lotnictwo bombowe jest jedyną formacją RAF, która nie doczekała się jeszcze upamiętnienia swojego udziału w II wojnie światowej. – Na zewnątrz zobaczyłem pomnik na cześć zwierząt – wspominał potem Gibb. – Pomyślałem wtedy: gdzie jest pomnik na cześć 55 tysięcy ludzi, którzy oddali swoje życie w walce z nazistami?

Dziś ich dokonania upamiętnia tylko tabliczka w katedrze w Lincoln. Tak skromnie, bo brytyjskie bombowce odpowiadają za śmierć nawet 600 tysięcy niemieckich cywilów.

Gibb dopiął swego w maju tego roku – urządził londyńskiej dzielnicy Westminster zgodził się na pomnik. Monument za 3,5 miliona funtów (około 16 milionów złotych) stanie w Green Park, w centrum Londynu. Będzie kołł serca jednych i ranił serca drugih.

## Prawda zwycięzców

Członkowie załóg bombowców RAF, które siały postrach wśród Niemców, to dla większości Brytyjczyków bohaterowie. W latach 1939–1945 piloci wykonali 366 tysięcy misji, które polegały głównie na bombardowaniu niemieckiej infrastruktury i niemieckich miast przemysłowych. Kto wsiadł do bombowca RAF (a wsiadali ochotnicy), miał marne szanse na przeżycie. Spośród 125 tysięcy ludzi, którzy przewinęli się przez tę formację, końca wojny nie doczekała prawie połowa.

Żołęgi ciężkich czterosiłnikowych halifaksów, lancasterów czy latających fortec tworzyła przeważnie młodzież – średnia wieku wynosiła zaledwie 22 lata. „Mój tata zgłosił się do RAF zaraz po ukończeniu 18. roku



Mechanicy RAF przygotowują lancastera do misji. Początek lat 40. Obok: Ten, który załatwił im memorial w samym centrum Londynu – jeden z Bee Geesów, Robin Gibb (ten bez brody)

życia – pisze Paul Sussman, syn weterana, w brytyjskiej popołudniówce „Daily Express”. – Chciał przeciwstawić się horrorowi nazizmu – tym bardziej że pochodzi z rodziny polskich Żydów. Wykonał 33 misje, ale nie lubi opowiadać o tamtych czasach”. Polski udział w lotnictwie bombowym RAF był znacznie większy, nie sprowadza się tylko do Sussmana. Nasi piloci tworzyli dwa dywizjony – 300 i 301.

Bombowce RAF zaczęły się liczyć pod koniec 1940 roku, po zakończeniu bitwy o Anglię. Ówczesny premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill zdał sobie sprawę, że jego lotnictwo po odparciu niemieckiej ofensywy musi zmienić strategię działania. – Myśliwce są naszym zbawieniem, ale zwycięstwo mogą nam dać tylko bombowce – ogłosił. – Dlatego musimy rozwinąć zdolność przeprowadzania tak potężnych ataków bombowych na terenie Niemiec, by obrócić w pył ich przemysł.

Naloty na pojedyncze cele raziły jednak nieskutecznością, bo załogi nie posiadały precyzyjnego sprzętu do celowania. Jesienią

1941 roku dowództwo RAF zdecydowało więc, że celem będą całe miasta przemysłowe, a ataki powinny być zmasowane. Wkrótce potem nad Hamburgiem, Kolonią i całym Zagłębiem Ruhry zaroilo się od samolotów.

Zmieniły się nie tylko cele, zmieniła się taktyka. Pierwsze bombowce zrzucały flary, żeby oświetlić teren. Kolejne namierzały cel i oznaczały go za pomocą specjalnych bomb, które emitowały czerwony blask (tak efektowny, że Niemcy nazywali je choinkami). Potem zaczynało się piekło. Ciężkie bombowce zrzucały najpierw bomby burzące, żeby zniszczyć zabudowania i zwiększyć w ten sposób ruch powietrza, a potem bomby zapalające. Taką kolejność dawała niemal stuprocentową gwarancję, że zbombardowany obszar spłynie jak surówka z pieca martenowskiego – temperatura takich pożarów (zwanych burzami ogniowymi) często przekraczała 1,6 tysiąca stopni Celsjusza, ogień niszczył wszystko.

## Prawda przegranych

Autorem tej strategii był marszałek Królewskich Sił Powietrznych Arthur Harris. Gdy w 1992 roku w samym sercu Londynu Elżbieta, królowa matka, odsłaniała jego pomnik usłyszała gwizdy. Granitowy Harris padł potem tak często ofiarą wandal, że trzeba

go wynająć mu osobistą ochronę. To wszystko dlatego, że szczytowym punktem realizacji strategii marszałka była seria nalotów dywizji na Drezno. Dzięki nim Harris zyskał przydomek „Bombowiec” (u życzliwych) i „Rzeźnik” (u mniej życzliwych, bo i tak w Wielkiej Brytanii można znaleźć).

Do lutego 1945 roku Drezno było jedynym miastem w Niemczech, które nie świadczyło bombardowań. W domach były kina, działały kina, teatry, komunikacja miejska. Nie dziwnego, że właśnie tam ściągali ci, którzy uciekali przed pracą na zachód Armii Czerwonej. I nie dziwnego, że właśnie tam niecki przemysł zbrojeniowy przeniósł część swojej produkcji. Z raportu RAF sporządzonego na początku 1945 roku: „W krótkim czasie Drezno stało się miastem przemysłowym wielkim znaczeniu. Celem nalotów jest uderzenie wroga tam, gdzie odczuje to najmocniej, a także pokazanie Rosjanom, do czego zdolne jest nasze lotnictwo bombowe”.

W dniach 13–15 lutego, trzy miesiące przed końcem wojny, 1,3 tysiąca ciężkich bombowców brytyjskich i amerykańskich sił powietrznych (w tym polski Dywizjon 300) zrzuciło na Drezno cztery tysiące ton bomb burzących i zapalających. W efekcie burzy ogniowej

40 kilometrów kwadratowych miasta wyparowało z powierzchni ziemi. Zginęło około 25 tysięcy ludzi – większość z nich uduśiła się, bo szalejący ogień zasysał cały tlen.

Jednym z najbardziej znanych świadków tego wydarzenia był Kurt Vonnegut, człowiek, który w dziedzinie literatury osiągnął mniej więcej tyle, ile Robin Gibb w muzyce. „Na dworze padał ognisty deszcz. Drezno było morzem ognia. Ten ogień pożerał wszystko, co organiczne, wszystko, co się pali” – pisał w „Rzeźni numer pięć”.

## Prawda spiżowa

Nalot od samego początku wzbudzał kontrowersje. Parlamentarzyści z Izby Gmin żądali wyjaśnień. Howard Cowan, korespondent agencji Associated Press, napisał, że był to atak terrorystyczny. Do krytyków dołączył nawet Churchill, który oświadczył: „Domagam się bardziej precyzyjnego koncentrowania się na obiektach wojskowych, a nie na aktach terroru i bezsensownej destrukcji – bez względu na to, jakie to robi wrażenie”.

Amerykanie i Brytyjczycy próbowali przekonywać, że atak na Drezno był konieczny, bo kwitł tam przemysł zbrojeniowy. Faktem jest jednak, że ciągnące się kilometrami

na obrzeżach miasta hale fabryczne pozostały nietknięte. Ucierpiało głównie centrum, a wśród ofiar byli w zasadzie tylko cywile.

Nic dziwnego, że inicjatywa Robina Gibba spotkała się w Niemczech ze sprzeciwem. „Bild”, największy dziennik w tym kraju, wezwał nadburmistrz Drezna Helmę Orosz, by swą wizytę w Londynie (na początku września otwierała tam wystawę z okazji – nomen omen – 70. rocznicy bitwy o Anglię) wykorzystała do skrytykowania idei monumentu. Orosz skrytykowała. – Ten memorial nie wpisuje się w kulturę pojednania – powiedziała.

Pomnik jednak stanie, bo nie jedyną jest jego celem, lecz uhonorowanie tych, którzy wygrali wojnę. Jedni na jego widok będą myśleć to, co brutalnie wyraził generał Eaker, amerykański dowódca wojsk lotniczych z książki Vonneguta: „Trudno mi zrozumieć tych Anglików i Amerykanów, którzy rozczulają się nad cywilną ludnością przeciwnika, zamiast optakiwać naszych bohaterów lotników poległych w walce z okrutnym wrogiem”. Drugi zapewne podzielił zdanie Ursuli Eisner, 80-letniej Niemki, która przeżyła naloty w Dreźnie i właśnie spisuje wspomnienia naocznych świadków: „Monument to pomysł jednocześnie smutny i makabryczny”.

KLAM A

IGNACY ŁUKASIEWICZ  
USA  
25c

Ernest Malinowski  
REPUBLICA DEL PERU  
4

PAWEŁ STRZELECKI  
AUSTRALIA  
5c

Jedno z miejsc odkrytych w ubiegłym tygodniu to Wyspa Flindersa, na której znajduje się Park Narodowy Strzeleckiego – słynnego polskiego podróżnika, eksploratora i odkrywcy najwyższego szczytu Australii. Ty możesz odkryć następne miejsca, gdzie Polacy inspirowali świat!

## Polacy inspirują świat

Każdy z tych Polaków zdobył uznanie w innym zakątku świata. Miejsc, w których Polacy zasłynęli nowymi wynalazkami i odkryciami, są tysiące.

Szukaj polskich inspiracji na [www.tyskie.pl](http://www.tyskie.pl) i wygrывaj!

## 5000 zł

za każde znalezione miejsce!

**TYSKIE**

Tyskie. Z Polski

Konkurs trwa od 13.09 do 8.10.2010



# Ubezpieczyć cały świat

Naturalne katastrofy doprowadziłyby już ludzkość do upadku, gdyby nie ubezpieczyciele ubezpieczycieli. Wkrótce jednak i oni mogą nie dać rady globalnemu ociepleniu i otyłości. Wtedy uratują nas już tylko kosmici

TEKST ŁUKASZ WÓJCIK ILUSTRACJA TOMASZ PŁONKA



**P**iętnastego września 2010 roku, kiedy to w Polsce miały miejsce burze, w Niemczech, w Hamburgu, miały miejsce powodzi. Za powrót turystów z Maroka, Tunezji zapłaci ubezpieczyciel. Rejestratorzy wprowadzają do baz danych wszelkie katastrofy naturalne (baza Munich ma już 26 tysięcy pozycji), od

wszystkich ubezpieczonych klientów, także i ona jest ubezpieczona - u ubezpieczyciela ubezpieczycieli, bawarskiego giganta, którym jest firma Munich Re.

Zabawa w łańcuszek może być odkrywcza dla każdego. Gdzie jesteś ubezpieczony, drogi czytelniku? Ubezpieczyciel twojego ubezpieczyciela sam na pewno też jest gdzieś ubezpieczony. Jest duże prawdopodobieństwo, że na końcu tego łańcuszka jest wspomniana firma Munich Re albo jej główny rywal Swiss Re, czyli ubezpieczyciele ubezpieczycieli - dwa największe towarzystwa reasekuracyjne na świecie. W sumie obie te giełdowe spółki pośrednio ubezpieczają życie lub majątek prawie czterech z siedmiu miliardów ludzi na całym świecie.

Pracownicy Munich Re i Swiss Re byli niedawno w Złotoryi pod Sandomierzem. Obserwowali i opisywali wszystko: rozmiar powodzi, konstrukcje zniszczonych budynków, a nawet organizację pomocy dla powodziarzy. Czyli tak jak w Nowym Orleanie

cztery lata temu woda zalała miasto. Teraz większość z nich zrypała zalanym Pakistanie. I też tuż po Złotoryi. W lutym mieli pełne ręce roboty w Chile, gdzie potężne trzęsienie ziemi zniszczyło kilka tysięcy budynków.

## rozpraszanie ryzyka

Te firmy zatrudniają łącznie ponad 80 tysięcy ludzi na całym świecie. Rejestratorzy wprowadzają do baz danych wszelkie katastrofy naturalne (baza Munich ma już 26 tysięcy pozycji), od

wszystkich ubezpieczonych klientów, także i ona jest ubezpieczona - u ubezpieczyciela ubezpieczycieli, bawarskiego giganta, którym jest firma Munich Re.

Zabawa w łańcuszek może być odkrywcza dla każdego. Gdzie jesteś ubezpieczony, drogi czytelniku? Ubezpieczyciel twojego ubezpieczyciela sam na pewno też jest gdzieś ubezpieczony. Jest duże prawdopodobieństwo, że na końcu tego łańcuszka jest wspomniana firma Munich Re albo jej główny rywal Swiss Re, czyli ubezpieczyciele ubezpieczycieli - dwa największe towarzystwa reasekuracyjne na świecie. W sumie obie te giełdowe spółki pośrednio ubezpieczają życie lub majątek prawie czterech z siedmiu miliardów ludzi na całym świecie.

Pracownicy Munich Re i Swiss Re byli niedawno w Złotoryi pod Sandomierzem. Obserwowali i opisywali wszystko: rozmiar powodzi, konstrukcje zniszczonych budynków, a nawet organizację pomocy dla powodziarzy. Czyli tak jak w Nowym Orleanie

W ubezpieczeniach najważniejsza jest zasada rozproszenia ryzyka. Właściciel domu ryzykuje, że wybuchnie pożar, w którym straci dobytek. Prawdopodobieństwo pożaru jest umiarkowane, ale ewentualna strata - ogromna. Żeby ją wykluczyć, właściciele domów, dajmy na to z jednego miasta, zrzucają się zawczasu na odszkodowanie dla pechowca, którym może stać się każdy z nich. Efekt - składka (strata) niewielka, a ryzyko utraty majątku zerowe, bo ze zsumowanych składek będzie wypłacone odszkodowanie. Im więcej zainteresowanych bierze udział w rozpraszaniu ryzyka, tym mniejsze ryzyko biorą na siebie. Gorzej, jeśli pecha ma całe miasto.

W 1842 roku z dymem poszedł cały Hamburg - prawie sto tysięcy ubezpieczonych nieruchomości. W ciągu tygodnia zbankrutował dosłownie cały niemiecki sektor ubezpieczeniowy. To jednak właśnie na zgłiszczach Ham-

burga powstała reasekuracja. Ubezpieczyciel, który obsługuje klientów w jednym mieście, nie będzie w stanie wypłacić odszkodowań, jeśli całe miasto spłonie. Idea ubezpieczeń polega na tym,

*Towarzystwo Munich Re do dziś chwali się, że nawet odszkodowanie za katastrofę Titanica nie pociągnęło firmy na dno*

że nieszczęśliwe wydarzenie losowe dotyka znikomej liczby ubezpieczonych. Dlatego Niemcy wymyślili rozpraszanie ryzyka na wyższym poziomie - ubezpieczyciele z wielu miast ubezpieczają się wspólnie w towarzystwie reasekuracyjnym, bo prawdo-

podobieństwo, że pożar ogarnie więcej niż jedno miasto w tym samym czasie, jest małe.

Druga połowa XIX wieku to prawdziwy rozkwit reasekuracji. Jako pierwsze powstaje Kolońskie Towarzystwo Reasekuracyjne. Zaraz później współczesne giganty: Munich Re i Swiss Re. Dzięki swojej potęgze finansowej firmy te nie ograniczają się tylko do ubezpieczania zwykłych ubezpieczycieli. Szwajcarzy ubezpieczali między innymi wieżę Eiffla i budowę Kanału Sueskiego. Monachijczycy z kolei zapłacili bajorńskie odszkodowanie w 1906 roku po trzęsieniu ziemi w San Francisco, jednym z największych w historii USA.

Przed wszystkim jednak Munich Re ubezpieczyła Titanica. Monachijczycy do dziś chwalią się, że nawet wypłata odszkodowania za ten statek nie pociągnęła ich na dno. Jednak nie tylko →

## KREDYT HIPOTECZNY



www.pkobp.pl  
infolinia: 801 302 302, +48 81 535 65 65 (opłaty zgodne z taryfą operatora)

## JESTEŚMY U SIEBIE!

Najpopularniejszy kredyt hipoteczny w Polsce:

- niskie marże
- do 100% wartości nieruchomości w PLN i EUR
- okres kredytowania aż do 40 lat
- 0% prowizji za udzielenie kredytu hipotecznego\*

**1**  
NR W RANKINGU  
KREDYTÓW  
HIPOTECZNYCH  
OPEN FINANCE\*\*



**PKO BANK POLSKI**

Blisko Ciebie

\*0% prowizji za udzielenie kredytu przy wykupie 4-letniego ubezpieczenia od utraty pracy, hospitalizacji i assistance medycznej w InterRisk S.A. Vienna Insurance Group. RRSO wynosi 9,06% dla marży 1,35% i prowizji 0%, kwota kredytu 400 tys. zł na 40 lat, udział własny 50%, posiadanie ROR z dostępem internetowym, karty kredytowej, zakup ww. ubezpieczenia oraz Programu Oszczędnościowego „Niższa Rata”; oddział w Warszawie; raty annuitetowe (stan na dzień 15.09.2010 r.).

\*\*Według rankingu Open Finance z lipca 2010 r. W rankingu pod uwagę brana była wielkość sprzedaży kredytów w pierwszym kwartale 2010 r.

Taryfa prowizji i opłat bankowych oraz szczegóły oferty, w tym zasady uczestnictwa w PO „Niższa Rata”, ogólne warunki ubezpieczenia dostępne są w placówkach PKO Banku Polskiego oraz na www.pkobp.pl



→ samo odszkodowanie przeszło do historii. Paradoksalnie to sposób zatonięcia stalowego olbrzyma stał się złowrogą przepowiednią problemów, które czekały na gigantów reasekuracji.

Titanic miał być niezatapialny. Jego ubezpieczeniem na życie było 16 grodzi w kadłubie – dno statku podzielone było na 16 wodoszczelnych pomieszczeń, jedno po drugim, na całej długości od dziobu do rufy. Przebicie kadłuba i całkowite zalanie jednej z grodzi nie było poważnym zagrożeniem dla statku. Konstruktorzy zakładali, że Titanic będzie stabilny i nie zatoni. Nikt jednak nie przewidział, że kapitan w ostatniej chwili będzie próbował ominąć górę lodową – dlatego ta, zamiast zniszczyć dziób statku, zarysowała całą lewą burzę, dziurawiąc niemal wszystkie grodzie. Doszło do kumulacji pecha.

#### Pech do kwadratu

Reasekuracja, choć jest rozproszaniem ryzyka na wyższym poziomie, podlega takim samym regułom jak zwykłe ubezpieczenia. Pożar jednego miasta nie stanowiłby problemu dla Kolońskiego Towarzystwa Reasekuracyjnego. Gdyby jednak w tym samym czasie spłonęło inne miasto, kolończycy poszliby na dno tak jak poszedł Titanic z większością zalanych grodzi. – Takich sytuacji nie da się przewidzieć – tłumaczy nam Lawrence A. Cunningham, profesor finansów z Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona. – W ubezpieczeniach nazywamy to kumulacją. A chodzi po prostu o pecha do kwadratu. Pojawił się problem, bo jeśli zwykły ubezpieczyciel ma kumulację, czyli pecha, to z opresji zawsze może go wyratować na przykład Munich Re. Co jednak zrobić, gdy kumulację ma Munich Re?

Pecha do kwadratu monachijszczy mieli już dwa razy. I za każdym razem z trudem utrzymali się na powierzchni. Pierwszy przypadek to zamach

terrorystyczny na World Trade Center w 2001 roku. Analitycy Munich Re w umowie ubezpieczeniowej z właścicielem nowojorskich wież przewidzieli hipotetyczną sytuację, w której niewielki samolot przypadkowo zderza się z jedną z nich. Na podstawie badań konstrukcji założyli oni, że pożar może ogarnąć maksymalnie dziesięć kondygnacji, a koszt odszkodowania nie będzie wyższy niż kilkadziesiąt

*W wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela*

milionów dolarów. Nikt nie przewidział jednak kumulacji – dwóch dużych samolotów pasażerskich z bakami pełnymi paliwa. W efekcie nikt nie przewidział, że obie wieże się zawalą, a odszkodowanie wyniesie ostatecznie prawie 30 miliardów dolarów.

Kolejna kumulacja przyszła do USA znad Zatoki Meksykańskiej cztery lata później. Munich Re ubezpieczył miasto Nowy Orlean zarówno od skutków przejścia huraganu, jak i od powodzi. Ale oddzielnie. Znow nikt nie przewidział kumulacji – w kwietniu 2005 roku najpierw przez Nowy Orlean przeszedł huragan Katrina, a chwilę później puściły wały przeciwpowodziowe i woda zalała miasto. Suma odszkodowań – około 50 miliardów dolarów. Żaden ubezpieczyciel wszystkich ubezpieczycieli by tego nie przetrzymał, gdyby nie kolejny wynalazek – obligacje katastroficzne.

#### Kanarek się dusi

Aby rozproszyć ryzyko na jeszcze wyższym poziomie, czyli (oddech) ubezpieczyć ubezpieczy-

ciela ubezpieczycieli, należało znaleźć instytucję, która byłaby w stanie zaryzykować wartość rynkową Munich Re, Swiss Re i jeszcze kilku reasekurantów z elity, czyli w sumie około stu miliardów dolarów. Nie ma na świecie takiej instytucji, poza giełdą. Łączny kapitał wszystkich parokietów świata szacowany jest dziś na 60 bilionów dolarów. Wahnięcia globalnych notowań nawet o jeden punkt procentowy, czyli o 600 miliardów dolarów, nie robią już dziś na nikim większego wrażenia. Dlaczego więc nie rozproszyć ryzyka wśród spółek giełdowych?

Munich Re i spółka zaczęli więc sprzedawać tak zwane obligacje katastroficzne. Nie różnią się one od zwykłych obligacji. Tyle że ich posiadacze zamiast analizować dane gospodarcze, muszą śledzić prognozę pogody. Zainteresowana firma kupuje obligacje i jeśli w pogodzie jest spokój, systematycznie otrzymuje swój procent. Jeśli natomiast dochodzi do kataklizmu, którego koszty ubezpieczeniowe przekraczają możliwości reasekuranta-sprzedawcy obligacji (pułap ustalają wcześniej obie strony), nie musi on ich wykupować, a uzyskane w ten sposób pieniądze mogą być przeznaczone na pokrycie odszkodowań. W ten sposób posiadacze obligacji katastroficznych, czyli głównie spółki giełdowe, stają się zbiorowym ubezpieczycielem nas wszystkich.

Taka zarabiająca na siebie globalna siatka bezpieczeństwa byłaby genialnym finansowym perpetuum mobile, gdyby właśnie nie my wszyscy. Kluczem do sukcesu w tym biznesie jest odkrycie prawidłowości i prognozowanie. – Jeśli wiemy, jak często trzęsienia ziemi nawiedzają San Francisco, to w dłuższej perspektywie możemy przewidzieć całkowite koszty odszkodowań – tłumaczy Robert Shiller, ekonomista z Yale University. – Tylko że w wyniku globalnego ocieplenia podobne przewidywania w sto-

sunku do strat spowodowanych huraganami i powodziami bliżej nie jest. Nikt już nie jest w stanie przewidzieć, ile huraganów będzie nawiedzać południowe wybrzeże USA za kilka lat. Pewne jest tylko to, że z roku na rok dzieje ich coraz więcej.

Skutkami globalnego ocieplenia ubezpieczyciele Munich Re oraz pech ominął miasto, ale przerażeni byli już w 1973 roku. Wtedy monachijszczy jako pierwsi na świecie zaczęli o ograniczenie emisji dwutlenku węgla. Dziś firma oblicza, że w 1950 roku roczne straty spowodowane katastrofami naturalnymi potroili się. O ile w latach 50. Meksykańskie wybrzeże USA, takie warunki nikt nie przewidział, że obie wieże się zawalą, a odszkodowanie wyniesie ostatecznie prawie 30 miliardów dolarów.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

#### Tłusto i gorąco

Na dłuższą metę nawet Munich Re nie ma szans z globalnym ociepleniem, co znów najlepiej widać na południowym wybrzeżu USA. Gdy w 1926 roku huragan uderzył w Miami, wtedy było to wydarzenie. Dziś natomiast jest to wydarzenie, z którego wynika, że w ciągu najbliższej dekady pierwszy raz w historii spadnie średnia długość steczka, straty ubezpieczycieli w kilku milionach dolarów – ludzi było mniej i rzadziej

ubezpieczeni. Od tamtego czasu miasto miało dużo szczęścia. Według amerykańskiego Narodowego Centrum Huraganów (NHC), gdyby teraz huragan przebiegł trasą z 1926 roku, rachunek ubezpieczycieli za samo półmilionowe dziś Miami wyniósłby 200 miliardów dolarów. Wtedy monachijszczy jako pierwszy na świecie zaczęli o ograniczenie emisji dwutlenku węgla. Dziś firma oblicza, że w 1950 roku roczne straty spowodowane katastrofami naturalnymi potroili się. O ile w latach 50. Meksykańskie wybrzeże USA, takie warunki nikt nie przewidział, że obie wieże się zawalą, a odszkodowanie wyniesie ostatecznie prawie 30 miliardów dolarów.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Wielkim biznesie obowiązuje zasada: chcesz się dowiedzieć, jak naprawdę jest z tym globalnym ociepleniem, zapytaj ubezpieczyciela – mówi profesor Cunningham. To nie są żadne ideologiczne wojownicy, dla których natura stała się religią. Nie są to również producenci klimatyzatorów, którzy o ociepleniu widzą tylko jedno: że każdy kit, byleby sprzedawał do cukrzycy. Ta z kolei prowadzi do przedwczesnego zgonu. A zgon kosztuje. Dla biznesu są tym, czym kiedyś dla górników – górnicy. Im wcześniej zgon, zaczyna mu brakować powietrza, im większy koszt dla ubezpieczyciela, bo zmarły nie zdążył zebrnąć pieniędzy z ubezpieczenia.

Od ponad stu lat w ubezpieczeniach zawsze sprawdzała się zasada rozpraszania ryzyka. Najpierw były międzymiastowe ubezpieczenia przeciwpożarowe. Potem międzynarodowe towarzystwa reasekuracyjne. Aż w końcu globalna giełda i obligacje katastroficzne. Ale problem z ociepleniem klimatu i otyłością jest innej natury – jeśli ubezpieczane zjawisko zaczyna mieć charakter

globalny, to wszyscy, czyli ludzkość, są narażeni na jego skutki – tak jak wszyscy mieszkańcy Hamburga zostali poszkodowani w pożarze. W takim przypadku odpowiednikiem ubezpieczenia międzymiastowego byłoby ubezpieczenie międzyplanetarne. Najpierw jednak ludzkość musiałaby znaleźć jeleni, którzy ubezpieczają się z takimi, co to podgrzewają sobie klimat i jedzą byle co.

REKLAMA



**Daj się zahipnotyzować**

**netia**  
WOLNOŚĆ WYBORU

► internet + telefon  
za 2 zł miesięcznie  
przez pół roku

Teraz, także w Twoim domu, możesz mieć pakiet Szybkiego Internetu z telefonem za 2 zł miesięcznie, przez pół roku.  
Wyślij SMS lub zadzwoń i zamów już dziś.

801 802 803  
SMS: 4144

[www.netia.pl](http://www.netia.pl)

TWARZ NETII:  
TOMASZ KOT

Podane ceny są miesięczne i obowiązują przez 6 miesięcy, przy umowach na 24 miesiące na zakup Pakietu usługi internetowej z telefonem. Szczegółowe Warunki Promocji „Hipnotyzująca promocja w Netii II”, cennik i dostępność usług na [www.netia.pl](http://www.netia.pl). Promocyjna opłata 2 zł/mies. przez 6 mies. za Pakiet nie dotyczy taryfy Lepszy Telefon 60. Koszt połączenia z infolinią i wysłania SMS-a zgodny z cennikiem Twojego operatora.



# Homofob wykopany z geja

Politycy, księży i celebryci rzadko ujawniają homoseksualną orientację. Na świecie informacje o takich osobach, zwłaszcza jeśli działają na szkodę gejów i lesbijek, są upubliczniane. Fala ujawnień zbliża się do Polski

TEKST DOMINIKA BUCZAK ILUSTRACJA MATEUSZ KOLEK

**M**ichał, humanista, naukowiec, nauczyciel studentów, sierpniowy wieczór spędził w gejowskim seks-klubie. Wypił piwo, pogadał ze znajomymi, uprawiał seks w darkroomie. Udany. Nie powie, że nie. – A potem ten facet z darkroomu podszedł do mnie, kiedy siedziałem przy barze. Przypomni mi, że już wcześniej się poznaliśmy. „Ty jesteś rektorem seminarium?” – zapytał. „Tak. To ci przeszkadza?” – uśmiechnął się. I o ten uśmiech było za dużo. Dałem mu w pysk.

Następnego ranka Michał włączył komputer i zalogował się na Facebooku. W swoim statusie opisał sytuację, podał imię i nazwisko księdza, link do jego zdjęcia oraz miejsce pracy. – Nie zgrywam świętoszka. Wiem, że gdy odwiedzałem darkroomy, pewnie nie jeden raz natrafiłem na księdza i gdybym miał do czynienia z wikarym z małej wioski, tobym mu odpuścił – mówi Michał. – Ale to rektor seminarium, wpływowa osoba. Kształtuje umysły młodych chłopaków, wpaja im poczucie winy, mówi, że homoseksualizm trzeba leczyć, a sam chodzi do darkroomu i uprawia seks. Jego bezczelność wyprowadziła mnie z równowagi.

## Outować z prawa i lewa

Outing, jak coming out, ma na celu ujawnienie czyjeś homoseksualnej albo biseksualnej orientacji, ale ich motyw i skutki są różne.

Coming out, czyli „wyjście z szafy”, jest procesem. Rozpoczyna się, kiedy lesbijka lub gej uświadamiają sobie własny homoseksualizm. Potem nadchodzi etap ujawniania się przed rodziną i znajomymi. Niektórzy informują też pracodawców i współpracowników. Jeśli osobą homoseksualną jest celebryta, staje przed kolejną decyzją: czy o tym, że jest gejem lub lesbijką, poinformować media, a co za tym idzie – fanów, wyborców, przechodniów?

Outing zaś, w przeciwieństwie do coming outu, trwa tyle, ile wypowiedzenie jednego

zdania, wydrukowanie gazety, napisanie notki w plotkarskim portalu lub na Facebooku. To ujawnienie informacji o czymś homoseksualizmie wbrew woli głównego zainteresowanego. Outing może złamać karierę, mimo to bywa traktowany jako metoda walki z homofobią. Skuteczna, choć kontrowersyjna.

Kilka godzin po tym, jak Michał umieścił wpis na Facebooku, został zacytowany na bardzo popularnym blogu. Rozpętała się burza – gwałtowna, ale krótka, bo do Wojtki, autora blogu, zaczęli dzwonić znajomi. – A potem Wojtek do mnie zadzwonił i powiedział: „Słuchaj, jest problem, ten twój ksiądz chce się zabić, jest załamany”. I skasował notkę na blogu – wspomina Michał. – Zupełnie nie myślałem o konsekwencjach, jakie mogą spotkać księdza. Byłem pewien, że robię dobrze. I nadal uważam, że racja jest po mojej stronie.

Mariusz Kurc, działacz LGBT, redaktor naczelný magazynu „Replika” poświęconego sprawom osób homo- i biseksualnych, oczy-

*Działacz antygejowski przyłapaný na lotnisku z męską prostytutką tłumaczył się, że rozmawiali o Ewangelii*

ma wyobraźni widzi okładki polskich gazet ujawniające homoseksualizm osób działających na szkodę gejów i lesbijek. – To nieuniknione. Sam uważam outing za dopuszczalną metodę walki – wyjaśnia – choć tylko wtedy, gdy dotyczy tych, którzy publicznie są homofobami i mają wpływ na życie oraz poglądy innych. To głównie księży i politycy. Na świecie to popularna metoda działania.

W Polsce już w 2004 roku rzecznik fundacji LGBT Łukasz Pałucki (dziś członek SdPi) stra-

żył polityków atakujących gejów i lesbijki, ujawni ich ukrywaną homoseksualną orientację. – Środowisko jest małe, znamy wiele nazwisk i przyjdzie czas, żeby użyć tych argumentów – zapowiadał Pałucki. Potem fundacja przestała działać i na groźbach się skończyło.

Na świecie przykładów jest mnóstwo. Organizacja Outrage w latach 90. w Wielkiej Brytanii outowała duchownych katolickich, anglikańskich, gwiazdy show-biznesu i polityków. W maju tego roku głośna była sprawa amerykańskiego pastora George’a Rekensa, działacza antygejowskiego, autora kilku książek poświęconych leczeniu homoseksualizmu, którego przyłapano na lotnisku z męską prostytutką (tłumaczył się, że rozmawiał z 20-letnim Portorykańczykiem o Ewangelii).

Najsłynniejsza jest historia Teda Haggarda z 2006 roku. Był jednym z najbardziej wpływowych duchownych w USA, prezesem Narodowego Stowarzyszenia Ewangelików zrzeszającego 30 milionów wiernych, a także założycielem Kościoła New Life. Został wyoutowany przez Mike’a Jonesa, męską prostytutkę, który w programie radiowym ujawnił, że Haggard był jego klientem przez trzy lata. Pastor – żonaty, ojciec trzech synów, przeciwnik małżeństw między osobami tej samej płci – najpierw wszystkiemu zaprzeczał. Jednak skandal zmusił go do rezygnacji z pełnionych funkcji.

– Akceptuję publiczny outing, jeśli nie ma on na celu ujawnienia samego homoseksualizmu, lecz pokazuje hipokryzję – zapewnia Mariusz Kurc z „Repliki”.

Czy więc zdaniem Kurca każdy ksiądz gej winien mieć się na baczności? – Wszyscy. Zakonnice lesbijki też. Choćby byli najmilsimi i prywatnie opowiadali, że kochają gejów. Księża są członkami homofobicznej organizacji, która tępi gejów i lesbijki. Według katechizmu Kościoła katolickiego akty homoseksualne są grzechem. Już tylko tym wyrządza on ludzkości krzywdę.



Jeśli chodzi o polityków?

Outowałbym homofobów. Wszystko jedno – z prawa czy z lewa.

## Szafie i za szafą

Coming out tak, outing nie – zdecydowanie świadczą Tomasz Raczek, jeden z niewielu polskich celebrytów, który ujawnił homoseksualną tożsamość. – Nie uznaję outingu jako rozsądnego sposobu na wyrażenie się, bo nie można wychowywać społeczeństwa kosztem innych. Każdy ma prawo

do decydowania o sobie. Ta zasada powinna dotyczyć wszystkich: i celebrytów, i prawicowych polityków, którzy – tak się składa – często bywają gejami. Podobnie jak księży. W outingu jest zawsze smrodek zemsty i terroryzmu.

Tymczasem polscy homoseksualni politycy (wszyscy), celebrytki (wszystkie) i celebryci (zdecydowana większość) siedzą w szafie i nie mają zamiaru jej opuszczać.

Sebastian jest popularnym aktorem. Nie da się z nim swobodnie porozmawiać w za-

tloczonych kawiarni, bo przyciąga spojrzenia wszystkich. Zwykle nie udziela wywiadów, ale tę sprawę przemyślał i chce powiedzieć, dlaczego nie zdecydował się na publiczny coming out, chociaż przed rodziną, przyjaciółmi, znajomymi i współpracownikami ujawnił się lata temu.

– Powody są trzy – wyjaśnia. – Po pierwsze, od początku konsekwentnie strzegłem mojej prywatności przed mediami. To, że jestem gejem, na pewno powodowało, iż byłem →



→ szczególnie ostrożny, ale wydaje mi się, że gdybym miał żonę i dzieci, to też nie pokazywałbym ich w gazetach. Po drugie, gdybym się ujawnił jako gej, byłbym postrzegany przez pryzmat mojej seksualności. Teraz, jak mnie rozpoznają ludzie na ulicy, mówią: o, to ten koleś, co gra tu i tu. Po ujawnieniu mówiliby: o, to ten gej. A nie jestem tylko gejem. Wreszcie trzecia rzecz – nie mogę przewidzieć, jaki wpływ na moje życie zawodowe miałyby publiczne wyjście z szafy. Niedawno w TVP zarządzili ludzie związani z prawicą. Mogą nie chcieć, żeby aktor, który jest gejem, grał w serialu. I nie wiem, czy producenci nie pomyśliby: on nie jest w stanie zagrać tej roli, bo jest gejem. Nie jestem aktorem o takim dorobku, by czuć się pewnie. Wolę nie ryzykować.

Mariusz Kurc wzrusza ramionami: – Od kilku lat próbujemy zachęcać znane osoby, by dokonywały coming outu, więc znam takie argumenty na pamięć.

### Poczułem się jak Milk

Pomiędzy siedzącymi w szafie celebrytami a działaczami LGBT jest konflikt interesów. Ci pierwsi nie chcą ryzykować, ci drudzy wiedzą, że każdy aktor czy piosenkarz, który opowie o swojej homoseksualnej orientacji, każdy wywiad z pisarką lesbijką zmniejszą w Polsce liczbę homofobów, bo pożywką dla nich jest niewiedza. To najczęściej ludzie, którzy nigdy nie poznali lesbijki ani geja.

– Wiem, że byłoby pożyteczne dla społeczeństwa i gejów w Polsce, gdybym się wyoutował – kiwa głową Sebastian. – Ale nie mam predyspozycji na społecznika. Gdyby ktoś powiedział, że to tchórzostwo, to na pewno trochę jest. A że to jest konformizm, to na pewno. Nie wstydzę się. Czuję najwyżej dyskomfort.

Janek nawet tego nie czuje. Szczupły, opalony, dobrze ubrany, z amerykańskim uśmiechem. Chce zrobić karierę w branży muzycznej i nie ma w planach ogłaszania światu, że jest gejem. – Nie każdy jest działaczem. Dopinguje ich, ale nie zamierzam wspierać coming outem – oświadcza i dodaje: – Mam dwóch znajomych, którzy są przerażeni, że ktoś dowiedzie się o ich związku. Obaj mają koleżanki, z którymi pokazują się publicznie. Na nagraniu programu muzycznego siedzieli jeden trzy rzędy niżej, drugi wyżej. Każdy uderza w target gimnazjalistów. Tu kwestia zakochania się w idolu ma spore znaczenie. Dla firm fonograficznych i agencji marketingowych to haczyk, dzięki któremu tacy młodzi kołesi mogą opracować swój wizerunek.

– Niech przestaną się bać, co powie mama – irytuje się Tomasz Raczek. – Potem niech przestaną się zastanawiać, co koleżanka

mamy z pracy powie, co dyrektor. Kiedy poczują się podmiotami swojego życia, a nie przedmiotami, pewnie się wyoutują. Ja im mówię, że nic złego się nie stanie z ich życiem.

Sam podkreśla, że jego bilans zysków i strat jest prosty: – Wszystko, co wydarzyło się w moim życiu po coming outcie, jest dowodem, że warto się ujawnić. Od ludzi odbieram tylko pozytywne sygnały, zawodowo również mi to nie zaszkodziło. Kiedy razem z moim partnerem Marcinem dostaliśmy nagrodę dla

*Każdy wywiad z homoseksualnym aktorem, piosenkarzem lub z pisarką lesbijką zmniejsza w Polsce liczbę homofobów*

pary roku w plebiscycie magazynu „Gala”, pomyślałem: wspaniale. Poczułem się jak Milk. Outing wyklucza takie pozytywne przeżycia.

Rozumie, że dla księdza, nauczyciela czy wojskowego coming out oznaczałby koniec kariery, ale dla artysty to może być jej początek: – Wystarczy spojrzeć, jak świetnie radzi sobie Jacek Poniedziałek. Dla aktorów unikanie coming outu jest ograniczające zawodowo, bo z czasem przestają być autentyczni. Mówię to jako krytyk filmowy i teatralny.

### Cisza w tabloidach

Sebastian podejrzewa, że paparazzi fotografowali go, kiedy wychodził z gejowskiego klubu. Takie zdjęcia nigdy nigdzie się nie ukazały. W Polsce tylko raz Pudelek ujawnił homoseksualizm serialowego aktora, włącznie ze spisem jego seksualnych preferencji. Sam aktor niezbyt ostrożnie wypisał je wcześniej w gejowskim portalu randkowym. W USA i Anglii dzienniki publikują informacje o homofobicznych kaznodziejach przyłapanych z kochankami czy kongresmanach gejach głosujących przeciw prawu zezwalającemu na zawieranie małżeństw osobom tej samej płci. Z kolei tabloidy chętnie publikują informacje o gwiazdach show-biznesu, które żyją w ukryciu. Michael Musto, gej, nowojorski dziennikarz piszący między innymi o gwiazdach do „Village Voice”, słynie z upubliczniania informacji o celebrytach żyjących w ukryciu – wyoutował między innymi showmankę Rosie O'Donnell i aktorkę Ellen DeGeneres.

W polskich tabloidach cisza. Brak dowodów, czasami sugestie i niedomówienia. Również jeśli chodzi o polityków – plotki i insynuacje

pojawiają się podczas każdych wyborów. Niedługo: – Na razie to temat tabu – mówi Mariusz Kurc. – Ale jestem przekonany, że to się zmieni.

Dlaczego polskie media do tej pory milczą? – Nawet te, które uchodzą za liberalne, błędnie uznają orientację seksualną za sprawę prywatną – wyjaśnia Kurc. – A przecież wielu heteroseksualnych polityków opowiada o rodzinie, fotografują się razem w gazetach i na plakatach wyborczych. I to traktowane jest jako polityczny atut. Dlaczego więc nie mówić o tym, że ktoś jest gejem albo lesbijką? Kiedy Palikot sugerował homoseksualną orientację Jarosława Kaczyńskiego, to w pyaniach zadawanych mu przez Monikę Olejnik słychać było oburzenie, że to prywatna sprawa. Nie całkiem. Skoro nie mogę zawrzeć związku z moim facetem, a uniemożliwi mi to Sejm, czyli władza publiczna, to moja orientacja przestaje być sprawą prywatną. Mam prawo wiedzieć, czy politycy podejmujący decyzję o dyskryminowaniu mnieś hipokrytami i oszustami.

Tymczasem kontrowersje wzbudza w Polsce nawet mówienie o homoseksualizmie osób publicznych, które już od dawna żyją. „Homobiografie” Krzysztofa Tomasika to zbiór esejów o polskich pisarzach – osobach homoseksualnych i biseksualnych. Jeszcze przed ukazaniem się książki podejmował próby negocjacji: – Syn jednego z kochanków Iwaszkiewicza próbował mnie przekonać, bym usunął z książki nazwisko jego ojca – opowiada Tomasik. Po ukazaniu się „Homobiografii” część krytyków literackich twierdziła, że autor wykonał świetną robotę, druga – ingeruje w życie prywatne pisarzy i że śpiewającemu „Rotę” nie jest potrzebna wiedza, że autorka była lesbijką.

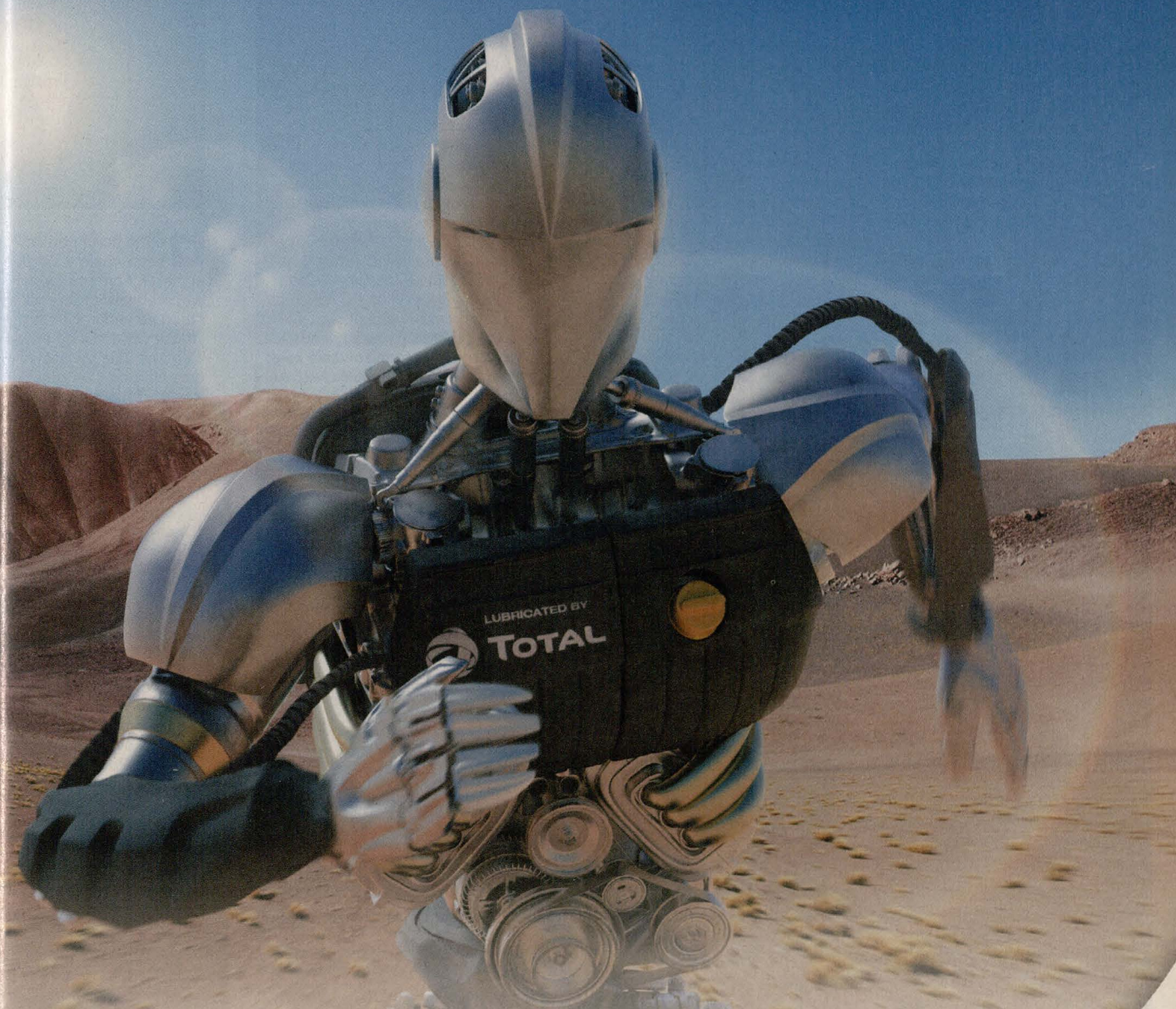
### Mobilizacja po przygodzie

Michał znów loguje się na Facebooku i publikuje swoje zdjęcie z aktem apostazji w dłoni. – Od dawna myślałem o wystąpieniu z Kościoła, ale przygoda z księdzem w darkroomie zmobilizowała mnie do działania.

Czy zdecydowałby się na outing jeszcze raz? – Żałuję, że nie zdecydowałem się na to kilka lat wcześniej. Miałem wtedy romans z żonatym facetem. Obiecował mi, że zostawi żonę i będzie ze mną, klasyka gatunku. Szkoda, że wtedy nie powiedziałem, co jest grane. Była atrakcyjną kobietą, miała 36 lat, mogła ułożyć sobie życie. Dziś dalej są małżeństwem, a ona jest smutna, zgorzkniała i sfrustrowana.

Osoby cytowane bez nazwisk mają zmienione imiona.

# TWÓJ SILNIK ZAWSZE W NAJLEPSZEJ FORMIE



## Oleje Total Quartz Lepsza ochrona i więcej kilometrów



Olej TOTAL QUARTZ z technologią redukcji tarcia zwiększa moc Twojego silnika i podnosi jego sprawność – dzięki temu przejedziesz więcej kilometrów na każdym baku.





# Rząd zostawił kreskę

Rodzice będą pozywać dyrektorów szkół za brak zajęć z etyki

**D**o Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka zgłaszają się pierwsi chętni. – Nie będziemy w stanie pilotować wszystkich spraw, ale jedną dla przykładu poprowadzimy, by innym pokazać drogę – zapowiada doktor Adam Bodnar z Programu Spraw Precedensowych HFPC. – W zasadzie drogę wytyczył już Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu – dodaje.

Chodzi o wyrok z czerwca, który właśnie się uprawomocnił (polski rząd postanowił się do niego nie odwoływać, choć do ubiegłego tygodnia miał na to czas). Trybunał orzekł w sprawie Mariusza Grzelaka z Wielkopolski, który nie

chodził na lekcje religii, za to chciał mieć etykę. Rodzice przenosili go ze szkoły do szkoły, pisali prośby do kuratorium i nic. A na świadectwach szkolnych w miejscu, gdzie powinna być ocena z religii lub etyki, wpisywano mu kreskę. Trybunał uznał, że ta kreska narusza prawo do milczenia w sprawach sumienia i wyznania.

W tej chwili tylko jedna podstawówka na sto ma w programie lekcje etyki. Spośród niemal 7,5 tysiąca gimnazjów takie zajęcia prowadzi 299. Lepiej jest w liceach – tu etyka jest w 6 szkołach na 100. Przy czym część tych zajęć i tak prowadzą katecheci.

W Platformie Obywatelskiej już pojawił się pomysł, żeby zagadnienia etyczne uczniowie poznawali po lekcjach, w domu, łącząc się z nauczycielem on-line. SLD z kolei nawołuje, aby etyka była w szkołach, za to nie chce w nich religii. Ministerstwo Edukacji Narodowej – choć poznało orzeczenie Trybunału trzy miesiące temu – wciąż nie ma planu działania. Grzegorz Żurawski, rzecznik prasowy MEN, tłumaczy „Przekroju”, że świadectwa pozostaną takie, jakie są. Za to „zostaną doprecyzowane przepisy”, by dyrektorzy nie mogli odmawiać uczniom zorganizowania zajęć z etyki.

MALGORZATA ŚWIECHOWICZ

## PROCESY

### Pacjenci się odgryza

**F**alszywemu włoskiemu dentysty grozi osiem lat więzienia. Proces „Professore” Salvatore Z., który w Krakowie przez trzy lata udawał stomatologa (jest lekarzem ogólnym), ruszył przed krakowskim sądem rejonowym. Na ławie oskarżonych usiadła też Ewa P., właścicielka kliniki, w której pacjentów przyjmował Z., po czym ich okaleczał (pisaaliśmy o tym w „Przekroju” 24/2010). Włoch oskarżony jest o to, że od co najmniej 15 pacjentów wyłudził 250 tysięcy złotych. I o to, że naraził ich na utratę zdrowia – dziś nie mają ani zębów, ani pieniędzy.

ANA



Za tymi kratkami siedzą prywatni sprzedawcy. Na Kubie jest ich coraz więcej

## REFORMY

### Mniej socjalizmu, więcej królików

**K**uba do marca 2011 roku zwolni ponad pół miliona pracowników z sektora publicznego. Do 2015 pracę ma stracić nawet milion osób. To dużo, biorąc pod uwagę, że kraj zamieszkuje 11 milionów ludzi. – Naszego państwa nie stać na utrzymywanie przedsiębiorstw przynoszących straty. To obciąża gospodarkę – powiedział Raúl Castro, prezydent Kuby. Rząd za-

pewnia, że bezrobotni będą mogli otwierać własne firmy. Na początku małe, zajmujące się na przykład malowaniem domów, fryzjerstwem, uprawą roślin lub hodowlą małych zwierząt, choćby królików. Teraz władza kontroluje 95 procent gospodarki, a miesięczne pensje rządco przekraczają 20 dolarów. Ziemia uprawna leży odłogiem i 80 procent żywności trzeba importować.

WOJ

## GOŚCINNOŚĆ

### Zatrzymanie na powitanie



**P**olicja na 12 godzin zatrzymała w ostatni piątek Ahmeda Zakajewa, premiera czeczeńskiego rządu na emigracji. Przyjechał w czwartek do Polski z Londynu na Światowy Kongres Narodu Czeczeńskiego. Rosja, która oskarża Zakajewa o terroryzm, zwróciła się do polskiej prokuratury o jego zatrzymanie. Polska i tak powinna była zatrzymać Czeczena, bo wystawiony jest za nim międzynarodowy list gończy, ale decyzję o ekstradycji rząd podejmuje samodzielnie. Donald Tusk już pośrednio wykluczył taką możliwość. Na Kongres do Pułtuska przyjechało około 200 delegatów. Celem spotkania było „utrzymanie kontaktu między krajem i diasporą”, a wybór padł na nasz kraj w uznaniu zaangażowania Polaków w sprawy czeczeńskie. Podczas poprzedniego Kongresu, osiem lat temu w Kopenhadze, Zakajew również został zatrzymany. Duńczycy nie zdecydowali się jednak na ekstradycję.

WOJ

## ŁADZA

### Konflikt największy od lat

W rosyjskiej stolicy Jurij Łukow poszedł na wojnę z prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem. Łukow, który od 18 lat podzielnie rządzi Moskwą, na początku września skrytykował Kreml i wystrzyżenie wybrę podmołowskich lasów pod autostradę w Sankt Petersburgu. Kreml ugiął się po protestach ekologów. Łukowowi prezydent odpisał, że jeśli Łukow zgadza się z decyzją, „to niech przestanie opozycją”. Kilka dni później telewizja publiczna pokazała dokument atakujący mera Moskwy, a Miedwiediew zasugerował, że nie walczył o następną kadencję. Łukow nie myśli się poddawać. To największy od lat konflikt na szczytach rosyjskiej władzy.

ŁUC



Łukow i Miedwiediew nie chodzą ręką w rękę

## YSKOKI

### Ekstatyczny lot z balkonu

W Warszawie sprzedaje się najwięcej tabletek ekstazy w Europie – ponad 40 tysięcy dziennie. Dlatego balkinging wydaje się tak prosty – wystarczy wyjść na balkon i skoczyć do basenu. Im wyższe piętro, tym więcej funtów. Na Majorce i Ibiza balkinging

to plaga. Złapani skoczkiem tłumaczy, że lunatykowali lub że skakali, bo zatrzasnęli się w pokoju. 12 września zabił się 25-latek, szcując z siódmego piętra. Był szóstą ofiarą balkingingu w tym roku. Od 2011 roku ta wątpliwa rozrywka ma być karana grzywną.

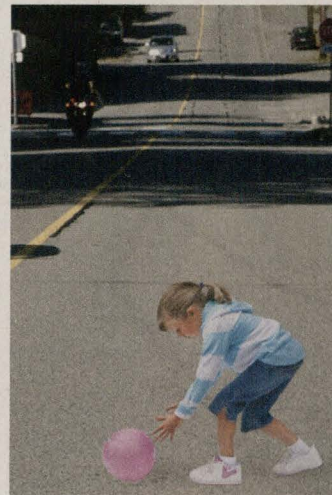
PA

## ŁUKOWSKI PONOWNIE



## ILUZJE

### Dziecko do przejechania



**W** Vancouver kierowcy muszą przejechać po dziewczynce bawiącej się na ulicy. Tak organizacja Preventable.ca chce zmniejszyć liczbę wypadków przy szkołach. Nie chodzi o żywe dziecko, lecz o iluzję optyczną namalowaną na 22. Ulicy w zachodniej części miasta. Kanaadyjczycy wykorzystali zjawisko anamorfyzy: zniekształcony obraz w 2D zamienia się w realistyczny w 3D, kiedy spojrzeć na niego z punktu widzenia kierowcy w aucie. Dziewczynka wygląda jak żywa z odległości stu metrów. Już podnoszą się głosy, że wkrótce kierowcy przyzwyczają się i zaczną żywe dzieci traktować jak iluzję.

WOJ

## REKLAMA

### KLUCZ DO WIEDZY

Naukowcy są zgodni – ludzki umysł ma ogromny potencjał. Często nawet nie zdajemy sobie z tego sprawy. Co zrobić, aby uruchomić niewykorzystywane na co dzień możliwości naszego mózgu? Odpowiedź jest bardzo prosta. Wystarczy się zrelaksować

Lena Szczęślicka

Nasz mózg tworzą komórki nerwowe – neurony, które przez cały czas emitują impulsy elektryczne. Dzieje się to w każdej chwili naszego życia – kiedy pracujemy, prowadzimy rozmowę, a także gdy śnimy czy odpoczywamy. Zmienia się jedynie częstotliwość wysyłanych impulsów. W zależności od niej określamy rodzaje fal mózgowych: beta, alfa, theta oraz delta. Fale alfa, jak udowodniono, sprzyjają szczególnej chłonności naszego umysłu. Dlatego kiedy nasze ciało i umysł są odprężone, nauka jest wyjątkowo łatwa i przyjemna.

Ciężkie powieki tuż przed zaśnięciem, rozleniwienie tuż po przebudzeniu? To najbardziej namacalne dowody istnienia fal mózgowych alfa, które sprawują rządy w naszym mózgu, kiedy jesteśmy zrelaksowani. Wówczas mózg, wbrew pozorom, wykazuje większą aktywność niż w czasie codziennej biegania. Obydwie półkule idealnie wtedy ze sobą współpracują, co sprzyja płynnemu przekazywaniu informacji z jednej do drugiej. I właśnie tę wiedzę na temat najefektywniejszego funkcjonowania naszego mózgu wykorzystali twórcy systemu SITA. Tak powstały specjalistyczne urządzenia, które pomagają nam osiągnąć stan relaksu w naturalny sposób, i kursy językowe, dzięki którym możemy uzyskać niebywałe efekty w przyswajaniu podstawowych słówek, zaawansowanych idiomów czy biznesowych zwrotów.

Dzięki nauce w stanie relaksu oszczędzamy czas i zyskujemy znacznie lepsze rezultaty. Zachęcająco działa już sama świadomość, że zamiast pędzić na zajęcia, ślęczyć nad słownikiem czy powtarzać chorem słówka, możemy usiąść wygodnie w fotelu i zamknąć oczy. A potem tylko planować podróże i wielkie zmiany w swoim życiu! Czy masz świadomość, że po przerobieniu zaledwie kursu podstawowego będziesz znać ponad 1100 słów i zwrotów w jednym z pięciu proponowanych przez SITA języków?

To jest możliwe dla każdego, niezależnie od wieku i zdolności językowych. Badania wykazały, że korzystając z urządzenia SITA, będziemy w stanie porozumieć się w obcym języku już po 44 godzinach nauki.

**Więcej informacji na [www.sita.pl](http://www.sita.pl). Do końca września na hasło „Przekrój” uzyskasz rabat w wysokości 200 zł na urządzenie SITA przy zakupie czterech poziomów kursu językowego.**







MAZUREK BEZ POLITYKI

## To przez przypadek

Duvall na planie jego filmu rzucił się z pięściami na Brandauera. Przyjaźnił się z Havlem i Nicholsonem. Scenariusz Wajdy wyrzucił do kosza. Teraz ma szansę na Oscara. **JERZY SKOLIMOWSKI**, reżyser nagrodzonego w Wenecji „Essential Killing”

**To naprawdę pański najlepszy film w życiu?**

– Na to wygląda. Patrzę na niego z przyjemnością i z dumą, a nie zawsze mi się to zdarza.

**Jest pan wręcz znany z gławienia swoich filmów, co niespotykane u innych reżyserów.**

– Bo zrobiłem tyle dobrych, a czasem bardzo dobrych, że nie muszę bronić „Przygód Gerarda” czy „Ferdydurke”. A na „Essential Killing” się nie nudzę i bardzo mnie to cieszy, bo nuda w kinie to grzech numer jeden.

**Kilka razy wydawało się, że idzie pan na podbój Hollywood.**

– Nigdy nie spełniłem się jako reżyser filmów komercyjnych, choć kilka zrobiłem. Zwykle z marnym rezultatem.

**Marnym? Skasował pan po drodze połowę europejskich nagród filmowych. Teraz będzie Oscar?**

– Takich filmów jak „Essential Killing” na świecie się nie robi, więc nie powinien mieć żadnych szans. Albo właśnie dlatego, że takich filmów nikt inny nie robi, jakieś szanse się pojawiają...

**Jak duże?**

– W przypadku nagród Akademii wszystko zależy od promocji, wyłożonej na nią kasy, a takich pieniędzy jak producenci hollywoodzcy nie mamy, ale możemy liczyć na propagandę szeptaną i recenzje. „International Herald Tribune” czy „Time Out” nas wychwalają.

**Nie korciło pana zrobienie z tego mocnego hollywoodzkiego filmu i zagranie o całą stawkę? Temat jest mocny.**

– Nie. Jestem leniwy, wolę spokojne życie, malowanie, spacerować po lesie z psem i szukałem czegoś, co pomogłoby mi powtórzyć formułę pracy nad „Czterema nocami z Anną”.

**I czemu ten piękny pomysł upadł?**

– Wszystko przez mojego przyjaciela, producenta Jeremy’ego Thomasa, zdobywcę Oscarów za filmy z Bertoluccim. Coś mnie podkuśliło i wysłałem mu scenariusz, a on mnie przekonał, że to dla mnie szansa na wyjście poza *art house ghetto*, czyli poza kina pokazujące artystyczne filmy, na które mało kto chodzi. I zamiast filmu za trzy miliony złotych powstał film za trzy miliony euro. I zaczęły się kłopoty (śmiech).

**Bo trzeba było wyjść z domu?**

– Cała moja koncepcja filmu z lenistwa na nic! Ja sobie myślałem, że Afganistan nakręcę na wydmach w Łebie, a resztę w lesie pod nosem. Tymczasem Afganistan znaleźliśmy w Izraelu, nad Morzem Martwym, a Mazury zagraliśmy w Norwegii, bo polska zima jest kapryśna, a potrzebowaliśmy gwarancji śniegu. Zrobiła się duża produkcja.

**Temat był na hollywoodzki film akcji.**

– Mój bohater boso, w kajdanach i drelichu bierze śnieg w 35-stopniowym mrozie – to jest ciekawe. A to, jak się tu znalazł, cała ta polityka jest tylko tłem i w ogóle mnie nie obchodzi. Z prawdopodobnej historii wysnuwam fantazję, baśń.

**Nie zabiera pan głosu w dyskusji o terroryzmie czy islamie.**

– Bo ciekawsze jest badanie doli ludzkiej w XXI wieku. Osaczony samotny człowiek uciekający przed uzbrojonymi ludźmi z helikopterami, z psami. Outsider, sam przeciw wszystkim...

**Pański pierwszy film na Zachodzie to była duża produkcja z wielką Claudią Cardinale.**

– Od razu w 1970 roku wpakowałem się w nieszczęsne „Przygody Gerarda”. To była pierwsza z brzegu propozycja, więc ją wziąłem, choć mówiłem wtedy po angielsku ani słowa i musiałem reżyserować przez tłumacza, co było absurdem. Omal mnie nie wyrzucili, ale wstawiła za mną właśnie Claudia Cardinale, mówiąc, że jeśli odejdę, to ona również. Obroniła mnie, ale filmu nie dało się uratować (śmiech).

**Rozumiem, że to nie było zachęcające doświadczenie?**

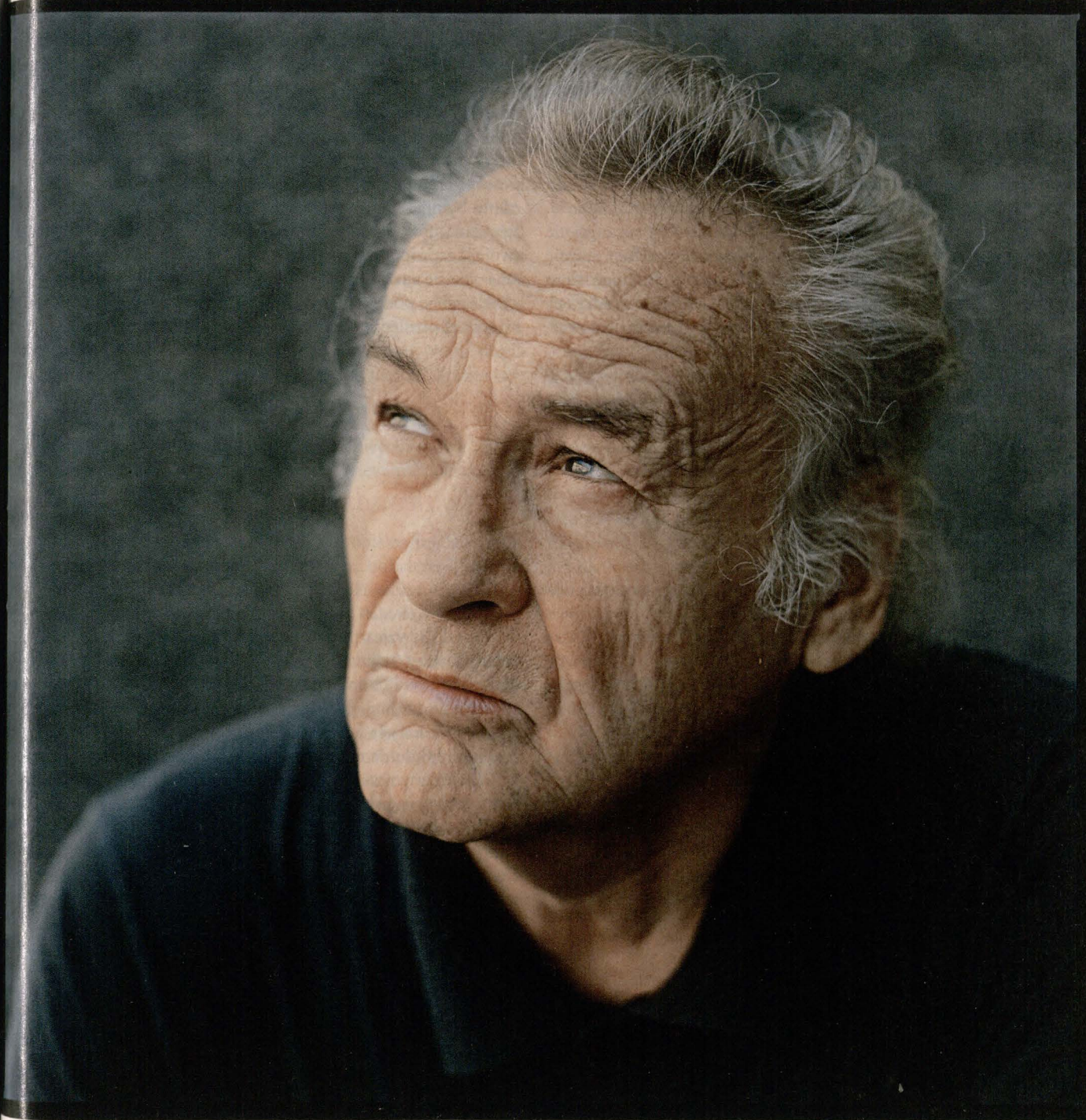
– Podejmowałem kolejne próby i zrealizowałem w hollywoodzkim studiu „Latarniowca”, ale to również najwyżej poprawny film.

**Dostał pan za niego nagrodę specjalną jury w Wenecji, tak samo jak teraz za „Essential Killing”. Czego mu zabrakło, by podbić świat?**

– Był zbyt artystyczny. Nie pomogła nawet świetna obsada, bo grali tam i Klaus Maria Brandauer, i świeży zdobywca Oscara Robert Duvall.

**Obaj szczerze się znienawidzili.**

– Zaczęło się od konfliktu Brandauera ze wszystkimi. Zdjęcia robił śmy na niedużym statku, z jedną toaletą i dwiema kajutami, w których mogli odpoczywać aktorzy. Było ich dziewięciu: Duvall, siedmiu Amerykanów oraz Brandauer. I on zażądał osobnej kabiny dla siebie tłumacząc to tym, że musi mieć korepetytora dialogów, żeby



*Cała moja koncepcja filmu z lenistwa na nic! Ja sobie myślałem, że Afganistan nakręcę na wydmach w Łebie, a resztę w lesie pod nosem. Tymczasem Afganistan znaleźliśmy w Izraelu, a Mazury zagraliśmy w Norwegii. Zrobiła się duża produkcja*

JERZY SKOLIMOWSKI



→ ćwiczyc amerykański akcent. No i w jednej kabinie było ośmiu gości, a w drugiej odpoczywał pan Brandauer.

**Duwallowi to pewnie umiarkowanie odpowiadało?**

- Tym bardziej że Brandauer podkreślał swój status gwiazdy na każdym kroku. To na niego czekano na planie, on miał kabinę, on dopiero uczył się roli - wszystkie zawodowe sztuczki. Duvalla szlag trafia. On ma Oscara, a tu jakiś Austriak z rozdwojonym nosem i beczelną miną prowokującą, by go wyróżnić. I się doigrał.

**Doszło do bójki?**

- Duvall zamierzył się na Brandauera laską, ale drogę zagroził mu korpulentny producent, więc to jego okładał Amerykanin (*śmiech*). Wrzeszczał przy tym, że zniszczy Brandauera, który niczego nie zrobi w Hollywood i on osobiście się o to postara. Brandauer sam się wykończył, bo był niemożliwy na każdym planie. Rozmawiałem z Sydneyem Pollackiem i Meryl Streep po „Pożegnaniu z Afryką”, którzy zgodnie mówili, że to paskudny typ i nie da się z nim pracować.

**Ale kobiety przynajmniej się nie biły.**

- I tylko tyle. Z Giną Lollobrigidą robiłem „Król, dama, walet”. Kręcimy na Lazurowym Wybrzeżu, pierwszy dzień miał być leciuteńki - robimy zachód słońca na łódce, ogólny plan bez zbliżeń, chwilką roboty. Późnym popołudniem odpływamy milę od brzegu, słońce zaczyna zachodzić, na łódce Gina i David Niven, my obok na tratwie, ja moczę nogi w wodzie - sielanka. Wszystko przygotowane, więc daję komendę: „Akcja!”. I krzyk Giny: „Muszę dostać krople do oczu!”. „OK. Krople dla pani Lollobrigidy!” - rzucam, ale cisza. Powtarzam, a tu nikt się nie rusza. Gina niewinnie tłumaczy, że krople zostawiła w hotelu. Na co mówię, że musi się ten kwadrans przemęczyć bez błyszczących oczu.

**Jak zareagowała?**

- Wstała i zaczęła wrzeszczeć przez kilka minut jak rozhisteryzowane dziecko. Zmęczyła się, usiadła. Mówię: „Gina, to był fantastyczny występ, oczy lśniły ci jak słońca, powinniśmy to filmować”. Oniemiała, a ja wykorzystałem to i nakręciliśmy scenę. David Niven, dzentelmen po sześćdziesiątce, wstał i w garniturze i w butach wskoczył do wody, a następnie popłynął milę do brzegu. Byle tylko nie być już z Giną ani chwili dłużej! Potem mieliśmy z nią takie rzeczy codziennie.

**Z Nastasią Kinski też nie pracowało się najlepiej.**

- Z nią w 1989 roku zrobiłem „Wiosenne wody”. Tu miałem gigantyczny budżet, bo producentem był Angelo Rizzoli, ekscentryczny włoski milioner, były właściciel AC Milanu. Mogłem za to zrobić 10 filmów! Z mojej strony to była nieudolna, komercyjna próba i zmaganie się z kaprysami gwiazdy.

**Atmosfera na planie zawsze źle wpływa na film?**

- Nie w przypadku „Essential Killing”. Z Vincentem Gallo mieliśmy straszne problemy. Ja rozumiem, że to była trudna, męcząca rola, z biegiem boso na mrozie, ale on gra według metody Stanisławskiego.

**I wczuwa się w rolę? Czyba nie został talibem?**

- Nie, ale antagonizował całą ekipę, by być sam przeciw wszystkim, poczuć się jak bohater filmu. Pod koniec zdjęć był powszechnie nie lubiany i nikt się do niego nie odzywał.

**Pan potrafi zrobić sobie kilkunastoletnią przerwę.**

- Po „Ferdynurce” chciałem odpocząć. Myślałem, że będą to 2-3 lata, a było 17.

**Dlaczego?**

- Strasznie mi się ten film nie podobał, byłem przygnębiony i załamany, że straciłem instynkt.

**Kiedy pan poczuł, że nie jest zadowolony z filmu?**

- To od początku było idiotyczne. Najpierw podpisałem kontrakt na hollywoodzki film, ale kręcony w Europie, czyli coś w sam raz dla mnie. Wziąłem 10 procent zaliczki, a to była i tak sześciocyfrowa kwota i zacząłem kombinować. Podstawą scenariusza była książka klasyczna, czyli do dupy - o morderstwach maniaków seksualnych w Wiedniu na przełomie XIX i XX wieku. Pomyślałem, że wprowadzę do tego postaci Freuda i Junga, miał grać Gary Oldman, więc jakoś to uratować. Ale to było jak perfumowanie gówna. Poszedłem na lunch z moim agentem i mówię, że zwracam zaliczkę. Ale on nie miał ochoty oddawać swojej! I zaproponował, żebym zajął się Gombrowiczem.

**Amerykański agent?**

- Tak! Szybko podpisaliśmy umowę, Francuzi dorzucili swoje aktorki i sygnęły pieniędzmi, zorganizowano koprodukcję międzynarodową.

Wyszedł taki „europudding” bez owina, inaczej się zachowują i wszystko robią inaczej. No to Wajda powiedział, żebym, skoro tak krytykuję, sam coś napisał. I przez noc napisałem jakieś 25 stron.

**Musimy rozstrzygnąć, kiedy pan się zajął tym projektem?**

**urodził: w 1936 czy 1938 roku?**

- To krępujące i absurdalne, bo w tym czasie głąda, jakbym się odmładzał, a urodziłem się w 1938 roku.

**A skąd ta wcześniejsza data?**

- W 1946 roku grupa 500 najbiedniejszych dzieci mogła jechać z Czerwonym Krzyżem na leczenie do Szwajcarii. Ja byłem naprawdę w opłakanym stanie, wy-

dałem jak trzy ćwierci do śmierci, i zakwalifikowano by mnie, ale byłem za młody - od 10 do 16 lat. Ośmiolatek nie mógł jechać, więc mama sfalszowała datę moich urodzin i zrobiła ze mnie dziesięciolatka.

**Potem mieszkał pan w Pradze.**

- A raczej 53 kilometry od Pragi, w miejscowości Poděbrady Lázně. Tam w XVI-wiecznym zamku króla Jerzego była jedyna elitarna męska szkoła z internatem w komunistycznej Czechosłowacji. A że mama była attaché kulturalnym w Pradze, to tam się uczyłem. Na łóżku obok spał Ivan Passer, późniejszy reżyser czeskiej Nowej Fali, który napisał scenariusz do „Miłości blondynki” i „Pali się, moja panno” Miloša Formana, a wtedy - starszy ode mnie o sześć lat - był szefem naszej sypialni.

**Z kim siedział pan w ławce?**

- Z Vaclavem Havlem, który dawał mi ściągać łacinę i grekę, a ja za niego rysowałem.

**Utrzymywaliście potem kontakty?**

- Kiedy Havel przyjechał do Paryża i był podejmowany przez Mitteleuropa, zaproszono mnie do Pałacu Elizejskiego. Nieco się spóźniłem, on dostrzegł mnie stojącego w drzwiach, rusza do mnie z otwartymi ramionami i mówi: *Nic ty se ne zmenil!* A ja patrzę na tego wasatego pana i odpowiadam: *A ty take ne.*

**Mówi jeszcze pan po czesku?**

- Biegle!

**A z Formanem się widywaliście?**

- Od kilku lat nie. Rywalizowałem z nim i Brandauerem o rolę w „Białych nocach”, bo Taylor Hackford wymyślił sobie, że pułkownika KGB powinien zagrać reżyser filmowy czujący się na planie równie pewnie jak pułkownik KGB w Związku Radzieckim. No i urządził nam zdjęcie próbne, z których wyszedłem obronną ręką, przez co popadłem w konflikt z Brandauerem, z którym zaraz potem kręciłem swojego „Latarniowca”. On się wściekł do nieprzytomności (*śmiech*).

**Wziął pan z matką do Polski i omal nie został etnografem.**

- Pobierałem do pisania pracy magisterskiej o więźbie dachów kurwowskich. Wybrałem taki temat, bo on polegał głównie na rysowaniu, a ja jestem znacznie lepszy w rysunku niż w słowie.

**Kierował pan do końca przygodę z filmem zaczął pan od pisania scenariusza?**

- Wajdy. Przez przypadek. Kiedy miałem 19 lat, wydałem dwa tomiki wierszy, z których zresztą, ale to wystarczyło, bym został najmłodszym członkiem Związku Literatów Polskich. I jako taki pojechałem do Domu Twórczej w Oborach pod Warszawą. I tam, wśród kilkunastu innych, byli Wajda i Andrzejewski piszący scenariusz filmu o młodości. Ponieważ byłem tam jedynym młodym człowiekiem, dali mi prawo do konsultacji.

**Wzburzył się pan mistrzami?**

- Zupełnie mi się nie podobało, a ponieważ miałem 19 lat i wszystko nosiłem, to im powiedziałem, że to jest do kitu, że młodzi inaczej myślą, inaczej się zachowują i wszystko robią inaczej. No to Wajda powiedział, żebym, skoro tak krytykuję, sam coś napisał. I przez noc napisałem jakieś 25 stron.

**Wzburzył się pan ich pomysły?**

- Napisałem coś zupełnie innego. Wajda się zachwycił i mówi: „Pisz dalej”. Z 25 stron zrobiliśmy 100 i powstał „Niewinni czarodzieje”, którego zresztą zagrałem.

**Wzburzył się pan kultury?**

- Z niego powiało świeżością. Nie przypisuję sobie zasług, ale widać było wyraźnie, że to zupełnie inny film, z innym bohaterem: blondy - na skuterze grającym jazz, podrywającym dziewczyny...

**Wzburzył się pan temu bohaterowi wierny, rzucając go Polańskiemu na jacht „Nozu w wodzie”.**

- Ale oddajmy, że tu cały pomysł był Romka. Ja tylko narzuciłem jedną rzecz: czas i miejsca, bo Polański pierwotnie chciał, by trójka bohaterów pływała po Mazurach całe lato. No i moje były dialogi, bo byłem wówczas uważany za wybitnego specjalistę od dialogów. To dlatego, że zacząłem się z ludźmi, miałem wyostrzony słuch na to, jak mówią, i starałem się przełożyć to na scenariusz.

**Wzburzył się pan „zadawałem się z ludźmi”? Był pan bon vivantem?**

- Byłem. To zresztą zabawne, bo życie coraz bardziej odsuwało mnie od ludzi i od pewnego czasu jestem właściwie odludkiem.

**Wzburzył się pan karierę w Polsce zakończyły podwójne oczy Stalina na plakacie**

**„Rękach do góry”.**

- Do Warszawy przyjechał wtedy szef festiwalu w Wenecji, który mnie zabrał do filmu Polskiego Andrzeja Skawiny, który dawał do zrozumienia, że „Ręce do góry” wygrał festiwal. No i wysłano kopię do Wenecji, by ją w kilka dni wyciąć.

**Wzburzył się pan to?**

- Interweniował ambasador ZSRR.

## Jerzy Skolimowski

Urodzony w 1938 roku. Z początku dał się poznać jako scenarzysta „Niewinnych czarodziejów” i „Nozu w wodzie”. Jako reżyser zadebiutował w 1964 roku głośnym „Rysopisem”. W latach 60. nakręcił jeszcze między innymi „Walkower”, „Barierę” i „Ręce do góry”. Od 1969 roku pracował za granicą. Występował w nim między innymi Jeremy Irons i Robert Duvall. Po fiasku nakręco-

nej w Polsce ekranizacji „Ferdynurce” z 1991 roku zwrócił się do reżyserii i zamieszkał na 17 lat. W 2008 roku wrócił w świat kinem „Cztery noce z Anną”. Za swój najnowszy obraz „Essential Killing” otrzymał nagrodę specjalną na tegorocznym festiwalu filmowym w Wenecji. Bywa aktorem - ostatnio choćby we „Wschodnich obietnicach” Davida Cronenberga.

**29 lat, szansa na sukces w Wenecji i taki cios...**

- Byłem wściekły. Poszedłem do człowieka numer dwa w partii, Zenona Kliszki. Pierwszy i ostatni raz byłem w gmachu KC. Pamiętam te gigantyczne, puste, wykładane granitem korytarze i gabinet Kliszki. Sekretarka uprzedziła mnie: „Ma pan pięć minut”.

**Co pan mu powiedział?**

- Że taki film pokaże, iż jesteśmy krajem naprawdę niezależnym, że stoją za nim tak wybitni ludzie jak członek KC Łomnicki, dyrektor teatru Hanuszkiewicz i inni. I mówię, że zapewne zrozumie nasze patriotyczne, szlachetne intencje i cofnie decyzję. A on na to krótko: „Nie”. Wtedy użyłem w swej naiwności ostatecznego, dramatycznego argumentu: „Jeśli ten film nie zostanie pokazany, to ja nie mam co w tym kraju robić”. Nato Kliszko wstał i rzucił: „Szerokiej drogi”. To był koniec audyencji. Po kilku dniach sami przywieźli mi paszport do domu! I pojechałem do Londynu.

**Zmienimy temat. Z kim nie udało się panu zrobić filmu?**

- Z Jackiem Nicholsonem, z którym przyjaźnimy się od ponad 30 lat. Za to zagraliśmy razem w „Marsjanie atakują” Tima Burtona.

**Tam zagrali wszyscy, cały Hollywood.**

- To była świetna zabawa i bardzo mile to wspominam.

**Miewał pan jako aktor kłopoty z reżyserami?**

- Nigdy, jestem szalenie zdyscyplinowany, bo uważam, że to najłatwiejsze pieniądze, jakie zarabiam w życiu. Przecież chodzi o to, żeby nauczyć się roli, stawać na zaznaczonych na ziemi znakach i gadać.

**Łatwizna.**

- A jak to jest płacone... (*śmiech*) Stoi pan sobie na tym swoim znaku minutę, dwie i myśli: „Zarobiłem już tyle tysięcy. Mogę tak postać jeszcze z pół roku”.

REKLAMA



**Blueconnect Max to swoboda korzystania z Internetu z pełną kontrolą kosztów. Jeśli nie masz jeszcze Tak Taka, kup starter Tak Tak i korzystaj z Internetu w telefonie za 9 zł miesięcznie i ani grosza więcej.**

tak tak

Dzięki Blueconnect Max:

- otrzymujesz ciągły dostęp do swojej poczty e-mail,
- zawsze wiesz, co się dzieje w Polsce i na świecie, bo masz dostęp do Onet.pl, WP.pl, Gazeta.pl i innych portali informacyjnych,
- masz kontakt ze znajomymi, bo jesteś on-line na Facebooku i NK.pl,
- oglądasz najciekawsze teledyski i śmieszne filmiki na YouTube.

Słowem - korzystasz z Internetu w pełni elastycznie, czyli tak, jak chcesz.

Aby aktywować usługę, wystarczy wysłać SMS o treści MAX pod bezpłatny numer 8010. Szczegóły na [www.era.pl](http://www.era.pl)



MOŻESZ WIECIEJ



# Czy sztuka potrzebuje lewicy, a lewica – sztuki

Sztuka ma sens tylko wtedy, gdy zmienia świat – twierdzą jedni. Polityczne zaangażowanie kończy się propagandą i zabija sztukę – uważają inni. Hunwejbiniów i tradycjonalistów zapraszamy do dyskusji

## Ja, zgniły konserwatysta



JACEK WAKAR

Szef działu kultury „Przekroju”, krytyk teatralny

**P**rzez trzy ostatnie dni kwietnia tego roku w warszawskim Teatrze Dramatycznym odbywał się cykl performance'ów pod wspólnym tytułem „Żywa waluta”. W ramach imprezy swą akcję przygotował skandalizujący hiszpański artysta Santiago Sierra. Wynajął – po 15 złotych za godzinę na pięć godzin dziennie – kilkunastu mężczyzn, którzy na scenie Dramatycznego, na oczach widzów, nosili gipsowe płyty używane zwykle na budowach. Zdarzenie miało obnażyć ponizanie pracą, właściwe dla systemu kapitalistycznego. Bezrobotni zapewne „aktorzy” użyci zostali jako materiał do projektu Sierry. I wystawieni na publiczny widok, czytaj: pośmiewisko albo w najlepszym razie współczucie.

Performance Sierry opisuje w ostatnim numerze „Krytyki Politycznej” – dziś najważniejszy z uczestników dyskusji o sztuce zaangażowanej, biorącej z dobrodziejstwem inwentarza idee lewicowe, a często twórczo je rozwijającej. Na zdjęciach Artura Żmijewskiego rzecz wygląda należycie – surowo i wyraziście. Tyle że nikt nie pyta, ilu widzów zobaczyło „Żywą walutę” i jaki realny rezonans zyskała. W tym właśnie tkwi paradoks. Sztuka ideologicznie zaangażowana straciła dziś skuteczność. Jest jednym z nurtów sztuki w ogóle – traktowanej *en masse* albo w podziale na poszczególne dziedziny. Szermuje mocnymi hasłami występowania w czyimś imieniu (najchętniej wykluczonych), ale ich samych dotyczy nader rzadko. Staje się zatem pustym gestem, potrzebnym przede wszystkim artystom,

bo stanowiącym podbudowę ich działania, a czasem i alibi, że dla nich twórczość nie jest celem samym w sobie, że występuje przeciw, jest w nieustannej opozycji. To zawsze dobrze brzmi, wciąż się sprzedaje. Tym lepiej, kiedy artystycznym zdarzeniom towarzyszy odautorski komentarz wyjaśniający, dlaczego dzieło jest artystycznie doskonałe i społecznie ważne. I przy okazji objaśniający pogląd na świat jego autora.

Koniunktura wydaje się wymarzona, bo rząd przynajmniej w założeniach mamy konserwatywno-liberalny, zatem lewica może bić w niego jak w bęben, a noszący się ze ów punkt widzenia ma przecież wiekową trasę. A dziś artyści zdają się nie czerpać z tego większej inspiracji. Nie zamierzam, rzecz jasna, negować tak wanej sztuki krytycznej sygnowanej przez bliskich „Krytyce Politycznej” autorów. Siła prac Sasnala, Libe-Żnająewskiego czy Althamera – choć to zazwyczaj nie moja bajka – nie bierze się jednak z ich poglądów politycznych, ale – przepraszam za banał – z talentu, racji i umiejętności. Mam też pewność, że nie wszyscy widzowie wiedzą, z kim artyści ci sympatyzują. Bo ich w najmniejszym stopniu nie obchodzi.

Mimo wysiłków środowiska „Krytyki Politycznej”, wszystkich działań, w których odgrywa ono rolę kulturowego oraz intelektualnego zapłonu, idee



PANI JADWIGA OD ZAWSZE LUBI SWOJĄ PRACĘ

ślaskich („Benek” Glińskiego, „Drzazgi” Pieprzycy czy „Co słonko widziało” Rosy). Definicji odpowiadają natomiast jak najściślej „Galerianki” Rosłonec, które są niczym więcej niż rozdętym do rozmiaru pełnometrażowej fabuły społecznym reportażem. W tym zestawieniu najlepiej widać, że zaangażowanie to zbyt mało, by mówić o sztuce. Dlatego wciąż nie mamy swego Mike'a Leigh albo Kena Loacha.

Nie ma tu miejsca na rysowanie rodowodu sztuki politycznej. Wystarczy powiedzieć w dużym uproszczeniu, że przynajmniej gdy chodzi o teatr, ostatni impuls przyszedł z Niemiec, gdzie lewicowy nurt artystyczny wciąż jest bardzo mocny. My, zapatrzeni w Castorfi i kolegów, zaczęliśmy przenosić na polski grunt ich strategię i estetykę. Czasami z niezłym, częściej z gorszym skutkiem. Tak zwany teatr polityczny stał się w Polsce zjawiskiem wyraźnym, choć zawdzięcza to w przeważającej mierze umiejętnemu PR samych artystów i stojących za nimi promotorów, którzy wynieśli zjawisko zdecydowanie ponad jego wartość. Nie zmienia tego przeświadczenia ostatnia prosperity duetu Monika Strzępka-Paweł Demirski, bo przysposabiają oni dla sceny zazwyczaj nie spektakle, lecz propagandowe plakaty. Można i tak. Imożna zachwycać się energią aktorską w przedstawieniach Wojtka Klemma, ale nie zmienia to faktu, że gdy idzie o myśl, przypominają one socrealistyczne agitki, zatem cofają się o kilkadziesiąt lat. Znamienne zresztą, że do niedawna najmocniej kojarzeni z polityką młodzi reżyserzy dziś szukają dla siebie nowych języków, może rozczarowani, że ich „radikalne komunikaty” zostały zignorowane albo przynajmniej niewłaściwie rozumiane przez publiczność. Najlepszym przykładem „Szewcy u bram” Jana Klaty i Sławomira Sierakowskiego odebrani powszechnie jako błąh antyziobrowski kabaret jednorazowego użytku.

Dlatego formuła współistnienia lewicy i sztuki, jeżeli kiedykolwiek istniała, dzisiaj wydaje się wyczerpywać. Sztuka nie powinna rezygnować z wypowiadania się w imieniu ludzi słabszych i w takim sensie pozostanie lewicowa. Nie odstąpi też od bieżącego komentowania rzeczywistości oraz formułowania wobec niej oskarżeń. Tyle że nie ma przyszłości skala jeden do jednego zamieniająca dzieło w doraźną publicystykę, sprawdzającą je do socrealistycznego wymiaru.

Tego rodzaju poglądy na nowo dadzą mi łatkę konserwatysty, pięknoducha, co odnalazł się w nowym systemie, więc ma gdzieś wykluczonych. W porządku, mogą być nawet zgniłym konserwatystą. Nikomu nie odmawiam prawa do buntu, krzyku, szoku. Więcej, szukam ich wokół siebie. Tylko nie zrezygnuję z przekonania, że bardziej politycznym autorem od Pawła Demirskiego jest niejaki William Szekspir.

Rysunek **Wilhelma Sasnala**, który wykorzystaliśmy, pochodzi z najnowszego numeru „Krytyki Politycznej” (22/2010) zatytułowanego „Prze-moc”

Kolejne głosy w dyskusji w najbliższych numerach „Przekroju”



## Nie chcemy uciekać

SUGESTIA STEPHENA HAWKINGA PRZEKAZANA W TEKŚCIE PIOTRA STANISŁAWSKIEGO „UCIECZKA NA ZIEMIĘ 2.0” W „PRZEKROJU” (NR 36/2010), ŻE W CIĄGU 200 LAT POWINNIŚMY ZNALEZĆ SOBIE NOWĄ PLANETĘ DO ŻYCIA, NIE TRAFIŁA NA PODATNY GRUNT. W TAKI SPOŚÓB POLEMIZOWALIŚCIE Z NIĄ NA STRONIE [WWW.PRZEKROJ.PL](http://WWW.PRZEKROJ.PL)

Nie widzę sensu przeprowadzki. Jaką mamy pewność, że na innej planecie będziemy wolni od zagrożeń? Żadną! W inną planetę też może uderzyć jakaś planetoida, na innej planecie też zagrozi nam puchnące Słońce. Skoro życie na Ziemi ma swoje cykle, to i tak nic nie zmienimy. Być może za jakiś czas będziemy mieli potop, po którym nastąpią różne zlodowacenia, i nie przetrwa większość gatunków. Nie mamy na to wpływu i nie widzę sensu, aby się nad tym zastanawiać.  
— GG 2010.09.16 10:51

Po co? Pytam się! Skoro rasa ludzka udowodniła, że nie potrafi żyć wspólnie na całkowicie porządnej planecie, jaką była kiedyś Ziemia, to po co, pytam, rozprzestrzeniać tę destrukcyjną hołotę? Niech mamy to, na co sami sobie zapracowaliśmy. Tu, na Ziemi.  
— par.2 2010.09.15 16:06

Optymistycznie. Science fiction coraz częściej i coraz szybciej przenika się z odkryciami naukowymi. Nie wiemy, co będziemy wiedzieć za następnych 15 lat, ale sądzę, że dużo. Myślę, że damy radę.  
— ola 2010.09.15 15:37

No i nie udało się wygrzebać z szufladki science fiction. Podróże do innych systemów gwiazdnych są przy dzisiejszych możliwościach technicznych tylko bajeczką... Więc cały artykuł mimo ciekawych i aktualnych informacji o egzoplanetach trudno traktować poważnie.  
— sz 2010.09.15 01:43

## Krzyża nie ma, komentarze są

NA PORTALU SPOŁECZNOŚCIOWYM FACEBOOK ZADALIŚMY WAM PYTANIE, CZY NAGLE ZNIKNIĘCIE KRZYŻA (STAŁO SIĘ TO 16 WRZEŚNIA) SPRZED PAŁACU PREZYDENCKIEGO TO KONIEC ZAMIESZANIA. OTO WASZE OPINIE

Jakub Kwiatkowski:  
Obawiam się, że początek.

**Magdalena Majchrzak:**  
A ja się pytam, gdzie byli wtedy obrońcy krzyża, no gdzie?

**Bartek Kin:**  
Nie martwmy się, w Świebodzinie będziemy mieli ponad 30-metrowego Jezusa! Może zamontują mu ów krzyż na szyi?

**Joanna Bydler:**  
Zaraz będzie nowe pod tytułem: „Kto się dopuścił samowolki?”, a ja uważam, że jest dobrze, bo może ludzie się kiedyś jednak uspokoją.

**Jacek Kajszczyk:**  
Krzyż trafił do kaplicy Pałacu Prezydenckiego. To teraz jak nic krewcy obrońcy szturmem wezmą Pałac. Do broni! A tak na poważnie – do końca tego tygodnia znowu nie będzie ani słowa o podwyżce VAT. Nie do wiary jest to, że w Polsce drewno jest cenniejsze od złota.

**Maciek Kulig:**  
Od razu powinni byli tak zrobić, bez żadnych zapowiedzi, podawania dat, po prostu go zabrać w nocy, i tyle.

**Marcin Szuda:**  
Obawiam się, że „prawdziwi Polacy” dostarczą nam jeszcze nieco emocji. Stawiam na „krzyż-duplikat”.

**Łukasz Błażek:**  
Nic nie będzie... Pokrzyżują, opulają po raz setny premiera i prezydenta, Jarek dostanie nowy powód do oszczerstw, kler będzie miał o czym głosić kazania, PiS będzie miał o czym mówić w kampanii, RM i TV Trwam zrobią kilka audycji, Pospieszalski zrobi reportaż... Norma.

**Weronika Bulicz:**  
Zaraz koniec... Pewnie nie koniec. Najbardziej żenujące jest to (właśnie zdałam sobie z tego sprawę), że „porwanie” krzyża to główny temat wszystkich stacji informacyjnych.

**Łukasz Be:**  
Spokojnie... Powołają komisję śledczą pod przewodnictwem PO i na pewno się okaże, że krzyż został przeniesiony przez jego obrońców...

**Dorota Fabisiak:**  
Myślę, że przez jakiś czas będzie jeszcze gorzej... Ale i tak była to świetna decyzja. Byłe tylko

### Płyty za listy

Najciekawsze listy i e-maile, które do nas przesyłacie, oraz wpisy umieszczone w profilu „Przekroju” w portalu społecznościowym Facebook nagradzamy płytami. W tym tygodniu do wzięcia jest płyta Katy Perry „Teenage Dream”. Płyty funduje EMI Music Poland.



## Ucieczka na Ziemię 2.0

Zmienił Stephen Hawkinga mamy 200 lat na przygotowanie przewidywań z naszego globu na następne planety

**C**zy kiedyś nie zastanawialiście się, co będzie z nami za 200 lat? Czy nie zastanawialiście się, czy nie będziemy już wtedy żyć na innej planecie? Stephen Hawking, jeden z najbardziej znanych fizyków na świecie, w swojej najnowszej książce „Ucieczka na Ziemię 2.0” odpowiada na te pytania. Według niego, za 200 lat będziemy już żyć na innej planecie. Dlaczego? Bo Ziemia nie jest idealnym miejscem do życia. Ma zbyt wiele problemów, które nie da się rozwiązać. Na przykład, Ziemia jest zbyt mała, aby móc przetrwać w przypadku katastrofy. Dlatego, według Hawkinga, musimy znaleźć inną planetę, na której będziemy mogli żyć. W swojej książce Hawking przedstawia kilka możliwości. Jedną z nich jest kolonizacja Marsa. Inną jest kolonizacja księżyców innych planet. Trzecią jest kolonizacja innych planet. W swojej książce Hawking przedstawia również kilka sposobów na to, jak możemy przetrwać. Jednym z nich jest budowa chronów. Innym jest budowa statków kosmicznych. Trzecim jest budowa kolonii na powierzchni innych planet. W swojej książce Hawking przedstawia również kilka sposobów na to, jak możemy przetrwać. Jednym z nich jest budowa chronów. Innym jest budowa statków kosmicznych. Trzecim jest budowa kolonii na powierzchni innych planet.

znowu media nie zajmowały się wyłącznie tym...

**Marcin Szuda:**  
Kurzczę! Następnym razem ugryzę się w język! Już są doniesienia, że szykuje się grupa „obrońców”, która chce postawić nowy krzyż.

**Anna Jaszuńska:**  
Nowy krzyż w nowej Polsce. Od dziś IV RP zmienia nazwę na X RP. Bardziej krzyżowo, bardziej trendy, czy jak tam teraz młodzież mówi. Zajebonzo?

## Nie, bo nie!

Z PEŁNĄ PRZYJEMNOŚCIĄ KOMENTOWALIŚCIE NA FACEBOOKU ARTYKUŁ KAROLINY PASTERNAK „DLACZEGO NIE?” OBWIESZCZAJĄCY KRES ZJAWISKA ZWANEGO POLSKĄ KOMEDIĄ ROMANTYCZNĄ

**Karolina Bednarek:**  
Wreszcie!! Ile było można?!

**Małgorzata Sularzyk:**  
Polska komedia romantyczna – to brzmi jak erzac, i takie jest. I obawiam się, że zbyt wcześnie odtrąbiamy sukces. Takie będą polskie komedie romantyczne, jakie ich publiczności chowanie.

**Joanna Gęsicka:**  
Żeby coś się kończyło, najpierw musi się zacząć. Nie przypominam sobie takiego faktu.

**Małgorzata Dziemdok:**  
Polska komedia romantyczna – bardzo ładny oksymoron.

**Joanna Golubińska:**  
Spośród wymienionych w artykule filmów w kinie byłam na dwóch – „Galeriankach” i „Rewersie”. Tytuł pieniędzy nie żałuję, chętnie wydałabym więcej na produkcję klasy drugiego z nich. Oby tylko się pojawiały. „Romkomy” produkcji ITI zupełnie mnie nie interesują. Brak w nich jakiegokolwiek pomysłu.

**Małgorzata Mazur:**  
Wreszcie koniec? Aż mi się wierzy, nie chce... Ale oby!

**Monika Ablewicz:**  
Bez szans, niestety. Popyt, podaż...

**Dariusz Brzostowicz:**  
Filmowcy wyczerpali gatunek nazywany polską komedią romantyczną. Recepta była prosta: znane nazwiska na plakacie, efektowne apartamenty, drogie auta plus *product placement*. Gdy w studni pojawia się dno, trzeba znaleźć nowy gatunek. Może powrót do brutalnego kina sensacyjnego albo dramat społeczno-obyczajowy lub kolejna ekranizacja lektury szkolnej (zawsze można na bić jakiś remake)? Nadzieja w młodych reżyserach, takich jak twórcy „Rewersu”!

**Marta Adamska:**  
Nie chcę tu oczywiście bronić żadnego z tych filmów, ale jeśli wszystkie są robione według schematu droga Warszawa + Karolak + *product placement*, to co w zestawieniu robią „Rozmowy nocą”?

**Gabriela Dom:**  
Jak dla mnie, to ta moda nawet się nie rozpoczęła, choć kilka z tych filmów obejrzałam na usilne prośby mojej 13-letniej córki. Musiałam... tak dla towarzystwa, choć nie w kinie – ściągnęłam z Chomika. Jedno je łączyło: w jakimkolwiek momencie mogłabym je wyłączyć i nie ciekawiłoby mnie, co będzie dalej. A aż taka wymagająca nie jestem. Mam duży sentyment do „Pretty Woman” czy „Dirty Dancing”. :-)



Siemens wspiera projekt WWF „Klimat i Energia”

Teraz Ty również możesz stać się naprawdę eko! Kup super-energooszczędne urządzenie marki Siemens, a otrzymasz 150 zł eko-premii. Promocja obejmuje urządzenia w następujących klasach efektywności energetycznej: pralki A-20%, A-30%; suszarki A-40%, A-50%; zmywarki A-10%, A-20% oraz urządzenia chłodnicze A++. Oferta obowiązuje od 1.09.2010 do 31.10.2010. Szczegóły promocji w ulotkach i na [www.siemens-home.pl](http://www.siemens-home.pl)

The future moving in.

SIEMENS





# Ewolucja jabłka\*

\* czyli królika

Apple ma w sobie coś z dziejów życia na Ziemi - mimo częstych porażek i drobnych potknięć zawsze wychodzi na swoje

PIOTR STANISŁAWSKI

**E**wolucja to mocno niezrozumiany proces. W naturze człowieka leży bowiem głęboka potrzeba dostrzegania celowości w każdym zjawisku - stąd też choćby kreowanie bogów, którzy nadają światu sens swą nadludzką myślą. Tymczasem cały dobór naturalny i jego skutki to prawdziwy koncert bezcelowości. Nie ma królika doskonałego, ku któremu zmierzają wszystkie prakróliki. Proces ewolucji to spektakl porażek, fatalnych pomyłek i wpadek. Rodzą się więc nieustannie króliki bez futra, z jednym okiem lub pięcioma łapami. Raz na jakiś czas trafia się jednak zwierzak, który trochę lepiej słyszy, bo jego uszy wygięte są pod dziwnym kątem. Wcześniej zatem zaczyna uciekać, gdy zbliża się niebezpieczeństwo. I proszę - mamy chwilowy sukces, który jest dziełem przypadku.

Jednak w całej swej bezcelowości ewolucja ma pewną szczególną cechę - zawsze wychodzi na swoje. Gdyby nie to, nie czytałbyś tych słów. Życie na Ziemi zniknęłoby dawno za sprawą kolejnego meteorytu, epoki lodowcowej lub erupcji wulkanu. Kluczem jest bowiem przystosowanie i elastyczność, które nakazują nie przejmować się porażkami i bez żalu porzucać niepotrzebne już modele, by szybciej dostosować się do potrzeb rynku.

## Wielkie zaskoczenia

No dobrze, ale jak to wszystko ma się do słynnej firmy sadowniczej z kalifornijskiego Cupertino? Przecież Apple Steve'a Jobsa to dziś niemal niedościgniony wzór sukcesu. Paradoksalnie kluczem do tego sukcesu może być brak jednego celu, jasnego schematu, którym podąża biznes.

Kiedy Steve Jobs, który odszedł z Apple'a w 1985 roku, po 12 latach powrócił →

## Historia dotyku

Jeśli chciałoby się wskazać technologię, która stała się symbolem Apple'a, z pewnością mogłyby to być interfejsy dotykowe. Od Newtona po najnowsze iPody firma z Cupertino potrafi sprawić, że myszka i klawiatura wydają się przeżytkiem.



Steve się zmienia, choć wbrew sobie. Pozostaje wierny zestawowi: dzinsy Levi's 501 i czarny sweter St. Croix. Na nogach zwykle buty New Balance 991. Najbardziej zmieniła go choroba, z którą walczy od 2004 roku.

1993

1994

1995

1996

1997

1998

1999

2001

2002

2003

2004

2005

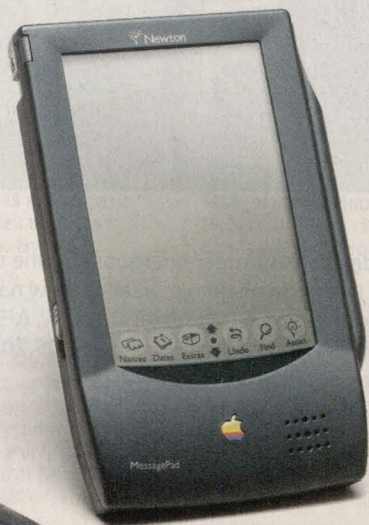
2006

2007

2008

2009

2010

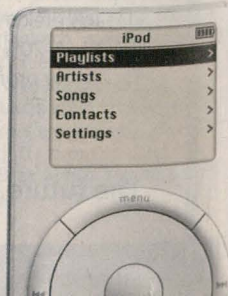


### 1993 NEWTON

Pierwsze poważne podejście Apple'a do tematu dotykowych interfejsów i od razu duża porażka. Newton, podręczny organizator, mimo (a może właśnie w wyniku) nowatorskiego projektu sprzedawał się kiepsko, choć producent twierdził, że trzymał produkt na rynku przez pięć lat. Za duży (wielkości kasety VHS), za ciężki (ok. 0,5 kg) i stanowczo za drogi (ok. 1000 dol.) stał się jednak wprawka do iPhone'a.

### 2001 IPOD

W trzy lata po zniknięciu z rynku Newtona Apple pokazał nowe, tym razem udane podejście do dotykowego sterowania. Kółeczko iPod'a stało się symbolem genialnej prostoty.



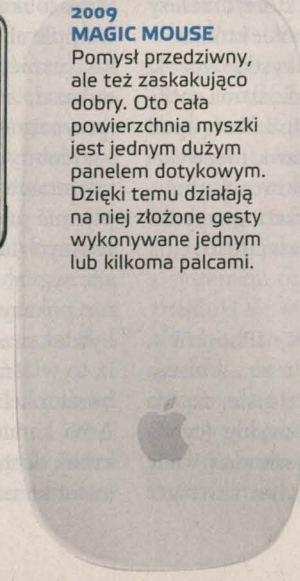
### 2007 IPHONE

Ewolucja? Tak i nie. I tak, bo dotykowe interfejsy istniały już od lat, a na rynku były już telefony wykorzystujące tę technologię. Tak, bo dotykowe interfejsy tak dobrze wykorzystują ekran, że z prostym menu i ikonami nie ma się trudnym do osiągnięcia wzorem.



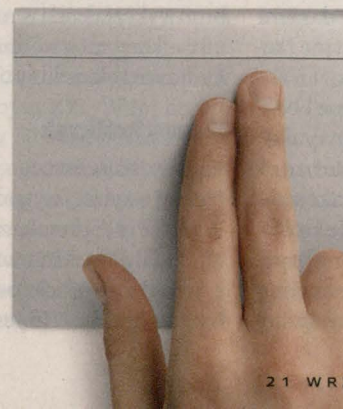
### 2009 MAGIC MOUSE

Pomysł przedziwny, ale też zaskakująco dobry. Oto cała powierzchnia myszki jest jednym dużym panelem dotykowym. Dzięki temu działają na niej złożone gesty wykonywane jednym lub kilkoma palcami.



### 2010 MAGIC TRACKPAD

A gdyby tak wyjąć z laptopa trackpad, powiększyć go i postawić obok biurkowego komputera? Tak właśnie działa Magic Trackpad. Znowu zaskoczenie i znowu sukces.



### 2010 IPOD NANO 6G

Kolejny skok - wkrótce okaże się, czy zakończony bezpiecznym ładowaniem. Odtwarzacz składający się niemal wyłącznie z dotykowego ekranu. Genialny minimalizm?



→ do kierowania firmą, sprawa wydawała się jasna. Apple produkuje niezawodne, ale niszowe komputery dla wydawnictw i studiów graficznych. Jest w tym dobry, choć faktycznie nie powodzi mu się najlepiej.

Szafeństwo Jobsa objawiło się dość szybko. Już kilka miesięcy po objęciu funkcji prezesa zamordował najbardziej nowatorski od lat projekt – dotykowy organizator Newton, którym od 1993 roku Apple próbował podbić rynek. Fakt, pięć lat bezskutecznych starań to sporo, ale przecież to był naprawdę fajny produkt.

Metoda w szaleństwie ukazała się w pełnej krasie w 1999 roku, gdy Apple wypuścił na rynek kolorową zabawkę – przenośny komputer iBook. Kto to w ogóle kupi? Komputer z uchwytem niczym walizka? No zgroza po prostu! A jednak ruch okazał się genialny. Dzięki niezwykle wyjątkowemu iBook przebił się na rynku pełnym biurowych skrzynek.

W 2001 roku Apple znów zaskoczył świat. Białe iPod? Po co komu taki dziwny odtwarzacz? Na dodatek stopniowo zaczęły zniknąć te uwielbiane przez wszystkich wielobarwne komputery. Oszaleli?

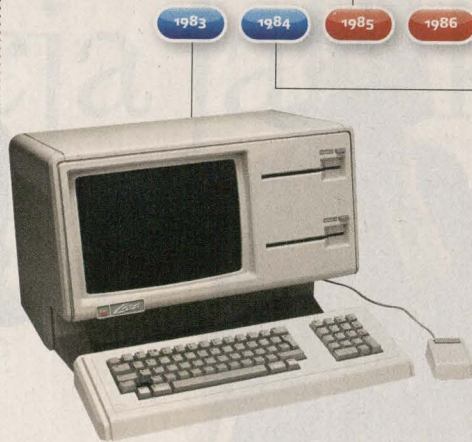
Te i kolejne ruchy Apple'a cechuje szczególne doza szaleństwa. Gdy już coś się przyjmie na rynku i stanie standardem, to zamiast (jak każda przyzwoita firma) eksploatować do końca świetny pomysł, państwo z Cupertino zaczynają kombinować. Zupełnie jak ewolucja, która nigdy nie osiąga etapu ukończonego superkrólka i zawsze próbuje, co by tu jeszcze zamieszać.

## A jak się nie uda...

Ale gdzie są te króliki z jednym okiem i ogonem na czole? Czy Apple wypuszcza w ogóle produkty nietrafione, które eliminuje rynkowy dobór naturalny? Ależ oczywiście – zdychających królików jest całkiem niemało. Ot, choćby przykład najnowszy, ogłoszony 1 września – nowy (?) iPod shuffle. Dokładnie rok temu z wielką pompą oznajmiono, że ekran i przyciski w odtwarzaczach muzycznych stały się niepotrzebne. Oto w najniższym z nich zastąpiły je informacje głosowe oraz kombinacja kliknięć maleńkim pilotem przymocowanym do słuchawek. Zdaniem Apple'a było to rozwiązanie rewolucyjne i rewelacyjne. Zupełnie nowy typ królika.

Przez rok się kotłowało, bezekranowe i bezprzyciskowe stwory skakały po całym rynku. A teraz Steve Jobs jak gdyby nigdy nic oznajmia, że „ludziom najwyraźniej brakowało przycisków”. Królik zdechł, niech żyje królik. Najnowszy shuffle jest niemal dokładną kopią produktu sprzed dwóch lat uzupełnioną o komunikaty głosowe – znowu pojawiły się,

## Wszystko razem



### LISA

Choć nie jest to bezpośredni przodek późniejszej linii Macintosh, to Lisa ze swoim interfejsem graficznym i konstrukcją wszystko-w-jednym niewątpliwie wpłynęła na późniejsze pomysły integracji komputera z monitorem. No dobrze – w tym wypadku poza obudową znalazł się twardy dysk. Opcjonalnie podłączane urządzenie miało pojemność 5 MB.

### MACINTOSH 128K

Pierwszy prawdziwy Macintosh – już widać charakterystyczną konstrukcję integrującą wszystkie elementy w jednej obudowie. Niezwykle cicha, w tej wersji komputera nie zainstalowano wentylatora. Był on więc bardzo cichy, ale jednocześnie okropnie się przegrzewał. Rezygnacja z wentylatora była osobistą decyzją Steve'a Jobsa. Mocno nietrafiona – wycofał się z niej jednak dopiero w 1986 roku.



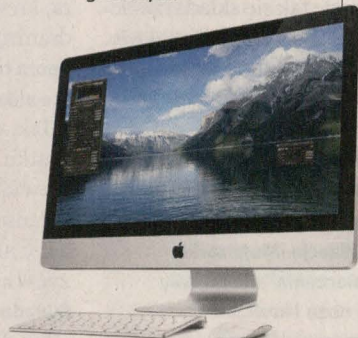
### MAC G3

To było naprawdę wielkie wydarzenie – nikt dotąd nie widział tak dziwnego, a zarazem pięknego komputera. Znowu obudowa all-in-one, tym razem jednak bez wpadek w rodzaju braku chłodzenia. Świetnym pomysłem, zapożyczonym z lat 80., był uchwyt do przenoszenia komputera.



### iMAC G4

Nazwa narzucała się sama – iLampa. Choć komputer nie był w jednej obudowie z monitorem, łączyła je nierozdzielna więź. Dziwna konstrukcja raczej nie podbiła serc użytkowników – komputer był na rynku tylko przez dwa lata.



### IPHONE 4

Co tu robi telefon? Prawdę mówiąc, to też całkiem mocny komputer o rozdzielczości ekranu prawie cztery razy większej niż ta, którą dysponował Macintosh 128K.

ponoć zupełnie zbędne, przyciski. Jakkolwiek by na to spojrzeć – porażka, ślepa uliczka. Co robi Apple? Jednym tylko zdaniem przyznaje, że popełniono błąd, w dodatku zwała winę na klientów. Bezcelność? Być może, ale o to tu chodzi – nie ma porażek, są tylko pomyłki, o których zapominamy.

Inny przykład – Apple TV, przystawka do telewizora, która miała zrewolucjonizować oglądanie telewizji. Nawet o niej nie słyszałeś? Nic dziwnego – nikt tego nie chciał kupować. W tym roku nietrafiony produkt, po gruntownej przebudowie, dostał ostatnią szansę – albo zyska pozycję na rynku, albo wpadnie do ciemnej studni ewolucji, na której dnie leży choćby Newton czy inne jednookie króliki.

Jak to się jednak dzieje, że wszystkie wpadki i porażki, nieunikniony efekt działania doboru naturalnego, nie psują opinii firmy spod znaku jabłka? A to już inna sprawa, niezwykle broń wykształcona w toku konkurencji z innymi rynkowymi stworami – marketing z mydłem oczu okraszony odrobiną wudu.

### Kulawy króliczek

Weźmy najnowszego królika – iPhone'a 4. Piękny, szybki, wygodny. Tyle że... kulawy. Wkrótce po premierze okazało się, że ten wspaniały, niesamowity, niezwykle (cytaty z Jobsa) nowy telefon ma paskudną wadę konstrukcyjną. Umieszczoną na zewnątrz

antenę łatwo zewrzeć dłonią, przez co spada siła sygnału sieci komórkowej. Sposób, w jaki Apple wybrnął z kłopotu, stanie się zapewne wzorem opisywanym w podręcznikach marketingu. Pokazuje, dlaczego Apple, jak ewolucja, zawsze wychodzi na swoje.

Gdy królik okazał się kulawy, pierwszy ruch był nieudany – próbowano wmówić wszystkim, że problemu nie ma, tylko zwierzę trzeba stawiać na nieco pochylonym podłożu. Czyli, telefonicznie mówiąc, nie należy trzymać aparatu w określony sposób. Założenie: grzebiecie – iPod'a touch. Pokazany po raz pierwszy 5 września 2007 roku, osiem miesięcy po prezentacji iPhone'a, reklamowany był jako narzędzie do trzech głównych zastosowań – słuchania muzyki, przeglądania Internetu i oglądania filmów. Faktycznie nadawał się do tego świetnie. Minęły jednak trzy lata (przynajmniej jak się je odpowiednio kopie) – podobny problem może się pojawić w wielu telefonach konkurencji. Chwilę później płynnie przeszedł do prezentacji ultranowoczesnych laboratoriów, w których Apple badał siłę sygnału. A ponieważ firma nigdy dotąd nie pokazywała kulis swojej pracy, wszyscy byli tak przejęci, że nawet nie zwrócili uwagi na to właśnie w tych ultranowoczesnych laboratoriach przeoczono tak oczywisty błąd. A na końcu ogłoszono „rewelację” – każdy królik dostanie małą ortopedyczną buciełkę (osłonkę na antenę), który zapobiega zaci-

zyce, filmach i Internecie. Jak gdyby nigdy nie zaczął prezentację nowego modelu swojego króliczka od ogłoszenia, że jest on najlepiej sprzedającym się w dziejach... konsolą do gier. Zdaniem Jobsa iPod touch sprzedaje się lepiej niż dwaj giganci rynku przenośnych konsoli – Sony PlayStation Portable oraz Nintendo DS. Oniemiali widzowie przyjęli informację bez problemu, tym bardziej że już za chwilę zostali oczarowani niezwykle zgrabnym pyszczkiem nowego stworka.

Czas na refleksję przyszedł później. Skrupulatni specjaliści z CNN Money szybko otrząsnęli się z czaru Jobsowego wudu i skupili się na liczbach. Dokładne przejrzanie danych z ostatnich trzech lat pokazało ciekawą prawidłowość. Apple nigdy nie zdradził, ile sztuk iPod'a touch kupiono. No nic, może akurat nie było okazji – w końcu tyle ważniejszych rzeczy wokół się dzieje.

Jednak drażno sprawę dalej. Na tej samej konferencji Steve ogłosił, że na całym świecie sprzedano jak dotąd 120 milionów urządzeń z systemem operacyjnym iOS. W tej liczbie znajdują się trzy typy jabłkowych królików – iPody touch, iPhone'y oraz iPady. I tu niespodzianka – do stycznia tego roku samo Nintendo sprzedało 125 milionów swoich konsoli DS. Sony – ponad 62 miliony PSP. 125 + 62 = 187. Czyli Sony wraz z Nintendo sprzedały 187 milionów konsoli, podczas gdy Apple – mniej niż

120 milionów iPod'a touch. A więc kłamstwo? Oj, nieladnie.

Niezupełnie. Steve Jobs użył słów: „iPod touch przebił sprzedaż przenośne konsole Nintendo i Sony razem wzięte”. Dalsze dociekania doprowadziły do wniosku, że faktycznie w ostatnim kwartale sprzedaż toucha mogła przebić sprzedaż wspomnianych konsoli. A więc nie kłamstwo, tylko sprytna psychotechnika. Sami sobie jesteśmy przeciwieństwem, że dopowiadamy rzeczy, których Steve wcale nie powiedział.

Karkołomny zwrot, specjalność Apple, znowu zadziałał. W najnowszej reklamie iPod'a touch, który wcale nie zmienił się radykalnie, nie ma już śladu po słuchaniu muzyki czy Internecie. Dominują gry. Narodziła się więc nowa konsola. Nie w laboratoriach i fabrykach, ale w świadomości użytkowników. Królik pozostał królikiem, tylko wmówiono nam, że to wcale nie jest półprodukt na pasztet, ale słodka przytulanka. A my ochoczo się na to zgodziliśmy, bo przecież jest śliczny i słodziakowy. Prawda?

Ostatnie 13 lat Apple'a to prawdziwy pokaz tego, że najważniejszy wcale nie jest jasno wyznaczony cel. Najbardziej liczy się przetrwanie za wszelką cenę, elastyczność i niezmarły entuzjazm. Nic dziwnego – ta metoda sprawdza się na Ziemi od dobrych trzech i pół miliarda lat.



# Krew dla dzieci

O wpuszczaniu snu przez rurkę, rozoranych łokciach i gronkowcach łajdakach opowiada Krystynie Romanowskiej autor książki „Skaleczenie”, pediatra, doktor **WOJCIECH FELESZKO**

Pana debiut literacki opowiadał o glutach.

Druga książka jest o nożu i ranie w palcu. Jak pan tak może, panie doktorze?

– Rzeczywiście, na razie tak się składa, że bohaterami moich książek są płyny ustrojowe. Pierwszy tom przygód doktora Florentego Orzeszki opisuje walkę z przeziębieniem. Drugi – szcicie rany zadanej nożem podczas krojenia bułki. Medycyna, zwłaszcza dziecięca, to różnego rodzaju katastrofy.

Obie książki mają wartką akcję, suspens i aż proszą się o ekranizację. Moje córki po przeczytaniu „Skaleczenia” nie mówiły o niczym innym jak o nożu i krwi...

– Ojej, myśli pani, że przesadziłem?

Myślę, że nie. Bo kiedy jedna z nich upadła i skaleczyła się w kolano, nie płakała i pozwoliła przykleić sobie plaster, gdyż „tak radzi doktor Orzeszko”. Jaki stosunek do swojego ciała mają dzieci – boją się czy są ciekawe?

– Myślę, że doznają jednych i drugich odczuć. Dzieci, tak jak każdy z nas, boją się tego, co się z nimi dzieje, kiedy coś jest nie tak. Pierwszy kontakt z krwią jest dla nich przerażający. Ale dziecko w tym wieku ma też ogromne potrzeby poznawcze, zarówno w zakresie świata zewnętrznego, jak i tego, co dzieje się w ciele. „Mięso mi wyszło na wierzch i było widać kość” – zna to pani? Dzieci opowiadają sobie różne dziwne rzeczy na temat ran, lubią zaglądać pod opatrunki.

Przed czym doktor Orzeszko przestrzega.

– Jedna, lekarska, część mojej duszy każe mi przestrzegać. Ale jest jeszcze druga – dusza naukowca. I ta wykazuje całkowite zrozumienie dla dziecięco naukowej ciekawości. Jeżeli zaś chodzi o coś takiego jak szcicie rany, to ciekawość idzie na bok. Dzieci wprawia to w stan absolutnego przerażenia. Czynność szcicia, którą przecież znają chociażby z przyszywania guzika, w odniesieniu do ich własnego ciała po prostu je paraliżuje.

Czyli dzieci należy oswajać z widokiem krwi?

– Dzieci są z nim oswojone, choćby przez telewizję, ale tylko do momentu, kiedy krew pojawi się na ich ciele i nagle jest jej dużo.

Pan w swojej książce dokładnie tłumaczy, co dzieje się w ranie.

– Jest w tym coś magicznego: czerwona dziura, krew się leje, a jednocześnie – mimo tego dramatyzmu – cały proces można odwrócić.

Sporą rolę odgrywają w tym procesie tajemnicze eliksiry...

– Tak, chodzi o hormony tkankowe. Na początku opisałem je fachowymi nazwami, ale w końcu stanęło na eliksirach. To delikatny balans między walorami edukacyjnymi a tym, żeby nie zamęczyć małego czytelnika. I włożyć w książkę trochę magii.

Świadomie wybiera pan taką poetykę?

– Tak. Dzieci postrzegają świat bajkowo, dużo fantazjują. Dlaczego więc nie pokazać im tego, co dzieje się w ich ciele, jako bajkowego widowiska z odrobiną dydaktyki? Jestem zwolennikiem koncepcji szamanizmu opisaną przez Claude'a Lévi-Straussa. Uważam, że w naszej bardzo intelektualnej i technologicznej medycynie często zapominamy o potrzebie odrobiny magii. Jest to ta część naszej psyche, która pozwoli nam wyobrazić sobie chorobę. Wizualizacja choroby, czyli wyobrażenie sobie, że dzielny limfocyt walczy o to, by do rany nie dostały się gronkowce łajdaki, a dzielne płytki krwi (doskonale narysowane przez Ignacego Czwartosa) za pomocą kielni i zaprawy murarskiej tamują powódź krwi.

## Strzała w chorobę

O ROLI WYOBRAŹNI I WIZUALIZACJI W WALCE Z CHOROBAМИ MÓWI JOLANTA ZBROZEK, PSYCHOLOG KLINICZNY, BYŁY KIEROWNIK PRACOWNI PSYCHOLOGII KLINICZNEJ DZIECI I MŁODZIEŻY SZPITALA AM W WARSZAWIE

**M**ałe dzieci są bardzo zainteresowane tym, co mają w swoim wnętrzu. Niestety, nie potrafią tego sobie wyobrazić, dlatego podsuwa się im rysunki, ilustracje, żeby spróbowały sobie zwiualizować chorobę. Skuteczność takiej metody

jest niezaprzeczalna. I to nie w walce z katarą i innymi dolegliwościami, które szybko mijają, ale przede wszystkim w ciężkich chorobach nowotworowych.

Pamiętam 13-letniego chłopca cierpiącego na raka kości, z którym pracowałem.

Wyobrażał sobie swoją chorobę jako tarczę, a chemioterapię jako strzały trafiające w tę tarczę i próbujące ją zniszczyć. Udało mu się pokonać chorobę. Na metodzie wizualizacji jest przecież oparta terapia Carla Simontona. Niezbędnym warunkiem tego,

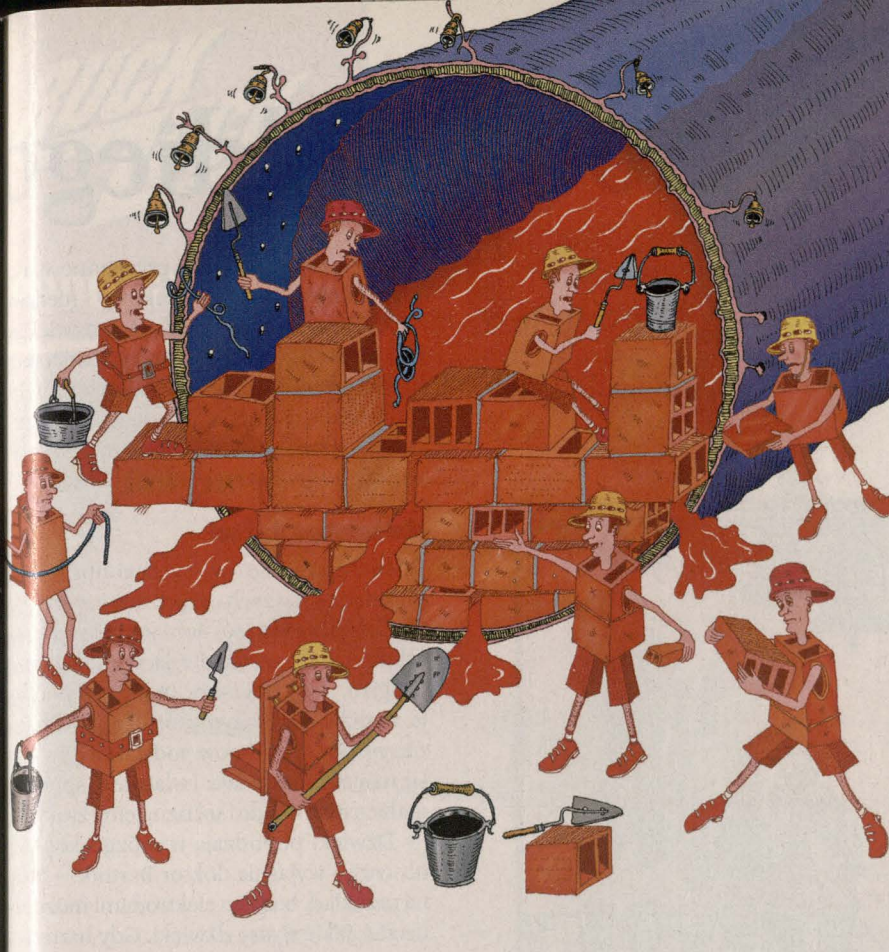
żeby dzieci zaczęły wizualizować, jest bardzo mocna więź i świetny kontakt z dorosłym. Dlatego wspólnie czytanie i oglądanie książek, nawet o zwykłym skaleczeniu czy przeziębieniu, jest świetnym sposobem na szybsze wyjście z choroby.

Czy to działa?

– Zilustruję przykładem: podczas prądu pierwszym totem posłużyłem się projektami rysunków Ignacego, wydrukowałem je i podsuwałem dzieciom w klinice. Niektórzy z nich cierpieli na o wiele bardziej poważną chorobę niż opisany w książce katar czy skaleczenie. Zaczęłem im opowiadać o ich chorobach jak o bajce, w której pojawiają się dziwne stworzy. I zaczęło działać! Owszem, dzieci płakały, to nieodłączny składnik dziecięcego cierpienia, ale ze zrozumieniem akceptowały medyczne procedury. Nie bały się już tak bardzo, kolorowały bakterie, wieszały je na szpitalnym łóżku. Nie mam na to żadnych badań porównawczych, ale wierzę, że to pomaga dzieciom lepiej zrozumieć, co dzieje się w ich ciele.

W przypadku „Skaleczenia” pierwszym czytelnikiem był pana starszy syn.

– Tak. Akurat wrócił z obozu z paskudnym rozwalonym łukiem brwiowym, założył mu kilka szwów. Przeczytałem mu książkę, a dziewczynka porządnie rozorwała sobie łokieć. Wiedziałem, że uspokoiła go świadomość, że wieszaliśmy pogotowie. Dziecko pojechało samo, a potem do szpitala dojechała ciocia dziewczynki. Wieczorem z synami poszliśmy zawieźć jej tę książkę. Wiedziałem, że wielki opatrunek na rękę oraz zapłakane oczy dziewczynki i pomyślałem sobie, że to jest właśnie sytuacja, w jakiej należy po taką lekturę sięgnąć. Kiedy rana jest opatrzona, chcemy jeszcze raz, w bezpieczny sposób, przeżyć to, co nas spotkało. Dlatego jako dorośli często oglądamy filmy albo czytamy książki o podobnych sytuacjach, chcemy porównać swoje uczucia z uczuciami bohaterów i już spokojnie wsłuchać się w emocje. Stąd też u małych dzieciach taka gotowość do ciągłego powtarzania tego, jak i kiedy upadły, co się potem działo, jak je bolało, jak je uspokajała mama itp.



Kiedy rodzice powinni sięgnąć po taką książkę?

– Znów posłużę się przykładem: dwa dni temu koło mnie na placu zabaw kilkuletnia dziewczynka porządnie rozorwała sobie łokieć. Wieszaliśmy pogotowie. Dziecko pojechało samo, a potem do szpitala dojechała ciocia dziewczynki. Wieczorem z synami poszliśmy zawieźć jej tę książkę. Wiedziałem, że wielki opatrunek na rękę oraz zapłakane oczy dziewczynki i pomyślałem sobie, że to jest właśnie sytuacja, w jakiej należy po taką lekturę sięgnąć. Kiedy rana jest opatrzona, chcemy jeszcze raz, w bezpieczny sposób, przeżyć to, co nas spotkało. Dlatego jako dorośli często oglądamy filmy albo czytamy książki o podobnych sytuacjach, chcemy porównać swoje uczucia z uczuciami bohaterów i już spokojnie wsłuchać się w emocje. Stąd też u małych dzieciach taka gotowość do ciągłego powtarzania tego, jak i kiedy upadły, co się potem działo, jak je bolało, jak je uspokajała mama itp.

Pan takich rozmów z dziećmi przeprowadza regularnie. Jak tłumaczy pan choroby dzieciom?

– Z dzieciństwa pamiętam laryngologa tłumaczącego sześciolletniej mnie, co za chwilę stanie. Podczas silnego krwotoku z nosa powiedział: „Zaraz mocno zabolii!”. I zabolęło.

Preparat przypalił mi końcówki naczyń krwionośnych. Lepsze to niż wmawianie, że wszystko będzie dobrze, i jednocześnie załęknięcie spojrzenia rodziców.

– Tak, to prawda, komunikacja szwankuje. Dialog z dzieckiem jest potrzebny od pewnego wieku. Nie dyskutuje się z noworodkiem czy niemowlakiem na temat zasadności dawać mu szczepionki, ale już dwuipół-, trzylatek ma prawo wiedzieć, co mu się robi. Złazcza jeśli są to zabiegi bolesne. Mam kilka sprawdzonych patentów. Na przykład kiedy maluch ma być poddany narkozie, mówię: „Słuchaj, za chwilę wpuszczymy tą rurką sen. Tu będą monitorzy jak na statkach kosmicznych. A ty dostaniesz maskę jak kosmonauta. Na tych monitorach będziemy obserwowali, co się dzieje w twoim sercu”. I rzeczywiście, dzieci wpisują to w wyobrażaną przez siebie rzeczywistość. Malcom cierpiącym na przewlekłe schorzenie tłumaczę: „Słuchaj, w twoim ciele pojawiły się takie robale i bakterie. Ale my tu mamy odkurzacz, który będzie je odsysał (to drenaż), albo musimy wpuścić truciznę, która je wytruje (antybiotyk w kroplówce)”. Inny przykład: kiedy robię małym pacjentom nakłucia mające wykręcić alergię, wiem, że może to nie być przyjemne, bo nikt nie lubi być kluty. Dlatego pokazuję im wtedy igłę i mówię: „To jest taki

pazurek, jak u kota. Dotknij. Bolało?”. Nie. „Jest krew?”. Nie ma. „To teraz weźmiemy rękę mamy i taty i też podrapimy. Obejrzyj sobie tę igielkę, zobacz, dotknij”.

Działa?

– Muszę pani powiedzieć, że po takim wstępie przerażony cztero- czy pięcioletek daje sobie robić testy bez żadnego płaczu. Można to oczywiście zrobić inaczej: matka trzyma wierzgające i płaczące dziecko, a ja spocony próbuję wykonać kilka nakłuć. Przerażenie i ból są wtedy silniejsze. Uważam, że warto dziecko traktować partnersko, ponieważ to działa.

I te pomysły przychodzą panu ot tak, same z siebie?

– (śmiech) No, muszę być na bieżąco z dziecięcą kulturą masową. Staram się oglądać filmy, znać kanon literatury. Na przykład w książce „Skaleczenie” jest sok z gumijagód. Podczas ostrych dyżurów w szpitalnej izbie przyjęć niekiedy mówię małym pacjentom: „A teraz dostaniesz sok z gumijagód”. Zdziwieni rodzice zastanawiają się, czy facet jest normalny, dziecko jest raczej zaciekawione i ucieszone, a najważniejsze, że miejsce strachu zajmuje ciekawość. Dzieci chętnie wchodzi w tę konwencję, bo jest to dla nich atrakcyjniejsze, niż gdybym, dajmy na to, powiedział: „Teraz dostaniesz amoksylicynę albo hydroksyzynę”. Sok z gumijagód brzmi przyjemniej, prawda? Dzieci są bardzo wymagającymi odbiorcami. Wydaje mi się, że pediatrzy są taką grupą lekarzy, którzy po prostu muszą świetnie komunikować się i z rodzicami, i z dziećmi. Ja mam na przykład w swoim gabinecie atlasy anatomiczne i często wyjaśniam rodzicom, co się dzieje. Często też rysuję i to jest zabawne, bo oczywiście nie są to rysunki klasy Ignacego Czwartosa.

A jakim sprytnym fortem zmusza pan dziecko, żeby otworzyło buzię i powiedziało „aaa”?

– Na to nie ma dobrego sposobu. Po prostu proszę: „Powiedz: aaa”.

Doktor Wojciech Feleszko

– z zamyłowania immunolog, z zawodu pediatra. Pracuje w Szpitalu Uniwersyteckim przy ulicy Działdowskiej na warszawskiej Woli. Nauczyciel akademicki, współautor podręczników dla studentów medycyny. Za swoją pracę doktorską otrzymał Nagrodę Premiera RP. Jest autorem dwóch książek dla dzieci: „Ładowanie rinowirusów” i „Skaleczenie”. Nie do końca utożsamia się z doktorem Orzeszką, choć tak jak on jeździ skuterem.





# Nienasycony głód Vivaldiego

Dlaczego muzyka sprawia nam przyjemność? Bo wyraża harmonię Wszechświata? A może jest po prostu bezpieczną fizjologiczną używką?

OLAF SZEWCZYK

**P**amienna scena z „Misji” Rolanda Joffé. Południowoamerykańska dżungla, XVIII wiek. Jezuita, w którego wciela się Jeremy Irons, gra na oboju, z gąszczy wychodzą urzeczeni Indianie Guarani, zbliżając się do źródła dźwięków niczym nocne owady do światła. Uniwersalne piękno muzyki, czytelne mimo dzielących dwa światy różnic, przekonuje tubylców, by zaufać białemu kapłanowi obcego boga. I ostatecznie przyjąć jego wiarę.

Estetyczna przyjemność, a bywa, że metafizyczny dreszcz, który czasami nas przenika podczas słuchania Haendla, Mozarta, Coltrane’a, nie wyrasta z cywilizacyjnych nawyków. Zdolność do zachwycenia się muzyką jest ludzom wrodzona.

– Właśnie muzyka, obok języka, odróżnia nas od świata zwierzęcego. Czyni nas ludźmi – podkreśla wyjątkowy status tej formy twórczości doktor habilitowany Ernest Aleksy Bartnik, którego wykład „Piękno muzyki w opinii fizyka” będzie jedną z atrakcji tegorocznego Festiwalu Nauki w Warszawie. Muzyka jest sztuką wyróżnioną – w przeciwieństwie do choćby tradycyjnego malarstwa nie naśladuje rzeczywistości. Cytaty ze świata naturalnych dźwięków, jak kukułka w VI symfonii Beethovena, są rzadkie i od razu rozpoznawalne.

## Jelita Pitagorasa

To, że wykład o muzyce poprowadzi specjalista w dziedzinie fizyki kwantowej, nie powinno dziwić. Afekt badaczy prawideł rządzących światem materii i energii do Terpsychory, opiekunki pieśni, trwa od zawsze. Matematycy, fizycy, chemicy często sami są muzykami, skrzypek Einstein nie był wyjątkiem. Niemal zawsze są to zdeklarowani melomani.

Pitagoras jako pierwszy zauważył, że częstości poszczególnych dźwięków łączą doskonałe arytmetyczne relacje. W swym legendarnym eksperymencie przymocował do drążka struny z koziego jelita. Każdą obciążał innym ciężarkiem. Te obciążone w stosunku dwa do jednego brzmiały w oktawie. Przynajmniej



według kronikarzy. Z czasem ojciec Galileusza Vincenzo Galilei odkryje, że proporcje wag i częstości były bardziej złożone – ale nadal łączyła te liczby żelazna prawidłowość.

Pitagoras wyróżnia w swej filozofii trzy rodzaje muzyki: *musica instrumentalis* – zwykła, słyszana ludzkim uchem; *musica humana* – nieustająca, niesłyszalna, wyrażająca współbrzmienie ciała i duszy; i wreszcie *musica mundana* – muzyka kosmosu, określana mianem muzyki sfer. Idée fixe wielu po Pitagorasie myślicieli i astronomów, by wspomnieć choćby Keplera.

Naukowe, a nie ezoteryczne podstawy wiedzy, dlaczego pewne współbrzmienia

dźwięków sprawiają nam przyjemność, a inne, zdobyliśmy stosunkowo niedawno. W XVIII wieku Fourier odkrył, że dźwięki składają się z częstości podstawowej i częstości harmonicznych będących jej wielokrotnością. I to właśnie te drugie decydują o charakterze danego dźwięku – dzięki nim rozpoznajemy nutę sol grają skrzypce, a nie beczy koza.

## Małżeństwo do i sol

Wsluchajmy się w szczególnie piękne brzmiały w naszych uszach mariaż dźwięków C i G – inaczej do i sol. Ich częstości są ze sobą w ładnej arytmetycznej relacji jeden do trzech. Jeśli zagramy te nuty i poddamy je analizie, zauważymy, że częstości harmoniczne obu tych tonów podstawowych częściej na siebie nakładają. I właśnie to sprawia, że małżeństwo nut do i sol uznajemy za udane.

– Dźwięki pobudzają w mózgu konkretne obszary – wyjaśnia doktor Bartnik. – Można na przykład, badając elektrodami mózg, ustalić, jakie słyszy dźwięki. Gdy harmonie się nakładają, pobudzony obszar jest stosunkowo niewielki. Przy relacjach dysonansowych, jak C i cis, gdzie niemal brak wspólnoty harmonicznych, mózg jest przeciążony i odbiera muzykę jako nieprzyjemną.

Dlaczego zatem nie słuchamy na okrągło jednego szczególnie przyjemnego akordu, wolnego Bacha w wykonaniu Glenna Goulda?

Nasz mózg jest ewolucyjnie zaprogramowany jako analizator sygnałów skorelowanych, czyli występujących w ciągu według rozpoznawalnej reguły, ale wyłącza się po pewnym czasie, jeśli nie wyłapuje w tych sygnałach anomalii. Gdy zamieszkamy przy młynie wodnym, po dwóch dniach nie będziemy już słyszeć szumu wody. Muzyka to sygnały, które mózg lubi analizować – uporządkowane, występujące w harmonijnych relacjach, ale z elementem niespodzianki. Lubimy robić to, do czego jesteśmy stworzeni.

## XIV Festiwal Nauki w Warszawie

**O** śmierci ofiarach odkrycia, że niektóre nieskończoności są bardziej nieskończone od innych nieskończoności. O groźnych stworzeniach czyhających w tej śmietanie. O tajemnicach

wytwarzania stali damasceńskiej. O fachowych metodach rozpoznawania kłamstwa. Oraz o ponad 700 innych, niezwykłych i fascynujących aspektach nauki dowiesz się podczas XIV Festiwalu Nauki w Warszawie.

Impreza trwa od 18 do 26 września. Czekają na nas wykłady, pokazy i debaty. Wybrane wydarzenia będziemy relacjonować na stronie [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl), a wszelkie informacje

wraz ze szczegółowym programem imprezy można znaleźć na stronie [www.festiwal-nauki.edu.pl](http://www.festiwal-nauki.edu.pl). Proszę, czym prędzej zacząć przeglądać, bo sam program to obszerna lektura.

**RUCK ZUCK.pl**

PODŁOGI I DRZWI



redukcja hałasu w pomieszczeniu zwiększona o ponad 50%



soft & silent

ciszej...

cieplej...

przyjemniej...

Ponad 100 punktów partnerskich w całym kraju



pełna lista sklepów na [www.ruckzuck.pl](http://www.ruckzuck.pl)

Sieć salonów

**RuckZuck**

Oferujemy:

• PANELE PODŁOGOWE

• DRZWI WEWNĘTRZNE

• PODŁOGI DREWNIANE

• AKCESORIA

Ponadto fachowa obsługa, transport towaru oraz profesjonalny montaż. To wszystko znajdziesz w salonach RuckZuck w całym kraju.



# Czuły dotyk robota



Tak, mocniej, mocniej, aaach!... Nie przedstawaj! Mmm... Mrau... O tak, cudownie... Jeszcze, jeszcze proszę... Och...

FELIETON  
OLAF SZEWCZYK

Któż z nas nie zna tych dionizyjskich spazmów, tych intymnych jęków wydawanych przez drugą połowę stadła w trakcie uprawiania jednej z największych przyjemności w każdym udanym związku – drapania. Jak istotnym, wszechstronnie użytecznym organem jest skóra, jak na co dzień niedocenionym, przekonujemy się dopiero w sytuacjach skrajnych – zawinięci od stóp do głów w bandaż lub obsypani dokuczliwą, niepoddającą się maściom wysypką. Wyobraźmy sobie teraz, że wyposażeni jesteśmy w skórę hiperczułą, inkrustowaną punktami G jak muchomor białymi kropkami. Że muśnięcia wiatru na skroniach wygrywają symfonie doznań. Że miłe dotykowe sygnały, zwielokrotnione, prowokują mózg do erupcji endorfin.

Stanisław Lem opisywał dekadencją przyszłość ludzkości, w której wszystkie fizyczne bodźce, po wzmocnieniu, kierowane były w mózgu do ośrodka przyjemności. Wijące się z rozkoszy ćwiartowane, miażdżone, rozszarpywane ofiary, sklejane potem do kupy przez automaty medyczne, trwały w niekończącym się cyklu upajającej zmysły agonii.

Nie wiem czemu – choć podejrzenia pewne mam – właśnie te gorzkie w wymowie wizje przemknęły mi przez głowę jako ostatnie, gdy przeczytałem o przełomie w pracach nad stworzeniem sztucznej skóry. Sukces ogłosiły jednocześnie zespoły badawcze amerykańskich uczelni w Berkeley i Stanford. W obu przypadkach, mimo eksploracji odmiennych technologii, udało się stworzyć „skórę” cienką, elastyczną oraz bardzo czułą na dotyk. Szczególnie obiecująca wydaje się konstrukcja naukowców z kalifornijskiego Stanford University – tak wrażliwa na nacisk, że rejestruje nawet wizytę motyla. Jak zapewnia szef zespołu Zhenan Bao, ich sztuczna skóra nie tylko nie ustępuje możliwościom ludzkiej, ale także można ją łatwo produkować.

Mówi się zatem bez ogródek o przekroczeniu Rubikonu w robotyce. Naukowcy przewidują, że nowa sztuczna skóra umożliwi nawet konstruowanie automatów chirurgicznych. Ali Javey, profesor z Berkeley, sięga po bardziej prozaiczny, ale nie mniej wymowny przykład. Robot wreszcie sprawdzi się jako gospośka domowa – tłumaczy – gdy będzie w stanie umyć kieliszki

do wina, nie tłukąc ich. Skojarzenie pewnie nieprzypadkowe. W Stanford i Berkeley musiał zakończyć w te dni kruchy żywot nie jeden kieliszek, i to z ludzkich wypadłszy ręk, nie robocich. Było co świętować, bo i splendor pewny, i kokosy z patentów.

Roboty do zmywania czy wycinania wyrostków robaczkowych to bowiem jedno – o przemyśle erotycznym, który niechybnie z impetem zanurkuje w tę niszę, nie wspominając – ale przemysł, że tak się wyrażę, rekonstrukcji ludzkiego ciała, to osobne sezamy i skarbcie. Oficjalnie naukowcy mitygują się, przypominając, że aby sztuczną skórą obłec protezy, trzeba rozwiązać arcytrudny problem translacji elektronicznych impulsów na język, którym komunikują się z mózgiem nasze organy. Nieoficjalnie jednak napięcie sięga zenitu, bo wszyscy wiedzą, jak wygląda dziś krzywa postępu – zamiast pełzać leniwie nad osią x-ów, coraz wyżej podnosi łeb, by już za chwilę wystrzelić niczym rakietą w górę. Ostrożne deklaracje w rodzaju „To zajmie nauce dużo czasu” należy czytać jako „O rany, żeby tylko nikt nas jutro nie wyprzedził!”.

Kalecy odzyskają zatem ręce, nogi oraz inne postradane członki. Szybko jednak pojawi się pokusa, by zdobyć ciało jeszcze lepsze, jeszcze wrażliwsze – bo to, że technologia przebiega naturę, to pewne. Czy ulegniemy temu mirażowi? Czy, niczym w filmie „Surogaci”, zapagniemy żyć mocniej, szybciej w mechanicznych awatach?

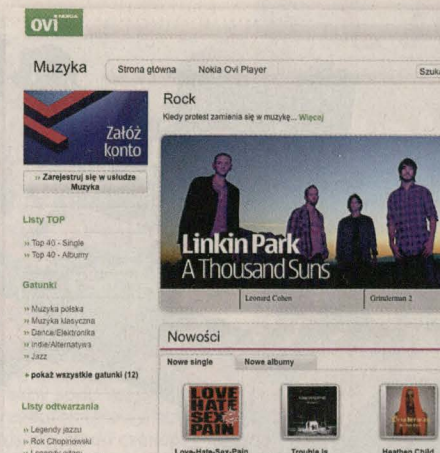
Czymkolwiek się to skończy, to już będzie zupełnie inny świat.

# Nareszcie porządnie gra

koniec z pokątnymi zakupami brytyjskich i amerykańskich grwisach. W Polsce ruszył pierwszy z prawdziwego zdarzenia sklep z muzyką w postaci cyfrowej. Żekamy na konkurencję

OTR STANISŁAWSKI

twierdzili, że się nie da. Że ponoć nasze prawo na spółkę z upiornym ZAiKS-em w Polsce sprzedaż muzyki w formie elektronicznej niemożliwą. A tu proszę – jakby nigdy nie Nokia uruchomiła swój sklep i Muzyka w zupełnie nowej postaci. Koniec z dziwnymi formatami. Od 16 września możemy wybierać spośród sześciu milionów (!) utworów, które można kupować w cenach 2,49 zł, 2,99 zł oraz 3,49 zł. Z kolei



cały album kosztuje, niezależnie od liczby utworów, 24,99 zł lub 34,99 zł. To całkiem przyzwoita cena zważywszy, że w największym sklepie muzycznym świata iTunes typowy album kosztuje 10 dolarów, a za nowości przyjdzie nam zapłacić nawet 15 dolarów.

Co ciekawe, sklep oferuje też całkiem pokazną kolekcję polskiej muzyki, choć są tu dziwne dziury – choćby Kult, który w Ovi Muzyce ma tylko jeden album. A skoro już o Kulcie mowa, to sklep Nokii najwyraźniej nie zamie-

rza ograniczać się tylko do prostej sprzedaży utworów. Ovi jest bowiem partnerem MTV Unplugged i patronuje koncertowi Kultu z 22 września. Dzięki temu można tam kupić przedpremierowo singiel MTV Unplugged Kult oraz dostać utwory bonusowe niedostępne gdzie indziej. No to teraz kolej na iTunes. ●

## Uwaga! Konkurs!

ovi NOKIA

Nokia wraz z „Przekrojem” zapraszają do udziału w błyskawicznym konkursie. Do wygrania 10 kodów umożliwiających pobranie ze sklepu Ovi Muzyka darmowego albumu. By wygrać, trzeba odpowiedzieć na pytanie: „W jakim formacie dostępne są obecnie pliki muzyczne w Ovi Muzyce?”. Odpowiedź prosimy przesłać e-mailem w czwartek 23 września 2010 roku dokładnie o godzinie 14 na adres konkurs@przekroj.pl. Wygrywa 10 pierwszych prawidłowych odpowiedzi. Regulamin konkursu dostępny jest na stronie www.przekroj.pl. Zapraszamy!

## DO ZOBACZENIA

# Kawał Wszechświata

Serial Discovery „Jak działa Wszechświat” powinien być obowiązkową lekturą dla każdej szkoły. Choć może wtedy oglądanie go nie sprawiałoby tyle przyjemności

Wiesz, co zostanie, gdy już nasze Słońce umrze, niszcząc przy okazji Ziemię? Diament. Ogromny – mniej więcej wielkości Księżyca. Powstanie w samym środku białego karła będącego pozostałością po jaśniejszej gwiazdy. I ktoś jeszcze uważa, że astronomia to same nudy? Serial Discovery Science „Jak działa Wszechświat” to potężny, miłośnicy i ogromnie ciekawy kawał wiedzy o kosmosie. Robota jest tym lepiej wykonana, że wbrew pozorom nakręcenie takiej opowieści nie jest wcale łatwe. Telewizja ma bo-

wiem to do siebie, że cały czas musi coś pokazywać. Na dodatek to coś powinno się ruszać. Tymczasem większość naszej wiedzy o Wszechświecie pochodzi ze zdjęć – twardych co prawda, ale nieruchomych. Autorzy poradzi sobie z tym wyzaniem na dwa sposoby. Jeden to od lat sprawdzony w filmach dokumentalnych efekt powolnego zbliżania nieruchomego obrazu. Do tego dobry narrator i już da się całkiem oglądać. Na szczęście na tym nie poprzestano i serial uzupełniają zgrabnie zrobione i nietrące sztucznością animacje.



Gotujący się i pulsujący kłęb gazu, czyli gwiazda, jakich w kosmosie miliardy

W sumie dostajemy niemal kompletny podręcznik podstawowej wiedzy kosmicznej. I jeśli cokolwiek mi tu przeszkadza, to zbytnia zachowawczość. Autorzy za mało mówią o zagadnieniach, które w ostatnich latach tworzą ferment

w astronomii i sprawiają, że teoria Wielkiego Wybuchu bywa coraz częściej podważana.

„Jak działa Wszechświat” można oglądać w poniedziałki o godzinie 22.30 na kanale Discovery Science

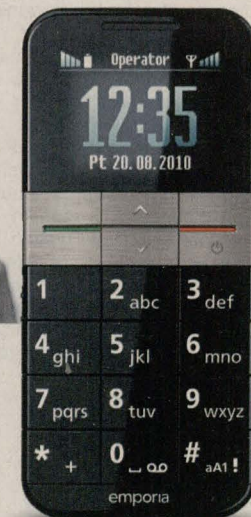
Wolę poczytać dobrą książkę, niż instrukcję obsługi.”

## Rozmowy w dobrym stylu. Nowa emporiaELEGANCE.

Ten łatwy w obsłudze i atrakcyjny telefon wyjątkowo trafnie spełnia oczekiwania dojrzałych konsumentów o wyszukany guście. Przezroczysta funkcjonalność czyni instrukcję obsługi zbędną, a minimalizm jego kształtów zadowoli każdego miłośnika wyrafinowanych projektów.

Dostępny w salonach i sklepach sieci ERA, PLUS, PLAY i ORANGE.

Łatwiejsze kontakty z bliskimi.\*



emporia



## Smartfony z sensem

Wygląda na to, że po raz pierwszy to iPhone będzie musiał gonić Androida

**T**ego nie przebiją żaden film grozy: musimy załatwić bardzo ważną sprawę i nagle oblewa nas zimny pot – zapomnieliśmy komórki. Spokojnie. HTC Sense, nowe ulepszenie Androida, pozwoli korzystać ze smartfona na odległość. HTC, tajwański producent smartfonów, pokazał dwa nowe modele: Desire HD i Desire Z – zgrabne, ale to nie one wzbudziły największe emocje, tylko zainstalowana w nich nowa nakładka na Androida HTC Sense, połączona z bezpłatnym serwisem HTC Sense.com. Każdy użytkownik smartfona z HTC Sense będzie mógł założyć w serwisie konto. Nie tylko da ono dostęp do nagle niezbędnych, choć już skasowanych z telefonu SMS-ów i innych informacji, ale przede wszystkim pozwoli na odległość łączyć się z osieroconą komórką. Ustalić, kto dzwonił, przeczytać SMS-y, odpowiedzieć na nie z telefonu, sprawdzić na mapie lokalizację zaginionego smartfona, wyświetlić na jego ekranie dowolny komunikat, na przykład: „Hej, tu właściciel tego cacka! Odwiesz natychmiast aparat albo zdalnie go zdetonuję!”. Jeśli prośba zostanie bez odpowiedzi, jednym przyciskiem skasujemy wszystkie zapisane w smartfonie informacje (niestety, bez detonacji – tej funkcji jeszcze nie opracowano). A gdy telefon czuwa w trybie cichej pracy i przez to nie możemy go odnaleźć w mieszkaniu, serwis HTC Sense sprawi, że zguba głośno zadzwoni. Premiera w październiku.



Telefony Desire HD i Desire Z, czyli para z HTC Sense



## Legogra

Buduj i graj, czyli nowy pomysł na zabawę klockami dla młodych, starszych i całkiem już wiekowych

**O**d czasów mrocznego PRL klocki lego cieszą się w Polsce niesłabnącym uwielbieniem. Niegdyś z trudem kupowane w Peweksie lub ściągane z zagranicy były oknem na kolorowy świat Zachodu. Dziś co prawda przybłądy w natłoku różowych kucyków i pstrokatej chińszczyzny, jednak nadal mają w sobie to, co najbardziej zachwyca – siłę rozbudzania wyobraźni. Najnowszy pomysł duńskiej firmy polega na połączeniu budowania z graniem. Najpierw układamy planszę, na której następnie prowadzimy rozgrywkę, posługując się niezwykle, samodzielnie budowaną (a także) kostką. W sprzedaży jest 10 zestawów o różnych stopniach trudności i skomplikowania samej rozgrywki. Najprostsze przypominają starego, dobrego chińczyka, jednak te najbardziej rozbudowane to już zupełnie inna zabawa. Nawiązują bowiem do nowej generacji gier planszowych, która narodziła się w Niemczech w latach 80.

**Piramida Ramzesa** powstała we współpracy ze słynnym niemieckim projektantem gier planszowych Reinem Knizia. Ten doktor matematyki zaprojektował ponad 200 różnych planszówek.

i 90. Tu nie chodzi już tylko o sprawne rzucanie kostką i przestawianie pionków – w grze przydają się dobra pamięć, kojarzenie faktów i sporo umiejętności społecznych. Co najważniejsze, gry Lego, choć przeznaczone są dla osób od 7. do 8. roku życia, równie skutecznie bawią 20-, 30- i 50-latków. Im kto starszy, tym większą rolę odgrywać będą sentymentalne wspomnienia z zamierzonych czasów. Tak czy inaczej, na pewno uda się przy planszy zebrać całą rodzinę.



## Ż PYTANIE

Zaskakujących pytań ciąg dalszy! Czekamy na więcej! Jeśli coś cię nurtuje, pisz na adres [nauka@przekroj.pl](mailto:nauka@przekroj.pl). Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

URSZULA DĄBROWSKA

**Dlaczego niektóre czasopisma trafiają do kiosków na długo wcześniej, niż wskazuje data ich wydania podana na okładce?**



o po prostu chwyt marketingowy. Dzięki temu zabiegowi czasopismo dłużej jest świeże. Weźmy dowolny listopadowy magazyn, który w kioskach pojawi się oczywiście w połowie października. Przez pierwsze dwa tygodnie kupujący ma poczucie, że dostaje produkt

wyjątkowy, jakby spod lody. To jak pójście na przedpremierowy pokaz filmu (z tą różnicą, że do czasopisma dostęp ma każdy, a nie grupa szczęściarzy). W trzecim tygodniu leżenia na półce w kiosku okładka magazynu nawet dla najmniej spostrzegawczych zaczyna być dziwnie nieaktualna. Ale nic to, rzut oka na datę wydania uspokaja ewentualnego nabywcę: to najnowszy numer – warto go kupić. I mimo że to dopiero początek listopada, lepiej się pospieszyć. Numer grudniowy pojawi się już za kilka dni. Gdyby miesięcznik wydawać po prostu pierwszego, jego sprzedaż ograniczyłaby się do kilkunastu początkowych dni miesiąca.



**Czy miód naprawdę nigdy nie psuje?**

w sprzyjających warunkach jego data przydatności do spożycia spokojnie może być liczona w dziełkach, a nawet setkach lat. Znamy nawet trochę tego przysmaku w egipskich piramidach. I co? Po kilku tysiącach lat był zupełnie dobry. To głównie dzięki temu, że miód jest bardzo słodki i higroskopijny. Oznacza to, że choć sam zawiera niewiele wody (mniej niż 20 procent), chłonie ją z niezwykłą szybkością. Bakterie i grzyby (to one odpowiadają za psucie żywności) umierają w kontakcie z miodem, bo ten wysysa z nich wodę. Ta właściwość sprawia też, że może sam się zepsuć, jeśli nie jest dobrze zamknięty. Gdy powietrze jest wilgotne, miód wchłania wodę. W końcu jego powierzchnia wytwarza się z powstania bardzo słodkiego, gęstego filmu – miodu wysyconego wodą. Takim środowisku zarazki mogą przetrwać do woli. Jeśli jednak prawdziwy pszczołowy miód przechowywany w zamkniętym pojemniku, nic mu nie ruszy.

**3. Dlaczego w serialach komediowych puszcza się nagrany śmiech?**

**Z**eby wiedzieć, że scena ma być śmieszna. Nie, to nie jest żart. Ani złośliwość wycelowana w inteligencję mieszkańców państwa, gdzie ten zwyczaj się narodził (tak, to USA). Pierwszy program z dodanym śmiechem powstał na początku lat 50. Był to „Hank McCune Show”. Producenci chcieli w ten sposób podkreślić nieudolne dowcipy prowadzącego. W tym czasie telewizja nadawała na żywo, więc nagrany wcześniej śmiech puszczano w czasie programu. Okazało się, że to naprawdę działa – widzowie śmiali się na zawołanie. Czemu ulegamy śmiechowi z taśmy? Człowiek jest zwierzęciem stadnym i w grupie wiele emocji przeżywa silniej niż w samotności. Nawet jeśli są to tylko dźwięki przez nią wydawane. Dlatego kanciaste dialogi stają się bardziej błyskotliwe, płaskie dowcipy zwalają z nóg, a sztywni aktorzy grają jak natchnieni.



Nagroda w tym tygodniu:

Mary Roach, „Bzyk. Pasjonujące zespolecie nauki i seksu”, Znak

debiut  
na parkiecie,  
a dresik  
na WP

a ty  
gdzie masz  
swój e-mail?  
[a-dresik.wp.pl](mailto:a-dresik.wp.pl)



# Mrożek zza Mrożka

Myśleliśmy dotąd, że nieźle znamy autora „Słonia” i „Tanga” – jako po prostu jednego z największych pisarzy naszych czasów. Teraz Mrożek odsłania nam innego siebie. Takiego, jakiego nie znaliśmy

TADEUSZ NYCZEK

**D**ziwnym zbiegiem okoliczności urodzili się tego samego dnia, 29 czerwca 1930 roku, w podkrakowskim Borzęcinie. 58 lat później jeden z nich zapisał w „Moim życiorysie” znamieną uwagę: „Nie pamiętam, jak to się stało, i muszę tylko w to wierzyć. Zapytany przed sądem, czy urodziłem się rzeczywiście, nie mógłbym przysiąc, bo osobiście niczego sobie nie przypominam. Jeżeli istnieje jakieś inne życie po śmierci, prawdopodobnie tak samo nie będę pamiętał mojego umierania. Trochę to smutne, bo to znaczy, że ani tego, że jesteśmy, ani tego, że nas nie ma, nie możemy być pewni”.

## Prawy profil i lewy

Czy ów ktoś, kto nie jest pewny swego urodzenia, może być pewny, że nie ma swojego sobowtóra? Kogoś identycznego z nim, kto czasem myśli podobnie i podobnie się zachowuje? Albo wręcz odwrotnie, na te same sytuacje reaguje całkiem inaczej? Może jest tak, że lubią siebie w liczbie pojedynczej i woleliby, żeby tego drugiego nie było, ale są na siebie skazani jak orzeł i reszka, noc i dzień, prawy profil i lewy?

Zapewne od czasu do czasu stają przed lustrem i przyglądają się sobie. Jeden myśli: – Jak ty wyglądasz? Oczy przekrwione od picia całą noc. Nie goliłeś się od przedwczoraj, znowu kobieta cię rzuciła, a ty stoisz tu gdzieś za lustrem w moim własnym pokoju i nienawidzisz całego świata. Tyle masz do zrobienia, ale nie, ty wolisz babrać się w sobie i rozpamiętywać własne klęski, rozdrapywać rany, których nikt ci nie zadał.

A tamten zza lustra, tocząc czerwonym okiem i trąc zarośnięty podbródek, pokazuje temu pierwszemu opuchnięty język: – Artysto z bożej łaski, wszystkim chciałbyś się podobać, karierę za wszelką cenę zrobić, światowym pisarzem być, żeby ci zazdrościli sławy i pieniędzy, kobiet i sukcesu. Umiesz, owszem, pisać, bo u dobrych nauczycieli lekcje brałeś, inteligentniejszy jesteś od większości z nich, ale nie masz wiary w nic Wielkiego i Trwałego, ani w Boga nie wierzysz, ani w ludzi, ani w sens świata.

Od dziesięcioleci tak walczą Mr Hyde i doktor Jekyll z Borzęcina, Krakowa, Warszawy, Chiavari, Paryża, Meksyku, Nicei. Kiedy jeden postanowił zostać pisarzem, drugi zaczął powątpiewać, czy to w ogóle coś poważnego. Gdy jeden zapisał się do partii, drugi co prawda wziął czerwoną legitymację i zabrał się do pouczania narodu, ale zaraz pisanie serio zeszło mu w satyryczność i zamiast kraj i socjalizm chwalić, dostrzegł w nim śmieszność i głupstwo. Kiedy doktor Jekyll nauczył się kilku języków obcych, Mr Hyde drwił: – Nigdy nie zapomnisz, żeś stąd, z dziwacznej i nikomu niepotrzebnej polszczyzny, na którą będziesz już zawsze skazany. Im na wyższe salony tamten bywał zapraszany, tym bardziej potomek borzęcińskich chłopów miał ochotę uchlać się

i wałnąć kogoś w mordę za wszystkie grzechy marnego urodzenia za przasną poniewierkę i głodowanie za młodu.

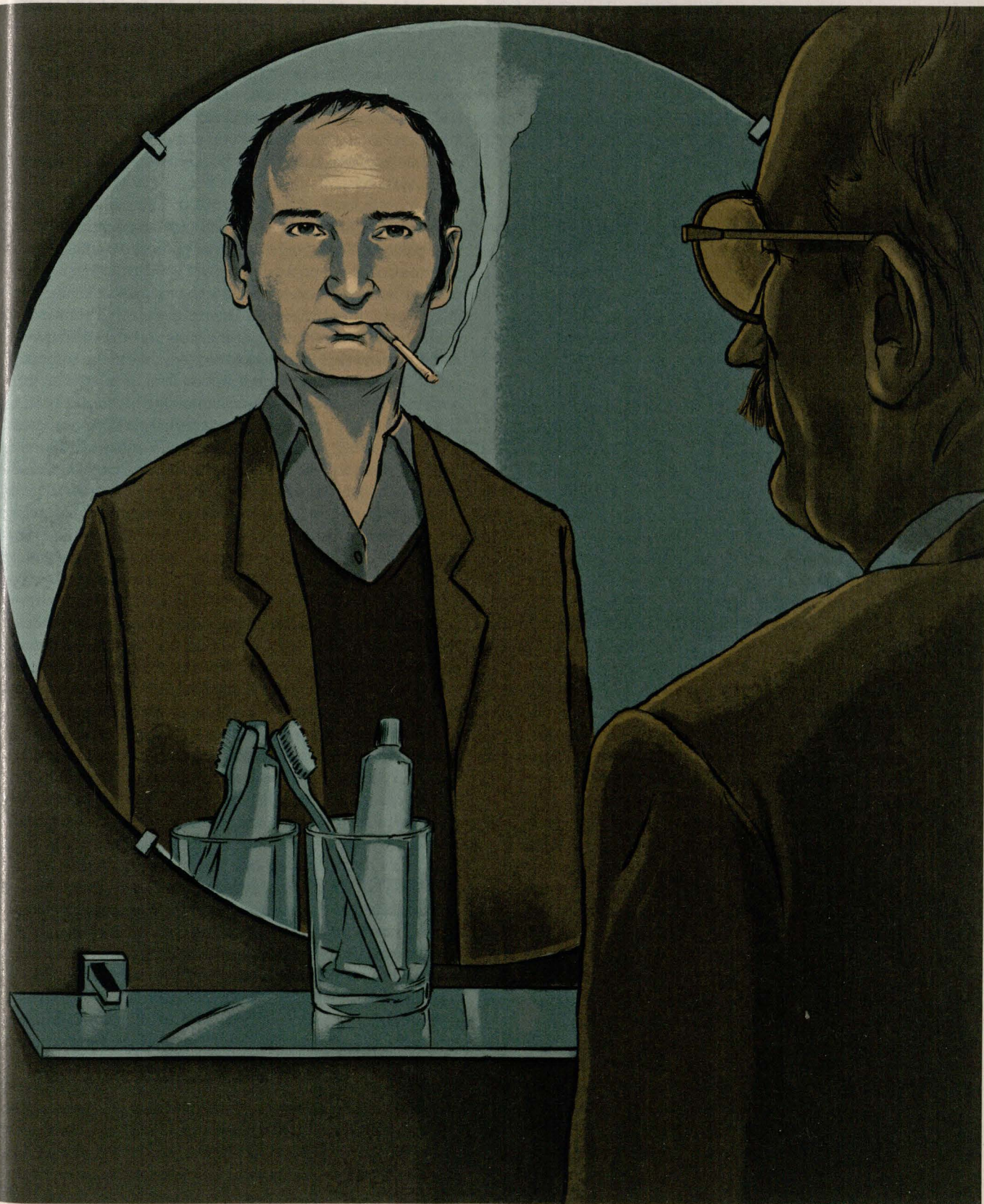
## Mój kosmiczny bliźniak

Tych dwóch Mrożków nie wymyśliłem. Zawsze byli w tym, któregoś mieli za jednego, tylko trudno było dostrzec, że ten jeden to naprawdę dwóch. Bo drugi starannie się ukrywał. A może nie tyle ukrywał, ileś go nie umieli rozpoznać i nazwać. Wychodził co jakiś czas a to z prozą a to z dramatów, całkiem jawnie mówiąc: to ja, także ja. Braliśmy go za teracką postać, jedną z wielu wymyślonych przez Mrożka, ale to b

oczywiście on, ten drugi, inny, ten ciemny sobowtór, mroczne alter ego. W najlepszym bodaj opowiadaniu Mrożka, „We młynie, we młynie mój dobry panie” (1967), bohater napotyka wrzecz własnego utopionego sobowtóra. Trup spływa wodą, a bohater, idąc brzegiem, towarzyszy mu odtąd w różnych okolicznościach – praktycznie do końca życia. To symboliczny trup oznacza pożegnanie z sobą – Kimś Innym, poprzez nim, już fałszywym, niesłusznym, wstydlwym. Ale kimś nie do zapamiętania, nie do likwidacji w pamięci przez naciśnięcie klawisza delete.

W jednym z „Małych listów” opublikowanym w „Dialogu” w roku 1975 Mrożek zauważył i taką okoliczność: „Najlepiej pamiętam pomysł (pijacki?), że nie jestem sam, ale mam kosmicznego bliźniaka – sobowtóra. Podwójna tożsamość. (Wiem, wiem, czego to symptom, ale nie mam ochoty rozmawiać z psychiatrami). Coś, co jest zbliżone chyba do koncepcji »ciała astralnego«. Otóż ten mój bliźniak znajduje się »po tamtej stronie« i wie wszystko, czego ja nie wiem. Ma kontakt ze wszystkim, z czym ja nie mogę mieć kontaktu. Ja, w mojej pojedynczej tylko tożsamości. Cała sztuka w tym, żeby z tym moim kosmicznym bliźniakiem nauczyć się współżycia, a cała bieda, kiedy to współżycie się nie układa”.

Kiedyś miałem pomysł, że „Emigranci”, jedno z Mrożkowych arcydzieł, powinni być grani jako monodram, czyli obie role, inteligentny AA i prostak XX, odgrywałby jeden aktor. Nigdzie nie widać tak jasno, że w tej najbardziej autobiograficznej sztuce Mrożka to nie AA, jak się zwykle sądzi, jest portretem autora, ale obaj po równo: wykształcony uciekinier z kraju niewoli i chłopski syn przywiązany do tradycji i prostych zasad bytu. Oczywiście w tak zwanym życiu ten drugi Mrożek był głęboko ukryty wewnątrz tamtego pierwszego. Ale jeśli chciałbyśmy i jego poznać, wystarczyłoby się odwołać do Mrożkowego systemu wartości zawartego w całym pisarstwie. To przecież nic innego jak filozoficzny konserwatyzm zdecydowanie optujący za porządkiem i giki przeciw dezynwolturze intuicji, za kulturą przeciw kontrkulturze, za stabilizacją przeciw rewolucji, za regułami przeciw dowolności.



Wylizacja ginie. Wiatr wieje. Talent nie rozwija się. Przyszłość pochmurna, więcej nic w niej nie widać. Pan Bóg jest albo go nie ma



→ Podwojenie bohaterów na zasadzie przeciwstawienia racji jest oczywiście zasadą każdego dobrego dramatu. W niektórych sztukach Mrożka jest to jednak coś więcej: ściganie się z własnym cieniem, własnym odwróconym sobowtorem. Na podobne obsesje chorował Gombrowicz, z którego upiornym i genialnym cieniem całe życie Mrozek się zmagał. Maja i Leszczuk z „Opętanych”, Henryk i Władzio ze „Ślubu”, Witold i Fryderyk z „Pornografii”, Szarm i Firulet z „Operetki”... Te lustrzane pary żyć bez siebie mogą, ale ich życie to nieustająca konkurencja i bitwa na przewagi: jak ty tak, to ja tak. Z tego zakłętego koła wyjścia nie ma – chyba że ktoś strzeli w lustro.

W „Letnim dniu” powstałym w 1983 roku, jeszcze za socjalizmu w Polsce, zwycięski Ud, przedstawiciel Zachodu, został przeciwstawiony przegranemu Nieudowi, przybyszowi zza żelaznej kurtyny. Jeśli znów przyjmiemy, że sporo w tym autobiografii, serce każe widzieć Mrożka oczywiście w Nieudzie. Ale autor tej sztuki mieszkał już wtedy na Zachodzie od 20 lat, miał pozycję, sukces i jednak w miarę przyzwoite pieniądze, przynajmniej w porównaniu z pisarzami rodakami w ojczyźnie. Bez obawy błędu można by zatem uznać, że Ud to także trochę on... A może raczej ktoś, kim Mrozek mógłby być, gdyby nie... Nieud w Mroźku, czyli ten „gorszy”, bo z gorszej kultury kiedyś przybyły i z marniejszej cywilizacji.

„Kontrakt” napisany trzy lata później ma bardzo podobną konstrukcję, z dwoma bohaterami przeciwstawionymi sobie niemal na identycznej zasadzie – lepszości i gorszości, zachodniości i wschodniości, kulturowej „europejskiej” stabilizacji i „słowiańskiej” wiecznej improwizacji. To zderzenie światów widać też w „Vatlavie” (1969) i w „Ambasadorze” (1981). Tu już wprawdzie nie o rewera i awers bohatera chodzi, ale o kontrast dwóch rzeczywistości: z jednej bohater się wypisał, nie mogąc w niej wytrzymać, w drugiej usiłuje się odnaleźć. Co nie zawsze mu się udaje... Nieud tonie w morzu; Vatlav, który wychodzi z morza na brzeg lepszego świata, na końcu do morza wraca; Uciekinier z „Ambasadora” uzyskuje wprawdzie azyl w ambasadzie, ale cóż z tego, skoro placówka zostaje odcięta od własnego kraju i zdana na pastwę ciemnych sił mocarstwa, na którego terenie się znajduje.

### Jekyll jedzie w świat

Przez ostatnie pół wieku z okładem nieźle udało nam się poznać jednego z Mroźków. Powiedzmy doktoru Sławomira Jekylla. Zrazu ironicznego satyryka, gościa co prawda mrukiwego, choć bynajmniej niestroniącego od towarzystwa. Jak wiadomo, satyrycy to urodzeni pesymiści nielubiący się odzywać bez potrzeby. Ten mruk swoje odczucia nie odrobił, uwiódł inteligencję i masy pracujące, pokazał absurd życia w nowym ustroju jak nikt przed nim. Pisał przezabawne opowiadania, zdarzyły mu się po drodze nawet dwie niewielkie powieści. Obficie rysował, to dziś klasyka rysunkowej satyry. Współpracował z kabaretami, dostarczając aktorom a to skecze, a to monologi (któż z nas, którzyśmy żyli w tamtych czasach, nie pamięta Edwarda Dziewońskiego i jego opowiadań o Prezesie, Księgowym, Magazynierze i Nowosądeckim z radiowego „Podwieczorku przy mikrofonie”?). Potem słynny debiut dramaturgiczny... Rosnąca kariera krajowa, rychło zagraniczna... Sam katalogowy spis premier polskich i światowych, wydany w roku 1990 z okazji 60-lecia pisarza, ma format A4, czyli kartki maszynopisu, i liczy 90 stron. A od tamtego czasu minęło dalszych 20 lat.

Przez to półwiecze z okładem Mrozek niewiele się udzielał jako osoba publiczna. Nie lubił wywiadów. Nigdy nie zabierał głosu w sprawach

politycznych, z jednym wyjątkiem – gdy w sierpniu 1968 zaprotestował w paryskim „Le Monde” przeciw najazdowi wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Milczał także w sprawach prywatnych. Wyglądało, jakby pilnie strzegł swojego życia poza pisarstwem. Nie chciał, mógł się okrucinów tej prywatności doszukać między wierszami opowiadań i dramatów. Może najbardziej – w felietonach bądź o społecznych artykułach wspomnieniowych poświęconych a to bliskim ludziom, a to jakimś dawnym wydarzeniom (kto ciekaw, niech sięgnie po „Małe listy” czy „Życie i inne okoliczności” wydane w 2003 roku). I tom „Variów”).

Wiadomo było, że od 1963 roku mieszka za granicą na dziwnej zasadzie ni to emigranta, ni to obywatela świata, który po prostu woli być tam, gdzie mu lepiej, przyjaźniej, wygodniej. Po 1968, gdy odmówił powrotu do Polski i poprosił o azyl we Francji, był już na swój sposób politycznym wygnańcem, choć w jego przypadku brzmiało to zawsze dwuznacznie i niekoniecznie. Potem, kiedy już go politycznie w Polsce odblokowano, zaczął przyjeżdżać z krótkimi odwiedzinami. Osobiście udział w Festiwalu Mrożka w 1990 roku stał się długo komentowanym wydarzeniem, bo po raz pierwszy ten mruk i fragmenty „dziennikowych” zapisów, wybrane, prawdę mówiąc, ludem niemal bratał się z ludem, jeździł z imprezami na chybił trafił, bo cały tekst liczący z grubsza trzy tysiące stron na imprezę, uśmiechał się i odzywał częściej niż wiera notacje o podobnym charakterze.

dwa razy dziennie. Co zabawne, dla odciążenia Mr Sławomir Hyde litości ma dla świata niewiele. Ale chyba jeszcze go od udziału we wszystkich punktach obfitego programu organizatorzy zafundowali mu... jeździł w tym pisarzem, ani zbyt sławnym, ani zbyt bogatym. Po części sobowtóra, miłego starszego pana rzeczywiście, skutecznego braku odpowiedniego talentu, po części na skutek okoliczności” (14 listopada 1979) – żadnemu krytykowi, reżyserowi czy się na jawie dawne przywidzenie o sobowtórzykluemu czytelnikowi nie przysłałby raczej do głowy, zważywszy W wersji tym razem rozrywkowej?

Potem Mrozek, już w Meksyku w 1991 roku, po długiej chorobie, w której choroba, co niekoniecznie świadczy o masochizmie czy, nie daj Boże, kokieterii. Autor „Emigrantów” od dawna ustalony wewnętrzny system wartości, według którego oczywiście jada przy innym stole niż mający więcej talentu, szczęścia i pieniędzy koledzy w rodzaju Tomasza Manna, Samuela Becketta, Czesława Miłosza czy nawet Witolda Gombrowicza, z którym od dzieciństwa lat na różnych polach toczył zawzięte boje o wybitność, wciąż z nim porównując: dużo mi jeszcze do niego brakuje? Mam z nim szansę? W jego klęski – bo jednak bywały i klęski – tłumaczył na różne sposoby. Gombrowicz: założył, że nie ma absolutu. Z tego wyprowadził swoją strategię. Dzięki tej strategii i praktyce nie zderzał się katastroficznie o brak, o nieuchwytność absolutu. Ja: urodziłem się z głodem absolutu. Na skutek tego zderzam się co chwilę katastrofalnie. Moja historia jest historią ciągu małych a wielkich klęsk, zasadniczych zwycięstw i zasadniczych klęsk na co dzień. Dotąd nie mam i dotąd usiłuję chwila ująć wszystko w całość i raz na zawsze przesądzić o tym, czy świat, co chwila konstruuje teorię zasadniczą, raz na zawsze, która trwa kilka dni. Gombrowicz – ciągłość i jednolitość. Ja – kropka, kreska. „Dziennik”, pełen niebywałych psychologicznych spostrzeżeń, godnych Marcela Prousta, jest świadectwem nieustannej wojny Sławomira Jekylla ze Sławomirem Hyde’em. Wojny, która będzie się odtąd toczyła także w nas, czytelnikach i widzach kulturowego fenomenu o nazwisku Mrozek. Dotąd znaliśmy tylko pierwszego, dyskretnego, perfekcyjnego pisarza ukrytego za mimoskowską formą swoich tekstów i misternym dialogiem postaci. Teraz musimy dać sobie radę z coraz silniejszym istnieniem tego drugiego, przygotowanego wewnątrz neurotyka, nierzadko agresywnego skorumpowanego, który brutalnie raniąc siebie samego, burzy nasz miły spokój ludzkiej natury.

### Hyde wychodzi z cienia

A przecież nadal jest obecny – tylko inaczej. On sam milczy, ale zmuszając mówić jego inne, nieznane teksty wydobywane z archiwów i szaf i szuflad przyjaciół. Ten dziwny proceder wypełniania odkrywaniem Mroźkiem brak Mrożka piszącego jest z pewnością wiskiem absolutnie fascynującym. Oto na naszych oczach wyłania się z niebytu niemal całkiem inny ktoś, kto nosi to samo imię i nazwisko co pewien znany nam, zdawałoby się na wylot, pisarz polski, autor „Ślonia”, „Tanga”, „Portretu” i „Miłości na Krymie”.

Ten ktoś – nazwijmy go Mr Sławomir Hyde – objawia nam przede wszystkim swoją ukrywaną dotąd prywatność, niemal intymność, Zaskakującą. Pójdźmy dalej – szokującą. Opublikowane już tomy listy i korespondencji (z Janem Błońskim, Adamem Tarnem, Wojciechem Składowskim) odkryły Mrożka rozbierającego na czynniki pierwsze swój status potencjalnego, a później rzeczywistego emigranta. Niektóre listy, wielostronicowe, to prawie eseje o Polsce, Europie, komunizmie, kulturze Wschodu i Zachodu, o wolności i zniewoleniu. Listy miejscami mi gorzkie, miejscami rozpaczliwe, często bezwzględne w analizie

REKLAMA

**garsonka  
na radę  
ministrów,  
a dresik  
na WP**

**a ty  
gdzie masz  
swoją e-mail?  
a-dresik.wp.pl**



# „Dziennik” (fragmenty)

TEKST I RYSUNKI SŁAWOMIR MROŻEK

26 października 1962, piątek

We wrześniu, czternaście lat temu, zacząłem pisać dziennik. W październiku, trzy lata temu, spaliłem bez żalu kilkanaście albo dwadzieścia kilka tomów, po dwieście stron blisko każdy. Uczucia dla tego dziennika straciłem już mniej więcej na trzy lata przed spaleniem, prowadziłem go coraz mniej regularnie, w ostatnich latach przed auto da fé zupełnie nie.

Monstrum składało się z trzech motywów: potrzeba znalezienia się jakoś sam na sam z czystym papierem (było to na długo przed debiutem), potrzeba załkania przed kimś, choćbym to był ja sam, gromadzenie jakichś doświadczeń, notatek z lektury, poglądów etc. Trzy potrzeby to oczywiście uproszczenie. Ani granica między nimi nie była wyraźna, ani ich liczba nie jest ostateczna. Podobnie z motywami zaprzestania tej akcji. Najprostszy i najbardziej powierzchowny to ten, że zacząłem pisać zawodowo. Rzeczywiście, w miarę jak drukowałem, przestałem się oddawać temu młodzieńczemu rękopiśmiennictwu. Choć prowadziłem dziennik jeszcze długo po tym, jak zostałem „pisarzem”.

Te parę kilo moich przeżyć serdecznych spaliłem, oczywiście ze strachu przed niepowołanym czytelnikiem w przyszłości. Zdałem sobie sprawę z tego, że ich przed nim nie uchronię, po włamaniu do mojego krakowskiego pokoju, dokonanym, kiedy byłem w Ameryce. W naszym kraju sejfy nie istnieją, zdaje się, a jeżeli istnieją, to nie mam do nich zaufania.

Ale nie tylko dlatego. W owym czasie ogarnął mnie najsilniej strach przed cmentarzem, przed tym, jakim już nie byłem, przed starzyzną. Problem, czy rzeczywiście już byłem kim innym albo w jakim stopniu już byłem kim innym, a w jakim tym samym, w dalszym ciągu oczywiście pozostaje otwarty. Może wstydiłem się siebie, chciałem się wyprzeć małego, ale garbatego przodka, jakim byłem sam dla siebie. Zresztą nie będę mnożył tłumaczeń.

Mniej więcej po trzech latach od daty ogniska, które miało tak ładnie zaznaczyć odejście mojej młodości, a w jakieś sześć po wygaśnięciu owego instynktu samoskargi i mówienia do siebie, doznaję podobnego odruchu.

Z trzech motywów wymienianych poprzednio, a właściwie czterech, pozostaje: jak żyć.

Chodzi o arkę przymierza między tym, co leci i toczy się, życiem, można powiedzieć, a pracą zawodową, o przygotowanie platformy pośredniej, podobnie jak chodzi gdzie indziej i komu innemu o przygotowanie stacji pośredniej do wylądowania na Księżycu. Należę do pokolenia, dla którego pojawienie się samolotu na niebie było sensacją. I dlatego piszę na maszynie, a nie moim ukochanym sposobem, piórem i na dobrym papierze. Notowanie surowca nigdy nie było u mnie porządne. Ale po co właściwie tłumaczyć się tak i przed kim?

Oczywiście nie trzeba się okłamywać. Warto by ustalić granice, co powinno być sprecyzowane w słowach dla samego siebie,



a co pominięte. Swoje wprawdzie wiem, ale tylko w sekundzie, kiedy to wiem naprawdę, czyli przemijanie, proszę pana. Ustalmy więc uczciwie: to, co zaczynam, może czytać każdy.

Rozmowa towarzyska nie jest dla mnie ani narzędziem, ani sposobem. Tylko za pomocą papieru staję się swobodnym dyskutantem, a próby z magnetofonem dały żałosne rezultaty.

Żałuję, że nie mam wyraźnego pisma, bo maszyna do pisania nie jest całkiem obłaskawiona.

Mam nadzieję, że się przyzwyczaję do tej formy. Na razie czuję się nieswojo. Koniec przedmowy.

1 lipca 1963, Chiavari

Człowiekowi wydaje się, że jest gigantem, a tymczasem jest gówniarzem – to zdanie Haśka jakże harmonijnie brzmi na riwierze,

brzmi mi w uchu moim, dla mnie. Czyż przez półtora roku wydawało mi się, że jestem gigantem, a tymczasem... itd. Gigantem, gówniarzem, wydobyć się z tych alternatyw, jeszcze czymś innym, to byłoby wyjście.

Riwiera – niedaleko Maupassant pisał „ami”, dalej Sienkiewicz pisał „Bez dogmatu”, trochę dalej na południe Gorki siedział na Capri, ówdzie Dostojewski we Florencji, Gogol także „Martwe dusze” tutaj trzępiał, w tym kraju, a i Turgieniew się wyteżował, Co tu się przyrównywać, ani siły we mnie, ani talentu wielkiego, tylko pokręctwo, kaleczeń, zdolności średnie, nigdzie nic wyjątkowego, na całym moim ciecie. Mam dokładnie 33 lata, i dwa dni, żonaty jestem, a nie czuję się gdzie, nie czuję się żaden, czuję się nikt. Mam pojęcia, ani co, ani jak pisać, ani nawet o czym, zdrowie mam przeciętnie dobre, zachcenia dokuczliwe, ale za słabe, żeby

zostać (Polak), której jedynym argumentem ze mną zrobiły, za silne, żeby nie dokuczały. Za sobą nie widzę przeszłości, przed sobą nie widzę przyszłości, jedyne, co umiem pisać, to listy, jedyne, co umiem myśleć dobrze, to wątpię, nia, nie mam do siebie ani nienawiści, po chwili, chwilowymi niechęciami, ani miłości, chwilowymi uwielbieniem. Skorupa jest, którą co chwila co innego wypełnia, a przynajmniej, o, o, wybili, tu wybili, o, o”. Ważne jest to skorupa wypchana niżej, Wszystko umiem uwzględnić, niczego nie umiem do końca opanować. Może powinienem zostać aktorem, ale też bardzo wątpię, bo jednak trochę rozumu własnego, rozumem mam za dużo. Ani spostrzegawczości, ani pamięci, wyobraźnia zaledwie od kultury, wrażliwość trochę bezpłodna. Tak, to jest najważniejsze ujęcie sytuacji.

Nawet żądać dla siebie niczego naprawdę nie umiem, bo nie mam przekonania prawdziwego, że mi się coś należy. Nieprawdą jest, co o mnie napisał jeden, że nie mam zdolności do myślenia „religijnego”, prawdą jest, że nie rozumiem, o co mu chodzi. Wszystkim jestem po trochu, niczym jestem w efekcie, chyba najlepiej czuję się w związku z teatrem, to znaczy, że dobrze, dobrze nie czuję się nigdzie, ani nigdzie, chyba że sobie wmówię, na co zawsze mam ochotę ani siły dosyć.

Trzydzieści trzy lata – spalenie moich dawnych dzienników było takim samym bezsilnym gestem jak ich pisanie, zero wiecznie



14 lipca, niedziela, wciąż Chiavari

Całe moje życie utwierdza mnie w przekonaniu, że jestem gnojem. Na pytanie relatywisty: gnojem wobec kogo czy czego, nie umiem precyzyjnie odpowiedzieć. Pewność jest raczej intuicyjna. Ponieważ razem z całą epoką wkroczyłem w uznawanie intuicji raczej niż rozsądku, więc moje przekonanie, niestety, się liczy.

Kto wie zresztą, czy raczej nie jestem niczym niż gnojem. Znoszenie się wzajemne wszystkiego we mnie jest w sumie całkowite. Proces tego znoszenia mógłby znaleźć użyczek w pisaniu, które zostałyby jedynym czymś z tego niczego, gdyby nie fakt, że nie mam ani dostatecznego talentu, ani sił. Zdaje się, że powiedziałem wszystko. Teraz zamilczę ponuro.

5 lutego 1964

Sztukę, sztukę, napisać sztukę, co za sztukę, jaką sztukę, o czym sztukę? Tylko na pytanie: „po co sztukę?”, umiałbym odpowiedzieć.

W każdym razie wolałbym, żeby to było bardziej tragiczne niż śmieszne, bardziej przejmujące niż zajmujące, powinno być przejmujące przez to, że jest zajmujące. Przede wszystkim zajmujące mnie.

A jeszcze wcześniej niż przede wszystkim powinno to być coś, co by mi pozwoliło zapomnieć, dlaczego to piszę, że właśnie piszę, że jestem pisarzem, że tu i tam czekają na tę sztukę, że ja sam na nią czekam, że kasa moja czeka, że właśnie, o, pisarz wszedł do gabinetu i przy stole usiadł, ręką podparł czoło, pióro wziął do ręki, pisał zaraz będzie. Piórem papieru dotknął, o, zobaczmy, zaraz zobaczmy, jak pisarz... (coś mnie w uchu strzyka).

Ja doprawdy nie wiem dlaczego, i bardzo mi przykro, ale odczytując, co napisałem tu i gdzie indziej, odnoszę nieuchronne wrażenie, że z wiekiem głupiej coraz bardziej, a zamiast rozumu mam w głowie miękką puchową poduszkę, tak zwany jasek. To fakt, że

inercja myśli jest u mnie częstym zjawiskiem, wewnętrzne zagapienie się w dal.

Jedyna nadzieja, że trening trochę mi głowę rozrusza.

Zamiast to wszystko zapisywać, co poniżej, powinienem tylko pomyśleć, byłoby sto razy szybciej. Tylko boję się, że myślenie na nic, zaraz zacznę myśleć o czym innym, kiedy piszę na maszynie, mam przynajmniej jaką taką gwarancję, że trzymam się tematu. Maszyna nie popuszcza.

Lem ostrzega: „Ty nie myśl, Mrożku, nie roztrząsaj, tylko gędź”. Chętnie bym pogędził, tylko żeby wiedział o czym. Co mnie oburza, co mnie rani? Problem: pracować nad uwolnieniem się, to znaczy uwolnić się trochę, ale zarazem traci się namiętność sprzeciwu. W innym sensie, filozoficznym, ale powtarza się wulgarna teza, że trzeba być skopanym, żeby umieć się znaleźć wobec tego skopania i przerobić obolały tyłek na dumną głowę.

Obawiam się, że wolność to pustka.

Więc z czym ja to teraz jestem złączony? Ze sobą? Nie, raczej jestem w trakcie odłączania się. Emigracja? Nigdy, za nic na świecie, gdyby przyszło się odłączyć, to nie po to, żeby się łączyć na odwrót, tylko po to, żeby się ani łączyć, ani nie wrócić, być sobie po prostu w stanie manewru... napisałem bardzo głupią rzecz, nie można być przecież w stanie manewru.

Więc odłączam się, by miłośnie objąć całą ludzkość. W Polsce pisałem dla teatru, widziałem konkretne sceny i pijanych aktorów w SPATIF-ie. Byłem rzemieślnikiem, brałem materiał, jaki był pod ręką, nie zastanawiałem się wiele. Tutaj zaczynam wydziwiać, sztukami sztukuję impotencję.

Wyszedłszy w pola, opuściwszy ścieżynkę, mogę iść wszędzie, czyli nigdzie. A znowu ruszyć byle gdzie, gdzie oczy poniosą, nie nęci.

Krótkimi słowy – powiedz, ptaszku, jak byś teraz w formie sztuki teatralnej opisał swoją obecną sytuację wewnętrzną, jaką sytuację zewnętrzną, już utworzoną sceniczną, byś dobrał, żeby tę sytuację wewnętrzną wyrazić? Czy byłaby to jakkolwiek paradoksalna, tragiczna, nijaka czy śmieszna sytuacja? Wyobraź sobie, że masz napisać list, ale list w formie sztuki, a w niej powiadomić adresata o sobie, a jeszcze najlepiej, jeżeli adresatem zrobisz siebie. (Dziwna, liryczna metoda pisania utworów scenicznych, ale czy nie jestem ja lirykiem, jak to już ktoś tam odkrył?).

To Różewicz pisze lirycznie, ale jeżeli on, jeżeli ja go nie lubię i z nim się nie zgadzam, to jeszcze nie powód, żebym ja też nie mógł. Liryka jest dla wszystkich.





→ O tyle dobre, że byłaby to sztuka z jednym bohaterem, o co mi jakoś od dawna chodziło, z jednym przynajmniej, a jeżeli go rozdwoimy albo roztroimy, i z więcej niż jednym bohaterem. Z bohaterami, czyli nareszcie z charakterami.

Gdzie byś się umieszcil – na skale, w kościele, na statku? Kto i co mówiłby do ciebie, co byś mu odpowiadał?

## 9 lipca 1964

Bardzo chętnie pisałbym wiersze. Moja głupota jednak wyraża się w tym, że nie umięję ich pisać, nawet ich nie czytam, naprawdę szkoda. Minimum więc porządku. Ale z porządkiem jest tak samo. Ponieważ nie umiem – kto umie – osiągnąć porządku absolutnego, więc rezygnuję w praktyce z porządku jakiegokolwiek. Głód absolutu na co dzień jest bardzo niewygodny i do niczego nie prowadzi, a już najmniej do zaspokojenia siebie.

Poci polscy za dużo palą złych papierosów, patrząc w dal i wódkę pijąc. Nie mam zaufania.

## 15 września 1964

Onegdaj bardzo chciało mi się faję zapalić. Przy oknie, na balkonie usiąść, nogę na nogę założyć, w dal się popatrzeć, gdzie właśnie zmierzchało, dym sążnisty wypuścić i tak dalej. Już byłem na najlepszej drodze, żeby tej pokusie się nie oprzeć, kiedy przyszło mi do głowy coś zmienić w tej scenografii, zdjęć spodnie, usiąść nie przodem, ale tyłem do okna. I okazało się nagle, że żadnej fajki palić już nie mam ochoty, że tylko chce mi się spać i nic więcej. Co z tego wynika?

Po pierwsze, że chęć palenia fajki nie wynika najbardziej z potrzeby organizmu przyzwyczajonego przedtem do nikotyny, ale z przyzwyczajenia do pewnego rytualnego gestu, który jak każdy inny rytuał daje stabilizację działa i przez nią oddziałuje na stan świadomości kojąco, wszystkie te znane historie z psychologii stosowanej, domowej, powiedziałbym nawet.

Po drugie, że jesteśmy we władzy sytuacji, kostiumu, scenografii. Jeżeli tylko uda się nam rozbić taką sytuację, albo dosłownie, albo mentalnie, jesteśmy od niej uratowani i co wydawało się koniecznością, okazuje się tylko okolicznością.

## 22 października 1964

Dzień dzisiaj szary, jesienny, panie, jesień złota nasza włoska, panie, już nadchodzi, a dziwne by było, gdyby nie nadchodziła, panie, bo to już przecież koniec października, panie, a potem zaraz mamy listopad i cośd'via, jak mówią bracia Włosi.



Dlaczego pan jest taki smutny, panie Sławku, pora taka, czy pan ma jakieś zmartwienia? Czy mogłabym w czymś panu pomóc, czy może to jakieś cierpienia, na które trudno znaleźć radę? Pewnie znowu coś panu dokucza, świat zewnętrzny, okrutny, brzydki świat, fe, a to brzydka, co nie chce się przekonać, jaki pan jest śliczniutki, jaki to pan zdolny i jaki miłutki. Jak to, pan jeszcze nie wie? Księżna pani nasza za mąż wychodzi i burmistrz dzisiaj dary w ofierze jej składa razem z bracią miejską. Nie, nie wiedziałem o niczym. Widać z daleka wasz pan przybywa.

Dosyć tego, jeżeli nic nie masz do powiedzenia, to nic nie mów, ale przestań bredzić, już nie mogę dłużej tego znieść, ja proszę, aby natychmiast przestać się wygłupiać, bo inaczej będę musiał panu znaleźć inną posadę jakiegoś pisarczyka na kole.

## Dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia, grudzień 1964

Tak to określam, bo nie wiem, którego dzisiaj jest grudnia, a wiem, że jutro Wigilia.

A jednak dwie rzeczy są najzupełniej pewne: szkoda, że spaliłem te kilkanaście tomów zapisków moich młodzieńczych i że nie chcę prowadzić tych bieżących tak samo namiętnie i szczerze jak tamte. Spalenie, ten gest był tak głupi i młodzieńczy. Mogę tylko pocieszać się tym, że wyniknął tyle z ostrożności, ile z pewnej szerokości i ekstremistyczności usiłowań, zawsze wszystko u mnie miało być na nowo, od początku, palenie to był zabieg magiczny. Zresztą nie takie rzeczy palono, prawdopodobnie zawsze z tych dwóch pobudek. Żeby spalić, potrzebowałem na to jednak trochę siły. A także nieco świadomości w tym było, że skończyła się młodość, pożegnanie młodości.

Ostatnio nawiedza mnie przeszłość. Lata pięćdziesiąte. Twarze, rzeczy. Mój niezapomniany pokój przy ulicy Krupniczej. Jestem z Krakowa. Wczoraj upiłem się nagle, szkoda,

że moja mania obliczeń i rozrachunków jest w równowadze z cierpliwością, zdolność gromadzenia materiału, który potem mógłby być obrachowywany. Niemniej wciąż czuję się na samym początku świata, przy stworzeniu świata, pomimo całego doświadczenia z którego wczoraj zdałem sobie sprawę.

Cała kamienica pełna hałaśliwych Włochów słysząc ich różnorako ze wszystkich miejsc. Wobec nich jestem, w pierwszej odrazie, w warstwie, w pozycji kaleki, który nie dosłyszycie. Nie umie dobrze mówić. Z tego można wyleczyć, nauczywszy się języka, z innego kalektw trudniej. Jestem i pozostanę takim. Także to pisanie w tej chwili, te obrzydliwe na ulicy Karmelickiej, koło Skali, która zresztą, jakże się to powtarza, jakże temu nazywa się już zupełnie inaczej, to jeszcze widać końca, jakże to nic nowego, jakże nazwa przedwojenna, w zgnile, zaczarowane wiecznie to samo, tyle że pod inną nieco nieskończone popołudnie w jednej z tych stacji. Jutro obudzę się z tymi samymi promiokreślonych krakowskich pór roku. Ciętymi, z tym samym bólem oczu, kacem: dę do fotoplastykonu, rozpaczając, że nigdzie. Tak być nie może. tych krain nie zobaczę inaczej jak tylko w fotoplastykonie. Tak samo męczę się z powtarzanie samego siebie. Ten ogródek. wodu kobiet, tylko to, co było tą samą męczącą martwienie się, że jestem niewykształcony, przestało się częściowo łączyć z kobietami, co to opowieści z mojego życia, które sto przetransponowało się gdzie indziej, może jeszcze powtórzę w towarzystwie, moje ta sama, tylko już kobiety nie są jej postaciami, przesłanie, moja żona, moje ręce, moje zobowiązania i materializacją. Dziecko jakieś włoskie, moje wszystko. placze, przyszłość ludzkości. Ano, tak kończy się rok 1964.

## 8 października 1966

Zdarzyło się parę ważniejszych rzeczy, dopiero ostateczna rezygnacja z ukrywania łysiny za pomocą okropnej pożyczki, która dzisiaj zadecydowałem, po krótkim – trzech dniach – moim pijactwie. mi to przyznać – okresie prób i oporu skłonił mnie do podjęcia zapisu. Odtąd będę łysy i z podniesionym czołem.

Tymczasem byliśmy we Florencji przeszedł dwa tygodnie, festiwal teatrów we Florencji, którą zaraz potem dokładnie i katastroficznie zalała powódź, napisałem nową sztukę, odbyłem ważne spotkania narodowe i międzynarodowe, przeżyłem aferę z E.S., którą przyjechała i napsuła, i nawet nie upiłem się, W ogóle wiele i różnego, wydaje mi się, także ważnego.

Łysina wkłada na mnie nowe zobowiązania i zmusza mnie do rewizji postawy wobec życia. Pod sztandarem łysiny – naprzód.

## 5 września 1968, czwartek

24 sierpnia zadecydowałem, że 27 sierpnia, najpierw w „Le Monde”, ukazał się mój protest przeciwko rządowi polskiemu, który wziął udział w agresji na Czechosłowację i okupacji.

Zapisuję to jakby w starym kalendarzu starożytnym. W tej chwili zobaczyłem: nie to ważne, rolnik. Bo ważne, a datę mógłbym zapomnieć.

## października, środa

Władze polskie odmówiły mi przedłużenia ważności paszportów. Władze polskie o mnie każą wypisywać, że jestem zdrajcą. Władze polskie mam w dupie.

## października 1969, niedziela

Przydługie – cała moja historia. Moje świadczenia, rozum z wiekiem, chwyt życia. Kupa śmieci. Moje cierpienia, moje niemożności. Wszystko obrzydliwe. Przypadkowe. Jestem i pozostanę takim. Także to pisanie w tej chwili, te obrzydliwe na ulicy Karmelickiej, koło Skali, która zresztą, jakże się to powtarza, jakże temu nazywa się już zupełnie inaczej, to jeszcze widać końca, jakże to nic nowego, jakże nazwa przedwojenna, w zgnile, zaczarowane wiecznie to samo, tyle że pod inną nieco nieskończone popołudnie w jednej z tych stacji. Jutro obudzę się z tymi samymi promiokreślonych krakowskich pór roku. Ciętymi, z tym samym bólem oczu, kacem: dę do fotoplastykonu, rozpaczając, że nigdzie. Tak być nie może. tych krain nie zobaczę inaczej jak tylko w fotoplastykonie. Tak samo męczę się z powtarzanie samego siebie. Ten ogródek. wodu kobiet, tylko to, co było tą samą męczącą martwienie się, że jestem niewykształcony, przestało się częściowo łączyć z kobietami, co to opowieści z mojego życia, które sto przetransponowało się gdzie indziej, może jeszcze powtórzę w towarzystwie, moje ta sama, tylko już kobiety nie są jej postaciami, przesłanie, moja żona, moje ręce, moje zobowiązania i materializacją. Dziecko jakieś włoskie, moje wszystko. placze, przyszłość ludzkości. Ano, tak kończy się rok 1964.

Moja polskość, mój ojciec, moja siostra, mój ryk, moje okulary. Nie, nie mogę. Nawet moja wyobraźnia i wszystkie moje zalety, moją fizyczność. Nie, nie mogę.

Czy jest na to rada? Dystans. Wystarczy? Moje pijactwa. Jaki jestem? Nieśmiały? Wysoki Polak? Przyjany? Kochany? Niekochany? Zdradzany? Zarzany?

Przyjąć to wszystko i dreptać z tym. Uwikłać. A jaka inna alternatywa? Wszystkie te uzasadnienia samego siebie. Jestem taki, bo robię tak a tak. O Jezu słodko co za nuda. Gombrowicz. Czy on się nie nudził? Jaki jestem dla mojej żony, jaki byłem dla moich kochanek, jaki jestem – przede wszystkim – dla samego siebie. Stwarzam siebie wybieram siebie. Takiego, co pali, co go boli, co ma takie a takie ambicje. O Boże, jaka nuda.

Jaka jest alternatywa? Jaki, co umie po angielsku, ale nie całkiem dobrze, taki, co może się czego nauczyć, taki, to, a taki, co tamto. Nie, co za nuda w każdym wypadku. Taki, co ma jakoś tak, a nie inaczej ustawić swoje życie, taki, co lubi to, nie tamto, o Boże.

W tej chwili zobaczyłem: nie to ważne, rolnik. Bo ważne, a datę mógłbym zapomnieć.

do wytrzymania. Czy można się pozbyć siebie?

To chyba wszystko jedno, czy byłem taki, czy inny. Jeżeli zawsze byłem „jakiś”. Równoważność. Obojętność mojego losu.

Czy bym to zrobił, czy tamto, zawsze byłby kształt. I zawsze refleksje.

Moje refleksje i moje zęby.

Teraz już wiem, że Gombrowicz nie miał takich kłopotów. Był tym, kim był, i z tego wyciągał wszystkie wnioski.

A moje wszystkie sposoby na życie w tych arkuszach zanotowane. Śmieszna nędza, upię się czy nie, jakie to ma znaczenie?

Jaki sens może mieć jeszcze zapisywanie, te notatki. Kto jestem? Pisarz polski? Pisarz? Człowiek? Jaki?

Kobiety – właśnie weszła jedna, moja żona, i zapytała, czy zwiariowałem. Na pewno tak (bo jest czwarta w nocy), według wszystkich zwyczajnych kryteriów. Według mnie rzadko byłem tak mało wariatem jak w tej chwili. Oczywiście ona ma rację.

Nic mi nie zostaje, jak skończyć te notatki i pomyśleć, siedząc na fotelu, czy też z nich coś zostanie i co będzie jutro.

## 4 stycznia 1974, State College, USA

Spadł śnieg, teraz się topi. Cieplusio. W duszy też cieplusio. W Japonii kryzys, wszędzie kryzys. U mnie też kryzys. Jestem głupi i nieudolny (dzisiaj).

Mój umysł jest jak księżyc. Jedna strona jasna, druga ciemna. Pełna gruzelków, nieużyteczności. Moje życie jest jak łatanina. Łatka tu, łatka tam. Kiedyś miałem być wielkim i sławnym artystą. Ale zabrakło mi charakteru i zdolności.

Jestem pełen winy. Dlaczego nie kupiłem w Berlinie na wiosnę pióra o cięższym ostrzu? Dlaczego wyrzucam pieniądze przez okno? Dlaczego nie umiem postępować ani ze sobą, ani ze swoim życiem, ani z innymi?

Dzisiaj będzie jak wczoraj, mniej więcej. Wciąż bliżej końca, którego nie można sobie wyobrazić, ale który nadejdzie. Zaraz trzeba czytać utwory studenckie. Nie chce mi się. Będę czytał.

## 4 lutego 1976

Przeczytałem gazetę i wypastowałem podłogę. A także zjadłem fasolkę. To są moje zajęcia człowieka zdrowego, to znaczy niezatrutego nikotyną.

Coś mi się niezmiernie śniło, ale nie pamiętam.

Lepiej przerwać to zapisywanie dzisiaj, żeby się nie kompromitować.

Przed kim?

REKLAMA



BRODKA  
GRANDA



NOWA PŁYTA  
PREMIERA 20.09.2010





# Wszystko, co najważniejsze



ZE SŁAWOMIREM MROŹKIEM  
ROZMAWIA KATARZYNA JANOWSKA

Jak rozpoznać, że jest się szczęśliwym, jak wytrzymać samemu ze sobą i z innymi, jak zwalczać tak zwaną inteligenckość i rozpoznać babony wokół nas – opowiada autor ukazującego się właśnie „Dziennika”

**Wie pan, co jest w życiu najważniejsze?**

– Teraz już wiem, ale co to ma za znaczenie.

**Może dla innych będzie miało?**

– Myśli pani?

**Jestem pewna. To dlaczego życie warte jest życia?**

– Dla samego życia.

**Ale co to znaczy?**

– Czasem na przykład natrafiamy na szczęście. Nie wszyscy. Niektórzy nigdy tego nie mają.

**A pan miał szczęście w życiu?**

– Ja miałem.

**I wiedział pan o tym?**

– Różnie, ale zdarzało się, że wiedziałem.

**A to mnie pan zaskoczył. Przewertowałam pana „Dziennik” i trudno nazwać go zapiskami szczęśliwego człowieka. Choć przeżył się zdarzają, kiedy na przykład pisze pan o ślubie z drugą żoną Susaną.**

– Kiedy człowiek się wiąże, mając za sobą połowę życia, to mu się wydaje, że chodzi mu głównie o to, by nie jeść samemu śniadania, obiadu, kolacji. Ale jednak chodziło o coś ważniejszego.

**Pisze pan, że być zakochanym i wolnym to najpiękniejszy stan, jaki udaje się człowiekowi osiągnąć w życiu.**

– I czemu to panią dziwi?

**Hymn na cześć miłości jakoś mi do pana nie pasuje. Kobiety były najważniejsze?**

– Proszę pokazać mi pana, dla którego nie są.

**Paru pewnie by się znalazło, dla których ważniejsza jest na przykład władza.**

– Ale oni są w mniejszości. W pewnym okresie życia bez kobiet się nie da.

**A ja myślę, że dla wielu mężczyzn kobiety są dodatkiem do życiowych osiągnięć.**

– Różne są kombinacje. Dla jednych są dodatkiem, dla innych nie.

**Ale miłość i wolność się wykluczają. W miłości trzeba często oddać drugiej osobie przynajmniej część swojej wolności.**

– Ma pani rację. To się wyklucza. Ale ja dlaty kilku pań, z którymi byłem w życiu związany, chętnie ze swojej wolności rezygnowałem.

**Pisze pan, że wartość małżeństwa potrafi docenić dopiero po śmierci żony.**

– Związek dwojga ludzi to proces rozpisany na lata. Małżeństwa nie da się zatrzymać w jednym punkcie, choćbyśmy nie wiem, jak chcieli. Zawsze coś do tej relacji się dokłada i jak to wygląda, można zobaczyć dopiero z odległości.

**Czyli jednak to, że było się szczęśliwym, można zobaczyć dopiero po czasie?**

– Wszystko można po czasie.

**Niech mnie pan nie zbywa. A w trakcie nie?**

– Jeśli ktoś to potrafi, to bardzo proszę, zapraszam. Umiałem się cieszyć chwilą, umiałem po chwili. Jak ma się 80 lat, szczęście to ból. Taką pani bazową definicję podam.

**Z „Dziennika” wylania się przygnębiający obraz pańskiego bycia sam na sam ze sobą.**

– Bo „Dziennik” nie dorósł do rangi dziennika. Nie pisałem go codziennie. Nie wszystko w nim jest, nie każde moje przeżycie, stał doświadczeniem. W ciągu 30 lat pisałem ten dziennik na wrywki, nie przejmując się egi mi miast, w których przyszło mi żyć. Dlatego trudno jest ten głos uformować, powiedzieć, jaki on jest.

**Pisze pan w „Dzienniku”, że jesteśmy sami dla siebie nierówni jako ludzie. Zmieniamy się, i to nie tylko na przestrzeni lat.**

– Cieszę się, że pani zwróciła uwagę na to, że nie. Mój głos w „Dzienniku” może być tylko głosem samotnego człowieka, bo pamiętam, że pisałem go wyłącznie na osobności i dla osobności. Taki głos jest jeden. Jeden do przesady. Przyznam się, że nie wiem do końca, z jakich powodów robiłem te zapiski, ale widząc, że warto. Potem pojawiła się sprawa publikacji. Zapytałem kilka osób, czy to ma sens. Zapewniali, że tak. Nie wiem, czy nie z grzeczności. No, ale zdecydowałem się na publikację.



**Mnie się wydaje, że pana „Dziennik” będzie wydarzeniem na miarę „Dzienników” Gombrowicza. W konfrontacji z pana zapiskami „Dzienniki” Gombrowicza jawią się jako doskonała kreacja literacka. Pan jest bezlitosny wobec siebie. Mało kto zdobywa się na taką zimną autoanalizę w myślach, a co dopiero na papierze. Nie chciał pan tego ocenzurować?**

– Nie. Coś tam wyrzuciłem, pojedyncze zdania. W zasadzie jest to dziennik ze szczerości.

**Nie oszczędza pan siebie.**

– A dlaczego miałbym siebie oszczędzać?

**Na ogół autorzy dzienników, którzy zakładają, że ich zapiski mogą zostać opublikowane, próbują się w nich kreować.**

– To nie jest dziennik pisany z myślą o publikacji. Pisałem go niemal do ostatniej chwili, kiedy byłem w stanie pisać. Kiedy zbliżałem się do osiemdziesiątki, zacząłem się zastanawiać, co z tym fantem zrobić. Na wzniecenie drugiego ogniska nie miałem już siły.

**Część wczesnych zapisków spalił pan przed laty w Krakowie.**

– Zdecydowałem się na to po tym, jak włamało się do mojego krakowskiego mieszkania. Byłem przekonany, że to wiadome służby je przeczesały. A chciałem wyjechać na Zachód. Gdyby znaleźli „Dziennik”, miałbym z tym kłopot. Wracając do teraz, ponieważ nie mam jak spalić trzech tysięcy stron, postanowiłem je wydać. Wydawnictwo miało z tym mnóstwo pracy.

**To trzy tysiące stron w różnych językach.**

– Pisałem w języku kraju, w którym akurat mieszkalem. Czemu? Nie wiem. Może tak było łatwiej? Jestem ciekaw, co z tego wyniknie. Ale jeśli pani mówi, że w porównaniu z innymi dziennikami te są niezłe, to dla mnie wielka pociecha.

**Z „Dziennika” płynie wniosek, że pan siebie nie lubił. Więcej – bywał pan rozczarowany, budząc się ciągle w swojej skórze.**

– No rzeczywiście, na początku nie lubiłem siebie, ale potem, w miarę upływu lat, stopniowo, stopniowo oswajałem się ze sobą.

**Podobno człowiek jest w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego, nawet do bycia Mroźkiem.**

– Nato wychodzi.

**„Całe moje doświadczenie, wszystko, co przeżyłem, pokazuje, że jestem gnojem” – dość radykalny sposób na oswajanie się ze sobą.**

– Tak o sobie chwilami myślałem. Może i dziś zdarzają mi się takie momenty. Na szczęście dużo czytałem, a czytanie książek oznacza rozwój. Człowiek czytający zyskuje →



→ perspektywę. Tak było i będzie. Kiedy wyjechałem za granicę i zobaczyłem, o czym tam piszą, zacząłem sobie odpuszczać.

**Doszedł pan do wniosku, że nie jest z panem tak źle?**

– Żeby pani wiedziała. Kultura zachodnia wówczas była mniej więcej taka jak teraz w Polsce, tylko na mniejszą skalę i w mniejszym stopniu.

**Czyli jaka?**

– Umasowiona, tandetna, byle jaka. Dzięki tej konfrontacji udało mi się otrząsnąć z niechęci do mnie samego.

**„Nigdy nie chciałem być inteligentem, człowiekiem kulturalnym, moralnym, dobrym, udoskonalonym. Muszę pamiętać, skąd jestem, z tej gnojówki, warszaticzków”. Dlaczego chciał pan pielęgnować w sobie podrzędność?**

– Chciałem w sobie pielęgnować siebie. Zostałem tym, kim się urodziłem. Ale broniłem się przed inteligencją, tak zwanym humanizmem, szczerze go nienawidziłem. Gadanie o postępie, ludzkości, wizji człowieka w świecie wydawało mi się jałowe.

**To o czym warto mówić, pisać?**

– O tym, co najważniejsze: o śmierci, o młodości, o niemożności opisanego bólu, o tym, co widzimy przez okno.

**Teraz z okna swojego gabinetu widzi pan prostokąt pięknej nicejskiej kamienicy z wewnętrznym ogrodem.**

– To, co teraz widzę, nie ma większego znaczenia. Ale widok rzeczywiście jest ładny.

**Stawiał pan na sztuce, która miała pana zdaniem moc przezwyciężenia kultury.**

– Tak było 30 lat temu. Sztuka nie była wówczas towarem masowym, tak bardzo skomercjalizowanym. Teraz nie ma już mocy. Stało się z nią to samo co z kulturą.

**Z „Dziennika” wynika, że charakter ma pan nie najprzyjemniejszy. Zazdrościł pan Gombrowiczowi, Dürrenmattowi.**

– Nawet Iredyńskiemu zazdrościłem. Nienawidziłem ich wszystkich. Ale proszę mi uwierzyć, dawno już to wszystko ze mnie zeszło.

**Uważał pan, że sukces przychodzi im łatwiej, a może że im się nie należy? Pisał pan, że sztuki Dürrenmatta smakują jak sucha buła.**

– Może w pewnym momencie tak uważałem. Chodziło o ukłucie „dlaczego on, a nie ja”. Jako Polak byłem karany za polskość. Pisałem po polsku i zanim mój tekst wyszedł w Polsce, zanim został przetłumaczony, ktoś zdążył już coś podobnego wydać, ktoś to już wystawił. I wtedy byłem drugi, wtórny. Wrzucano mnie do szuflady z nazwiskiem innego pisarza. Polskość utrudnia, nie tylko ja się o tym przekonałem.

**Praca była męką?**

– Tak. To był fizyczny wysiłek siedzieć i tylko rozmyślać. Godzinami nie wstawałem z krzesła, nie przerywałem myślenia. Dopiero teraz, z odległości widzę, jakie to było straszne. Pytała pani o szczęście. Teraz mam szczęście, bo już nie muszę tego robić. Skończyło się.

**Najlepiej pisać się po wódce – wyznaje pan w „Dzienniku”. Alkohol był problemem?**

– W pewnym momencie tak.

**Kac, ciągłe przebudzenia z kacem. Takie obrazki powtarzają się w „Dzienniku”.**

– Zdarzało się. W pisaniu to nie pomagało.

**A co pomagało? Przyjaźnie? Korespondował pan przez wiele lat z Lemem, Błońskim, Axerem, Tarnem, ze Skalmowskim.**

– Jeśli umiera się szybko, to wierzy się w przyjaźń. Ale jak ktoś umiera powoli, tak jak ja,

„*Jeśli umiera się szybko, to wierzy się w przyjaźń. Ale jak ktoś umiera powoli, tak jak ja, to i przyjaźnie przemijają*”

SŁAWOMIR MROŻEK

to i przyjaźnie przemijają. Starcy odsuwają się od siebie, zostają sam na sam ze swoją starością, umierają. Nie umiałem się zaprzyjaźnić z kilkoma osobami naraz, wolałem pisać, niż się spotykać, ale przyjaźń była ważna. Trudno mi dziś powiedzieć, z kim byłem najbliższy. Wszyscy już umarli. Wynajdywać teraz w pamięci, zastanawiać się, jak to było, nie ma już chyba sensu.

**Z tomów korespondencji można odnieść wrażenie, że bliski był panu Skalmowski.**

– Znaleźliśmy się na emigracji, obserwowaliśmy Polskę z oddali. Ale pewnie pani się zdziwi, że specyficzna i głęboka przyjaźń łączyła mnie z Lemem. Poznałem go, mając 20 parę lat.

**Dzielił się na przykład pasję samochodową.**

**To w męskim świecie – oprócz kobiet – ważny punkt programu. Opisuje pan, jakim przeżyciem było dla pana kupno pierwszego samochodu za granicą, w eleganckim salonie, za gotówkę.**

– Powiedzieć o Lemie, że miał pasję samochodową, to nie przesada. W moim przypadku to nie było tak zaawansowane. Dzielił się głównie pasję polityczne.

**Polska była ważna?**

– Oczywiście. Dalej jest. Od tego się nie uwolnię, to mnie zawsze dotyczy.

**Zarzuca pan Polakom miękkość, skłonność do sentymentalizmu...**

– Tacy jesteśmy i przez to tracimy. Przegrywamy w konkurencji z innymi na różnych polach. Polacy za granicą nie dochodzą do niczego wielkiego, nie wychodzą poza poziom średnio zarabiających biznesmenów. Nie odgrywają większej roli w życiu krajowym, do których dołączyli. Mamy jakąś wadę, która nie pozwala nam zwyciężać. Zawsze jesteśmy pobici i z tego robimy sztandar, mszę, wymówkę. Niemożność zwycięstwa jest centralnym polskim problemem.

**W „Dzienniku” przywołuje pan obraz z dzieciństwa: świnie pchające się do koryta, każda osobno – tak pan widzi nas, Polaków. Mocny obraz.**

– To prawda. Mocny obraz. Zastanawiałem się, czy go nie skreślić. Ale pomyślałem: nie wiedzą.

**No to wiemy. To jak odnosić się do ludzi, którzy zachowują się tak, a nie inaczej?**

– Nie ma innego wyjścia – trzeba ich znosić.

**Nie przepadał pan za licznym towarzystwem, za częstym przebywaniem z innymi.**

– Nie, nie, nie. Mogę innych znosić przez szacunek dla nich, nawet ubóstwienie ich wyższości, ale najchętniej z dystansu. Byłem z innymi oznaczało dla mnie szanowanie suwerenności. Ale każdy boryka się z tym inaczej. Dopóki istniejemy, musimy nawzajem się znosić. Mnie uratowało, że większość życia spędziłem na pisaniu. Moje dni wyglądały bardzo podobnie: stół, krzesło i wysiadanie przez parę godzin dziennie. Na ludzi zostawiałem niewiele czasu.

**Którą sztukę najlepiej pan wysiedział? Która pan lubi najbardziej?**

– Każda kolejna wydawała mi się trafna i dobra. W związku z tym nasuwa mi się myśl: wszystko, co się starzeje, jest automatycznie out.

**Pan też jest out?**

– No oczywiście, przecież się starzeję.

**Młodzi reżyserzy nie chcą grać pana sztuk. Pana dramaty są out?**

– Jak człowiek za długo pożyje, to nie jednoznacznie na przykład że reżyserzy nie chcą jego dramatów. Wszystko zależy od mody, nastroju społecznego. Są tacy, którzy w ogóle nie czytają. No to jak mają wystawiać moje sztuki?

**Pewna młoda reżyserka oświadczyła, że nie będzie czytać sztuk Mrożka, bo są za trudne. W tekście są zdania podrzędnie złożone.**

– I co mogę zrobić? Nie mogę im powiedzieć, czytajcie moje dramaty. Może któryś czegoś nie rozumie. Stają się przyrzędami do gromadzenia świadectw. Układają te doświadczenia w tym samym sznurku już do śmierci. Świat jest zbudowany jest babonami. Babony są także różni mężczyźni, choć te w damskim wyobrażeniu bywają bardziej zatwardziałe. Babon

wie wszystko, raz na zawsze. Potem można ją palić na stosie, a i tak będzie wiedziała wszystko o wszystkim. Za co należałoby kamienować. Wyjechałem z Polski, mając 33 lata. W ostatniej chwili uniknąłem przemiany w manekina. Ówczesny ustrój był potwornie sztywny i zapowiadało się, że to sztywniactwo będzie trwało na wieki. Co było robić?

**W Polsce byłby pan uznanym pisarzem, dostałby pan talon na samochód, przydzielano mieszkanie. Babon jak się patrzy.**

– I potem bym umarł.

**Za granicą był pan zawsze obcy.**

– I to mi zostało do dziś. Bycie obcym sprawia, że żyjemy w stanie podniesionej gotowości. Prawdziwe życie jest tym, co się robi, a nie tym, za czym się tęskni. Polacy często mylą tęsknotę za życiem z życiem prawdziwym. Są idealistami. Mnie takie pomylenie nie groziło, bo nie umiałem siebie oszukiwać, ale za to umiałem doskonale zwlekać.

**Chciał pan życia stałego, a sam pan skazywał się na niepewność, skakał na głęboką wodę.**

– Powód był prosty. Dość szybko się nudzę w jednym miejscu.

**Meksyk miał być rajem?**

– A okazał się odwrotnością raj. Musieliśmy stamtąd uciekać. Życie polega na marzeniach i potem na rozczarowaniach. W „Dzienniku” pisałem, że prawdopodobnie każdy jest zadowolonym kochanką świata. Żaden świat nie zgadza się z projektem. Nasz wysiłek, żeby z danego nam materiału zbudować świat według naszego projektu, jest zawsze daremny.

**W 1966 roku pisał pan, że gdyby miał wtedy umrzeć, uznałby pan, że wszystko w pańskim życiu się spełniło. Powtórzyłby pan to dziś?**

– Mniej więcej tak. Nie przeżyłem wielkiego rozczarowania. Jestem bardzo zadowolony z tego, co było, i z tego, co jest nadal.

**Tęskni pan za czymś?**

– Tęsknota to już była. W wieku starszym nie pojawiają się tęsknoty. Życie dostarcza sposobów na trwanie. To jest pocieszające. Ubywa nam różnych zmysłów, ale coś tam jednak zostaje.

**Napisał pan, że raj czy piekło to obietnica, iż coś nam będzie dane za darmo.**

– Ale nie ma nic za darmo.

**Życie jest jak marchewka – jak pisał Cechow – początek i koniec?**

– Są osoby, które nie zgadzają się na życie.

**Pan się zgadza?**

– Tak.

**I nie myślał pan nigdy, żeby sobie życie skrócić?**

– Nigdy mi to nie przyszło do głowy.

**Mimo że przez lata pan cierpiał, będąc sam na sam ze sobą?**

– Najpierw człowiek szalenie cierpi, potem mu to przechodzi i w końcu przestaje o tym myśleć. Ale to nie jest obojętność, przynajmniej w moim przypadku. Na to jest za wcześnie. Gdybym przechodził obojętnie, już bym nie żył. Emocje słabną z wiekiem, ale ciągle coś się w człowieku tli. W starości dobre jest to, że uwalnia nas od rzeczy, które dręczyły nas przez całe życie.

**Rozpoznaje pan siebie w „Dzienniku”? Ma pan poczucie ciągłości?**

– Trudno mi siebie rozpoznać w trzyletnim dziecku w białych pończochach na fotografii z pierwszej połowy XX wieku. Nie chciałbym wrócić ani do dzieciństwa, ani do młodości. Najbardziej lubiłem dojrzałość.

**Czego pan się trzymał w życiu?**

– Różnie bywało. Raz tego, raz owego.

**Ma pan poczucie zwycięstwa nad życiem?**

– Owszem, przeżyłem 80 lat, a to już jest sporo. Nie dałem się zabić, a to w Polsce mogło się zdarzyć bardzo łatwo. Wychowałem się w przyzwoitej rodzinie. No cóż, trzeba do życia szczęścia.

**Boi się pan tego, co będzie po ogłoszeniu „Dziennika” w Polsce? Obejdzie to pana?**

– Będzie mnie to obchodziło jak najbardziej. Choć z perspektywy Nicei będzie to trochę inaczej wyglądało, niż gdybym na stałe mieszkał w Polsce.

**Są tacy, którzy uważają, że swoim „Dziennikiem” przebieje pan Gombrowicza.**

– Tak mówią jedni, ale szykują się inni.

**Rywalizował pan z Gombrowiczem?**

– Absolutnie nie.

**Pisał pan, że on był zdolniejszy.**

– Raz pisałem, że był zdolniejszy, potem nie. To były takie służbowe podziały.

**Pana „Dziennik” dzięki niezwyklej szczerości jest bardzo współczesny. Dziś odważniej niż kiedyś staramy się zajrzeć w głąb siebie. I pan się wysforował na przód peletonu.**

– Cieszę się, że pani to mówi, bo w Polsce, szczególnie w Polsce, jesteśmy zablokowani, nie mamy do siebie dostępu, boimy się go znaleźć. Ja to doskonale czuję, bo w tym wyrosłem.

**Co nas knebluje? Tradycja?**

– Kościół, tajemnica spowiedzi – przez tę tradycję jesteśmy zakneblowani. Ale to może się zmienić. W ostatnich miesiącach Kościół w Polsce sam podważał swój autorytet.

**Cieszą pana obchody pańskich urodzin?**

– Nie, ale będę udawał, że się cieszę.



Chilli ZET  
Radio w pogoni  
za kulturą  
[www.chillizet.pl](http://www.chillizet.pl)



Jakkolwiek by na to patrzeć, **Ola** (Natasza Urbańska) ma krew na rękach

## Polska w 3D

Kończą się zdjęcia na planach: animacji „Latająca maszyna 3D – Projekt Chopin” i „Bitwy warszawskiej 1920”. Pracę ekip oglądaliśmy na własne oczy. I przez specjalne okulary

OLA SALWA

### Wnętrze. Hala fabryczna. Łódź. Dzień

Ściany pomalowane graffiti, betonowa podłoga. Opuszczony, zaniedbany budynek wygląda trochę jak meta amatorów wina owocowego. Wnętrze ogromnej hali podzielono na mniejsze pomieszczenia czarnymi kurtynami. Gdyby były czerwone, a światło mocniejsze, można by pomyśleć, że zza jednej z nich za chwilę wyłoni się David Lynch – przecież już kręcił w Łodzi film.

– To najbardziej skomplikowany projekt, nad jakim pracowałem – mówi nam Tim Allen, jeden z głównych animatorów „Latającej maszyny 3D – Projekt Chopin”, który w CV ma „Gnijącą pannę młodą” Tima Burtona i „Fantastycznego pana Lisa” Wesa Andersona. – Przy planowaniu kolejnych sekwencji filmu prawie zawsze myślimy: „O Boże, to będzie trudne, jak my to zrobimy?”. W każdym ujęciu ruchy wszystkich postaci muszą być

zgrane z kompozycjami Chopina. Nie chodzi nam tylko o rytm muzyki, chcemy uchwycić jej emocje.

O czym będzie ten film? Jego bohaterem jest przypominająca kształtem fortepian maszyna, w której zamieszkała dusza Fryderyka Chopina. Trójwymiarowa poklatkowa animacja lalkowa będzie połączona z żywym planem – tu z kolei główne role zagrają hollywoodzka aktorka Heather Graham i chiński

artista Lang Lang. Film jest polsko-chińsko-rosyjską koprodukcją, a zobaczymy go w polskich kinach w lutym przyszłego roku.

Wnętrze.

### Wnętrze. Szpital. Warszawa. Dzień

ew przesiąkająca przez bandaż rannego nie za to pierwsze, co zauważam w auli wiatu fizyki. Ale to jeszcze nic w porównaniu z obrazami innych pacjentów – niektórym brakuje rąk, innym nóg. Obok nich stoją pieśniarki, niespecjalnie zainteresowane tym, co dzieje się w szpitalu. Ożywiają się na hasło: „Nie kotku, jesteśmy gotowi do próby”.

Andrzej Kotkowski, drugi reżyser „Bitwy warszawskiej 1920”, tymczasem biegnie po balkon auli, gdzie czeka Natasza Urbańska. Gra Olę, artystkę rewiową, której mąż (przyszyje) zginął na polu bitwy, a ona pracuje w szpitalu jako sanitariuszka. To jedna z ostatnich scen filmu. Aktorka ma przejść kilka kroków, podać lekarstwa pacjentom, gdy nagle... To, co właśnie ujrzała Ola, zobaczycie na własne oczy (i przez specjalne okulary) w wrześniu 2011 roku.

Włosy fikcyjnych kochanków są jednym z kilku wątków historycznego widowiska, które – jak przekonują jego twórcy – dzięki technice stereoskopowej (fachowa nazwa 3D) ma być nie nudną lekcją historii, aleciągającą rozrywką. – Niedługo wszystkie filmy będą realizowane w 3D. To taka sama rewolucja, jaką był dźwięk, a potem kolor – mówi „Przekrojowi” Jerzy Hoffman, siedząc w specjalnych okularach przed czterema ekranami. Dwa większe, na górze, pokazują trójwymiarowy obraz, dwa na dole – klasyczny, dwuklatkowy. – Efekt trójwymiarowości widziałem już w latach 50. w Moskwie, w trakcie studiów, kiedy wtedy kamery były niesłychanie ciężkie, a produkcja bardzo droga.

Sławomir Idziak, wybitny operator, laureat Oscara za zdjęcia do „Helikoptera w ogniu”, dodaje, że technika stereoskopowa daje szansę na odświeżenie ogranych w kinie gatunkowym chwytów: – Zaczęliśmy być hiperrealistyczni. 3D daje nam szansę na odkrycie czegoś nowego.

### Wnętrze. Kawiarnia. Warszawa. Dzień

W trakcie umawiania się na wywiad operator Mikołaj Łebkowski (wcześniej między innymi „Matka Teresa od kotów”) uprzedza nas, że może rozmawiać tylko o technice filmu. Nie wolno mu zdradzić nic na temat scenariusza horroru „Czarnobyl 2011” Patryka Vega. Reżyser zaś odpisuje nam, że z powodu politycznej strategii promocyjnej na tym etapie pracy nie jest zainteresowany udzielaniem

żadnych informacji o filmie. Udało się jedynie ustalić, że jedną z ról zagra Anna Dereszowska. Reszta obsady, fabuła oraz data rozpoczęcia zdjęć są nieznane. Wiadomo tylko, że film będzie kręcony po angielsku i z myślą o rynkach azjatyckich, gdzie horrory od lat cieszą się szaloną popularnością. – Kino gatunkowe idealnie nadaje się do 3D – wyjaśnia Łebkowski. – Różnica między „Avatarem” a „Krwawymi walentynkami 3D” polega jedynie na tym, że używamy tych samych technik 3D w nieco inny sposób. Horror powinien poruszyć widza w fotelu, dlatego często udajemy, że coś wychodzi z ekranu.

Dodatkowy wymiar ma jednak swoje ograniczenia. – We wszystkich podręcznikach do stereografii piszą, żeby nie robić za dużych zbliżeń, nie kręcić zdjęć z ręki lub – w scenach dialogowych – zza pleców bohatera – dodaje Łebkowski.

Dlaczego? Plecy aktora zasłaniające połowę kadru w filmie trójwymiarowym najzwyczajniej męczą oczy.

W „Czarnobylu 2011” sceny i ujęcia ekipa planowała tak, jakby film był kręcony tradycyjnie.

*Percepcja widza jest ograniczona. Nie można atakować go bez przerwy, bo wstanie z fotela i opuści kino*

Dopiero z pomocą fachowców od trójwymiarowości, czyli stereografów, przełożył je na dodatkowy wymiar. Kiedy pytam, czy realizacja w 3D się opłaca, Łebkowski mówi: – Kręcenie filmów stało się tanie. Przy użyciu kamer cyfrowych można zrealizować film za dwadzieścia milionów złotych, zrobienie go w 3D nawet czterokrotnie zwiększa koszty. Wracamy więc do czasów, gdy produkcja była elitarna.

### Wnętrze. Hala. Łódź

Przechodzę przez rozcięty kawałek kotary i widzę... Paryż. Budynki identyczne z tymi przy Wielkich Bulwarach, dalej nadbrzeże Sekwany. Za kolejnymi drzwiami z materiału jest warszawskie podwórko, a za następnymi – główna bohaterka animacji: latająca maszyna dyndająca na zielonym tle. Tu dziś pracuje Tim Allen. Opowiada, że maszyna jest czymś pomiędzy wyrafinowaną lalką a filmowym efektem specjalnym. Ma 52 ruchome punkty, których położenie musi być zmieniane do każdej klatki filmu. A tych jest 24 w każdej sekundzie. Część animowana trwa pół godziny, co daje w sumie ponad 43 tysiące klatek. Tyle samo

jest w filmach 3D, tyle że tutaj jedna klatka powstaje z połączenia dwóch zdjęć tego samego obiektu, ale robionych z różnych ustawień aparatu. Chodzi o to, aby zarejestrować obraz tak, jak widzi nasze prawe i lewe oko, by po obróbce cyfrowej wyszedł efekt trójwymiarowości. Samo fotografowanie trwa krótko, pracę wydłuża staranne ustawianie aparatu. – Muszę być szczególnie czujny, gdy w scenie postać przesuwa się tuż przed kamerą. Jeśli czegoś nie dopilnuję, efekt będzie nieprzyjemny dla oka – tłumaczy Tim. Oczywiście można tworzyć film metodą klasyczną, a potem wyczarować 3D za pomocą komputerów, przykładem jest choćby „Alicja w krainie czarów”, ale efekt nie jest wtedy tak oszałamiający.

– Masz ulubioną lalkę? – pytam Tima. – To latająca maszyna. – Jakiejś nienawidzisz? – Latającej maszyny – odpowiada z uśmiechem i odrobiną... niepewności. Ale może to tylko kotara rzuca taki cień.

### Wnętrze. Szpital. Warszawa

Biegnę obok łóżek i prawie wpadam na kuśtykającego żołnierza. Plan filmowy pierwszej polskiej fabuły realizowanej w technologii 3D wygląda normalnie, jest tylko bardziej okazały – w końcu ma budżet 10 razy większy niż przeciętny dramat lub komedia, czyli 27 milionów złotych. Cały sekret kryje się w dwóch zestawach kamer umieszczonych na pierwszym piętrze auli. Nad ich ustawieniem i poprawną rejestracją obrazu czuwa nie tylko pion operatorski, lecz także Andrzej Waluk, stereograf, który wcześniej pracował nad „Latającą maszyną”. Ekipa zdradza, że plan zwiedzała druga reżyserka „Alicji w krainie czarów”, żeby podpatrzeć technikę. Dziś pojawił się inny gość, reżyser Janusz Morgenstern. Samo nagrywanie scen – podobnie jak w przypadku animacji – nie zabiera wiele czasu, dłużej trwa przygotowanie narzędzi. Nie istnieje jeszcze specjalistyczny sprzęt do filmów 3D, kamery są za duże, aby mogły stać bardzo blisko siebie (tak jak oczy w czasce), więc obiektyw jednej z kamer wycelowany jest prosto w Nataszę Urbańską, a drugi w półprzezroczyste lustro i rejestruje obraz przesunięty o mniej więcej sześć centymetrów. – Trudno ocenić, o ile więcej mamy pracy, bo sam gatunek filmu – widowisko historyczne – jest wyjątkowo pracochłonny – mówi Sławomir Idziak. – Narzędzia do tworzenia kina 3D przechodzą jeszcze swoje dziecięce choroby, ale to tylko kwestia rozwoju sprzętu i doskonalenia go.

Idziak przewiduje, że już w przyszłym roku filmy z wakacji będziemy nagrywać w trzech wymiarach. Hoffman, przygotowując się



→ do realizacji „Bitwy...”, obejrzał w kinie większość filmów trójwymiarowych. – Zobaczyłem, jakich błędów unikać. Na przykład nie można epatować efektem 3D – wyjaśnia. – Ale spokojnie, konie będą na panią wychodzić z ekranu, ważne, jak często będzie się to odbywać. Percepcja widza jest ograniczona, nie można go atakować bez przerwy, bo wstanie z fotela i opuści salę.

Reżyser zdradza też, że dzięki 3D „Bitwa warszawska 1920” ma szansę trafić do widzów za granicą. Cóż, na pewno większą niż tradycyjne filmy komercyjne, które od lat bez powodzenia dobijają się do zagranicznych rynków.

## Wnętrze. Hala. Łódź

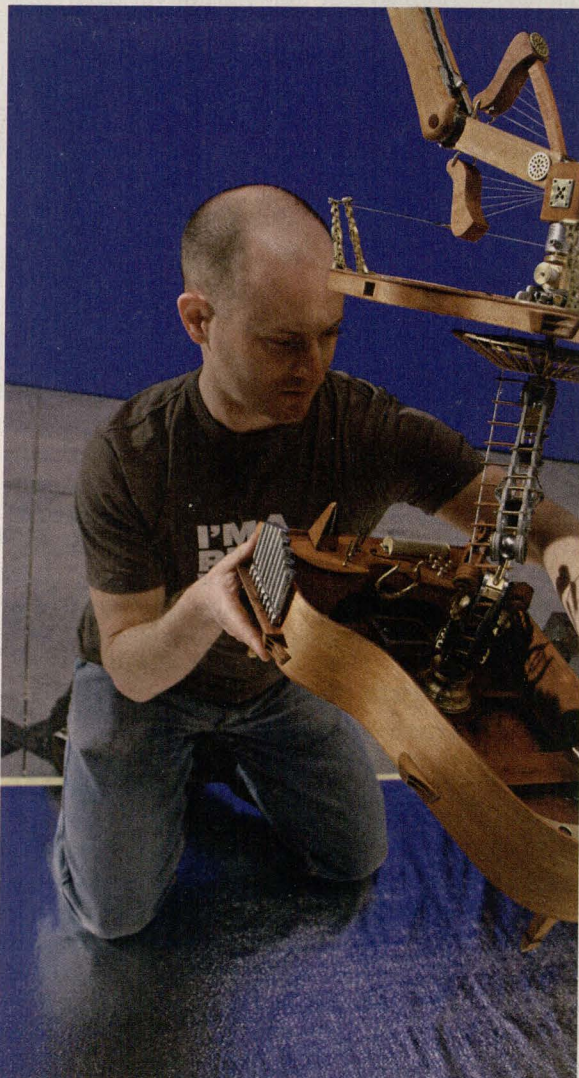
Wracam na plan „Latającej maszyny”. Stosy odciętych rąk, są mniejsze, większe, wszystkie z silikonu. Jestem w warsztacie lalkarzy i zarazem szpitalu dla lalek występujących w części animowanej. Jest ich 67, ale te najważniejsze występują w kilku rozmiarach. Małe pojawiają się w tak zwanych szerokich planach, duże w zbliżeniach. Na ścianie – tym razem białej, nie zielonej – wisi tablica z informacją, gdzie, która postać, w jakim rozmiarze i z kim aktualnie „gra”. Po zarejestrowaniu ujęcia (trwa to około tygodnia) materiał przechodzi w ręce specjalisty od postprodukcji. Zielone tło, na którym filmowano maszynę i postacie, musi być zamienione w niebo i chmury. Robią to specjaliści między innymi z Chin i Indii. Frank Malmine, który zajmuje się organizacją procesu postprodukcji, rzuca fachowe określenia: *set extention*, *rendering*, *image compositing*, *color grading*. Choć od dawna śledzę postępy w animacji cyfrowej i mam pod stołem telefon z dostępem do Wikipedii, czuję się przytłoczona zaawansowaniem procesu produkcji.

## Wnętrze. Warszawa, Łódź

Na deser oglądam nakręcone już fragmenty obu filmów. W Łodzi jest to materiał promocyjny „Latającej maszyny 3D – Projekt Chopin” przygotowany na targi filmowe w Cannes. Animacja jest przepiękna, trochę przypomina „Koralinę i tajemnicze drzwi” według powieści Neila Gaimana, trzeci wymiar podkreśla urodę filmu. Za plecami Hoffmana i Idziaka podglądam w okularach ujęcie z Urbańską. Tu trudniej ocenić efekt, bo scena jest dość statyczna. Większe wrażenie robią fragmenty bitwy kojarzące się z obrazami Kossaka, choć oglądam je tylko w dwóch wymiarach i na małym ekranie laptopa. – A wygodne są te okulary? – pytam Idziaka. – Widzi pani, nawet nie zauważyłem, że je mam na nosie. Czasem z reżyserem zapominamy się i chodzimy w nich nawet na obiad.



Lalkowaty Antoine szuka latającej maszyny nad brzegiem Sekwany



Pan i jego maszyna: animator Tim Allen pracuje na zielonym, a czasem niebieskim tle, które fachowo nazywa się blue box

## Tak, tak, 3D ma już 90 lat!

Choć trudno w to uwierzyć, eksperymenty z 3D zaczęły się wcześniej niż kino dźwiękowe. Już w latach 20. powstawały pierwsze trójwymiarowe filmy. Boom na nie nastąpił w latach 50., kiedy kino walczyło z młodą rywalką telewizją o uwagę i czas widzów. W trójwymiarze powstał na przykład film „M jak morderstwo” Hitchcocka. Technika się nie przystępowała: sprzęt był drogi, niewiele sal było przystosowanych do wyświetlania filmów 3D, a okulary okazały się bardzo niewygodne. Nową jakość zaproponował system IMAX, który w latach 90. oferował głównie filmy przyrodnicze i dokumentalne. Renesans stereoskopia przeżywa od 2003 roku, kiedy James Cameron pokazał „Głosy z głębin 3D”. Od tego czasu liczba produkowanych filmów rośnie. Najbardziej dochodowym filmem 3D w historii jest „Avatar”, który zarobił 2,75 miliarda dolarów. W Polsce też trwa moda na 3D: od stycznia do lipca 2010 roku trzy filmy zrobione w tej technologii („Avatar”, „Alicja w krainie czarów”, „Jak wytresować smoka”) obejrzało pięć milionów widzów. Dla porównania: w 2009 roku do kin poszło w sumie ponad 39 milionów widzów. W pierwszym półroczu tego roku w sieci Cinema City 35 procent sprzedanych biletów było właśnie na seanse 3D. W 2009 roku w analogicznym okresie – zaledwie 7,3 procent.

# MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH

Szukaj w kioskach



Ponadto w tytule:

Aga Zaryan • Rafał Sonik

• June Newton • Isabella Blow

• Tomasz Nałęcz • Krystyna Kofta • Agnieszka Holland





# Nasze Cinema Paradiso

Multipleksy cieszą się, że liczba widzów rośnie. Niezależni kiniarze martwią się, że w 2009 roku zamknięto 40 procent małych kin. Sprawdziliśmy, jak radzą sobie te, które zostały

TEKST MILENA RACHID CHEHAB  
ZDJĘCIA BOGDAN KRĘŻEL

## Pan Marek, czyli czarna księga

Delfin, Ustka

Odległość od najbliższego multipleksu – 67 kilometrów

Ustka, kino Delfin, kwadrans przed 20 pan Marek i pan Przemek zastygają w oczekiwaniu. Czy zbierze się pięć osób, dla których opłaca się wyświetlać film? Na spóźnialskich nie ma co liczyć, wywieszka przy kasie nie pozostawia wątpliwości: „U nas wszystkie seanse zaczynają się punktualnie”, co oznacza: nie mamy półgodzinnego bloku reklamowego. Pan Przemek, kierownik, kasjer i barman w jednej osobie, sprzedał dotąd trzy bilety wczasowiczom z Wrocławia, pan Marek – kinooperator pełniący też funkcję biletera – skrzętnie liczy wszystkie trzy skasowane odcinki biletów. Jeszcze dwa i będzie mógł iść włączać projektory. Jeżeli już nikt nie przyjdzie, grzecznie przeprosi niedoszłych widzów i zaprosi ich na jutro. Oznacza to wolny wieczór, ale zachwycony nie jest, bo jak na kinooperatora w czynnym bądź co bądź kinie ostatnio trochę ich za dużo. Na szczęście dziś na afiszu „Incepcja”, więc dwie minuty przed 20 przed wejściem na salę ustawia się mała kolejka, którą pan Marek sprawnie rozładowuje dwoma ruchami: jeden to precyzyjne skasowanie biletu, drugi – zamaszyste zaproszenie na liczącą 195 miejsc salę. Uf! 15 osób. I to po sezonie!

Pan Marek, który w Delfinie już 34 lata puszcza filmy, pamięta, jak pracowało tu 15 osób, seanse trwały od 8 rano do 20 (co dwie godziny) →

Kino **Hawana w Mielnie** zakończyło sezonową działalność. Teraz służy jako magazyn. Jego właścicielka nie wie, czy wróci w przyszłym sezonie







→ i nie było czasu na obiad. Teraz, przy dwóch pokazach dziennie, panowie dla zabicia nudy czytają znalezione w piwnicy książki wniosków i zażaleń z lat 70. i 80. Widzowie narzekali, że trzy dni stoją w kolejce na „Szczęki”, a biletów nadal dostać nie mogą.

30-letni pan Przemek tummy widział tylko raz – na „Katyniu”. Kiedy dostał cynk, że każdy żołnierz musi obejrzeć film Wajdy, szybko obdzwonił okoliczne jednostki. Ludzie walili drzwiami i oknami, zresztą wyremontowanymi, bo obecni właściciele, państwo Góralczykowie, znani usteccy restauratorzy, włożyli w odnowienie budynku pół miliona złotych. Foyer ze skórzanymi kanapami i czarnokryształowymi żyrandolami wygląda jak wyjęte z magazynu wnętrzarskiego, podobnie jak pensjonat W Starym Kinie urządzone na górze, w dawnym mieszkaniu kierownika Delfina. Niestety, pokoje nawiązujące wystrojem do lat 30. (plakaty z epoki, albumy, stare radia) cieszą się większą popularnością niż samo kino. Pan Góralczyk narzeka więc, że jedyną kolejką, jaką można tu uświadczyc, ustawia się do eleganckiej toalety, a pani Góralczyk przyznaje, że nie obraziłaby się, gdyby budynek chciała przejąć Biedronka lub przynajmniej jakiś bank.

### Pan Grzegorz, czyli projekt dziecko

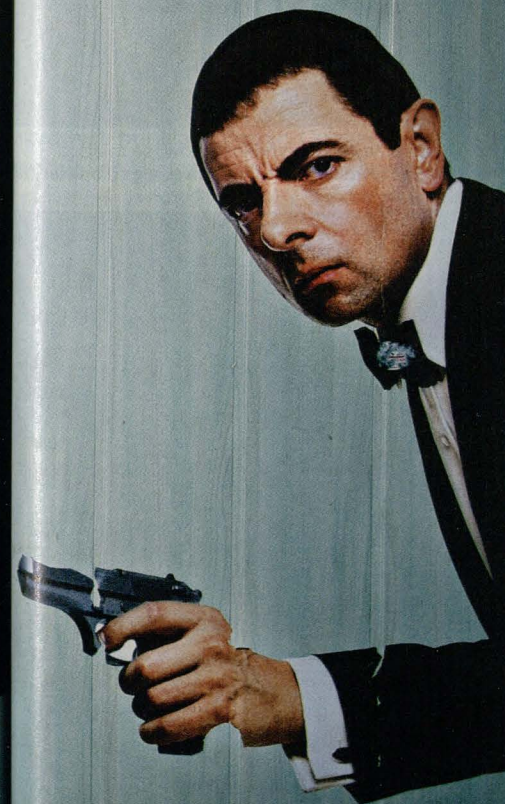
**Metalowiec, Kraśnik**

Odległość od najbliższego multipleksu – 47 kilometrów

Już pięć minut po planowanej godzinie rozpoczęcia seansu, a pan Grzegorz stoi samotnie przed niepozornymi, wyglądającymi jak stara lakierowana boazeria drzwiami. Za nimi kryje się wielka na prawie pół tysiąca miejsc sala widowiskowa Domu Kultury w Kraśniku, w której w niezmienionej formie od 40 lat urzęduje kino Metalowiec (obok działa fabryka łożysk tocznych, więc trudno, żeby nazywało się inaczej). Pan Grzegorz nawet się nie dziwi zerowej frekwencji. Pomijając, że jest poniedziałek, rozumie to, że w przypadku „Projektu dziecko” nawet najwięksi wielbiciele komedii ominęli Metalowca szerokim łukiem. Jednak kiedy miesiąc przed premierą zamawiał film u dystrybutora, nie wiedział, że recenzje będą tak druzgocące. Miał cichą nadzieję na choć kilku widzów, bo przecież pracuje tu od pięciu lat i wie, że w Kraśniku ludzie uwielbiają polskie komedie.

Pan Grzegorz z utęsknieniem czeka na swój projekt dziecko, czyli organizowany na jesieni Festiwal Dobrych Filmów. Za takie uznał w ubiegłym roku kino bliskowschodnie – pokazał „Walc z Baszirem” i „Przyjeżdża orkiestra”, retrospektywę Fernanda Meirellesa, a po wyświetlaniu tu przedpremierowo „Wiek głupoty” odbyła się debata o związkach polityki z ekologią. Spora część z 12 tysięcy sprzedanych w ubiegłym roku biletów rozeszła się właśnie na festiwalu.

Do regularnych bywalców kina należą bliżej nieznanymi pan w średnim wieku przychodzący na każdy bez wyjątku horror i film science fiction oraz pani Małgosia, kierowniczka siłowni, która zawsze siada na środku 13. rzędu. Jak kiedyś przyszła i miejsce było zajęte, wyszła, klęcząc, na czym świat stoi. Ale wróciła. Niestety, stała grupa kinomanów →



Dla pana Jerzego z kina **Helios** w **Grudziądzu** okienko kasowe to najważniejsze źródło informacji. Najczęściej ludzie narzekają na napisy. Chcieliby lektora, jak w telewizji





Góra: Piotr Kotowski, szef kina studyjnego w lubelskiej Chatce Żaka, przyznaje, że najpopularniejsze, zwłaszcza wśród randkowiczów, są miejsca na balkonie. Czasem znajduje tam nawet bieliznę. Dół: Kiniarnia w najstarszym na świecie kinie Pionier w Szczecinie. Niektórzy nawet się tu oświadcza



9 *W małym kinie nikt już nie gra dzisiaj na pianinie – śpiewał Mieczysław Fogg. Jak tak dalej pójdzie, wkrótce małe kina nie będą grać w ogóle*

PAN HENRYK, KINIARZ Z LUBELSZCZYZNY

jest na tyle mała, że ledwo starcza na rachunki za ogrzewanie. Do tego, że klimatyzacji nie ma, bo opłaty byłyby jeszcze wyższe.

**Pan Henryk, czyli czyż nie dobije go dystrybucja**

dyk, Lublin; Oskar, Lipsko; Zdrój, Bełżyce;

Odległość od najbliższego multiplexu – od 2 do 48 kilometrów

Pierwszy rzut oka pan Henryk jest na ścianie wschodniej potentat. Ma cztery kina, w tym Medyka w Lublinie, czyli jedyne w Polsce na terenie szpitala, i trzy inne, w których wyświetla filmy w weekendy. Częściej jednak mówi o nim „ostatni Mohikanin”, bo kiniarzem rodem prawie półwiecza.

dy pan Henryk jest w bardziej optymistycznym nastroju, pociesza, że kino jeszcze wróci. Przecież przeżył i fascynację Polaków kasety wideo i zabójcze dla małych kin konsekwencje, które przyniósł nowy rynek. W takich chwilach stwierdza, że stawia na retro, i ręcznie pisuje repertuar, który rozwiesi potem w holu szpitala, a także słuchowych punktach Bełżyc, Opatowa i Lipska. Ale ostatnio coraz częściej nie wie, jak to będzie. W ubiegłym roku jego budżet uratował go szef dużej firmy w Szwajcarii. Teraz też nie wie, czy uda mu się jeszcze trochę pociągnąć. Jeśli kierowniczka zamkniętego jakiś czas temu Kosmos będzie prowadziła redystrybucję, on sam nie przejdzie najbliżej czasie na emeryturę. Jeśli jednak pani Ela przeniesie do Warszawy, przestanie się bawić w kino, bo nie będzie go stać na opłacanie kurierów, by odesłać taśmy do następnego kina (średnio złotych za film). Marzy, by dostawać produkcje premierowo. Ale z tym tu mówić, skoro nawet szef podupadającej lubelskiej Bajki nie jest w stanie wynegocjować niektórych tytułów od Gutek Film, mimo że Roman Gutek to jego przyrodni brat.

**Pan Jerzy, czyli w poszukiwaniu spokojnego czasu**

Helios, Grudziądz

Odległość od najbliższego multiplexu – 60 kilometrów

że kino to „całe jego życie”, w przypadku pana Jerzego należy rozumieć dosłownie. W Heliosie w Grudziądzu cała rodzina Rębiszów nie tylko pracuje, ale też je, śpi, ogląda telewizję, urządza sylwestry. Na parterze dominuje zapach popcornu – kilkunastu widzów, którzy chodzą właśnie na „Incepcję”, patrzy na barek obojętnym wzrokiem. Na schodach na drugie piętro woń smażonego oleju przebija zapach kawy, które właśnie zrobiła pani Teresa.

Bo wszystko jest jednak tylko na chwilę. „Na chwilę” co prawda trwa parę lat i data zburzenia kina była kilkakrotnie przekładana. Teraz jednak pan Jerzy wie już na pewno, że za rok będzie po wszystkim. Nawet czuje ulgę, bo przecież wiadomo, że jak w Grudziądzu powstanie multiplex i nie trzeba będzie jeździć 60 kilometrów do Torunia, Helios podzieli los trzech innych miejskich kin. No a multiplexy nie powstają.

Ponieważ pan Jerzy zapewnia mieszkańcom Grudziądza jedyny kontakt z wielkim ekranem, siłą rzeczy skupia się na przebojach, choć wiadomo, że niektóre wejdą nawet z trzymiesięcznym opóźnieniem, a na 3D w ogóle nie ma co liczyć. Ale stara się, jak może – na premierę jednego z filmów „okołopapieskich” zaprosił na występ zaprzyjaźniony chór.

**Pani Wanda, czyli stare kino i może**

Pionier, Szczecin

Odległość od najbliższego multiplexu – 3 kilometry

Nowoczesne szklano-plastikowe wejście nie zapowiada, że w secesyjnej kamienicy w centrum Szczecina kryje się kino. Ale przed wieczornym seansem w wąskim korytarzyku jest niemal tłoczno, a na długą kanapę już nikt się nie wciśnie. Pięcioletnie starania Jerzego Miśkiewicza i prowadzących wcześniej szczeciński Kosmos państwa Szewczyków opłaciły się – zebrane dowody pozwoliły stwierdzić, że Pionier to najstarsze nieprzerwanie działające kino na świecie i jako takie jest wpisane do „Księgi rekordów Guinnessa”. Ale choć kino, które działa tu od 1909 roku (wtedy, w drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, na afiszu pojawiło się „Szmaragdowe wybrzeże Brytanii”, komedia sentymentalna „Dom bez dzieci” i dramat „Cygańska rodzina”), ma długą historię, pani Wanda podkreśla, że w wyremontowanych wnętrzach niewiele pozostało ze starych klimatów. Nawet stojące przy ekranie XIX-wieczne pianino sprowadzono tu niedawno, a wiszący w holu rzekomy autograf słynnego wiersza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego „Małe kina”, który poeta napisał dla „Przekroju” po wizycie w Pionierze (zresztą podobno przespał seans), to komputerowy wydruk.

REKLAMA

do ostatniej kropli

Warsztaty Winiarskie poleca:  
Jarosław Cybulski - 0 603 918 996  
cybulski@wine4you.pl

Infolinia: 0 663 444 444, e-mail: info@wine4you.pl, www.wine4you.pl

Rezerwacja: 0 603 32 00 00, e-mail: dwor@chotynia.pl, www.chotynia.pl





Pan Leszek pracuje w **Heliosie w Grudziądzu**. Szum projektorów go uspokaja, pobudzają dwie czarne kropki na ekranie: znak, żeby szybko zmienić taśmę

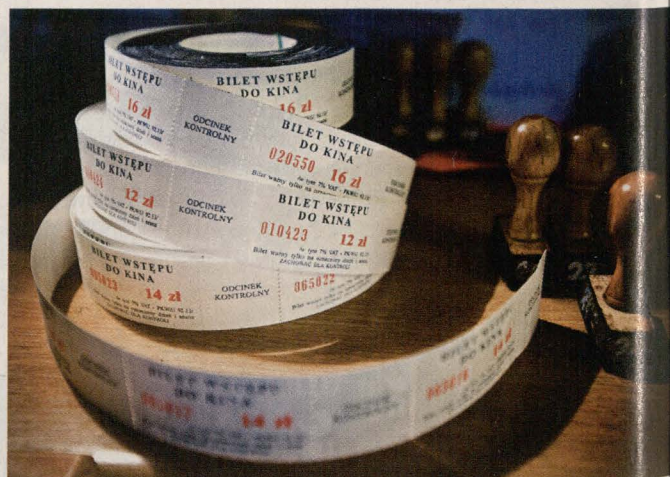
→ Jednak historia i światowa sława sprawiły, że właścicielom udało się stworzyć kino, w którym wypada bywać. Zwłaszcza w Kiniarni, czyli sali ze stolikami. W czasie seansu jest przerwa, by barman (jednocześnie kinooperator) zmieniał taśmę (projektor stoi na sali, za barem). Do pachnącego nowością starego Pioniera przychodzi się na ambitne produkcje i na randki. Jakiś czas temu miały tu miejsce nawet oświadczenia.

### Pani Dagmara, czyli co kręci i podnieca wypoczywającą inteligencję

Żeglarz, Jastarnia

Odległość od najbliższego multiplexu – 25 kilometrów

W Żeglarzu seansu dziś nie będzie, bo w Jastarni już po sezonie i trzeba powoli się zwijać. Ale pani Dagmara zagra jutro o 20 „Robin Hooda”. Właściwie zrobi to specjalnie dla swojego stałego widza, pana Łukasza. Prowadzi on nieopodal jadłodajnię i co drugi dzień zagląda z pytaniem o repertuar. Po pracy przychodzi na wieczorny seans (jak mówi, „powdychać zapachy dzieciństwa”). Na pierwszy rzut oka Żeglarz nie wygląda jak kino: w holu kanapa, kredens z książkami, stolik i fotel bujany. Gdy pani Dagmara robiła remont, czasowicze, wchodząc, pytali zaniepokojeni: czy został wiszący tu od niepamiętnych czasów napis przy ekranie („Godziny, lata płyną, ale cóż/wiecznie młode jest kino”)? A piec kaflowy? Podobnie jak podnóżki dla siedzących w pierwszym rzędzie, to cechy charakterystyczne jedynego kina na Półwyspie Helskim. Do 2001 roku pani Dagmara prowadziła jeszcze Świt w Wejherowie – gdy musiała go zamknąć, sześć godzin przepłakała w pobliskim kościele. W holu Żeglarza pół ściany zajmują autografy bywalców: „Bez Żeglarza nie ma urlopu” (Zbigniew Zapasiewicz) czy „Kocham kino Żeglarz” (Magdalena Zawadzka). Ewa Wiśniewska, gdy



Bilety wyglądają jak przed 30 laty i są dwa razy tańsze niż w multiplexach

przyjeżdża z przyjaciółmi, rezerwuje bilety „na rzędy”. Rekordy popularności biją tu filmy Woody’ego Allena, a widzowie przychodzą nawet dzień w dzień przez trzy dni, jeśli za każdym razem seans przerywa brak prądu (jak w przypadku „Czarnego kota, białego kota” ucinanego regularnie w 70. minucie). W kasie siedzi Patrycja, trzecie pokolenie kiniańskiej rodziny Blindów. Pani Dagmara robi wszystko, żeby córka nie zniechęciła do tej profesji. Jej samej marzy się praca w multiplexie. Ale z Żeglarza nie zrezygnuje.

Więcej wewnątrz (i fasad) starych kin zobaczysz na [www.przekroj.pl](http://www.przekroj.pl).

**YAMAHA**

# LEASING

## IDEALNIE DOPASOWANY



Wspólnie z firmą Yamaha stworzyliśmy specjalną ofertę finansowania quadów, motocykli i skuterów. Nie musisz już wydawać własnych oszczędności na swoje hobby. Pomożemy Ci je sfinansować. Nasz leasing jest:

- **KOMPLEKSOWY** – oferujemy Ci finansowanie oraz ubezpieczenie Twojego motocykla obejmujące m.in. pomoc w spłacie rat w sytuacji niezdolności do pracy (Bezpieczna Rata)
- **PROFESJONALNY** – opieka mobilnego doradcy i wysoka jakość obsługi dla każdego klienta
- **SZYBKI I SPRAWNY** – minimum formalności, decyzję możesz otrzymać nawet w 6 godzin

Z oferty możesz skorzystać u jednego z ponad 40 dealerów marki Yamaha na terenie całego kraju oraz u naszych Doradców Leasingowych. Szczegółowe informacje znajdziesz na [www.leasing24.pl](http://www.leasing24.pl).

[www.leasing24.pl](http://www.leasing24.pl)



WPK

Leasing



FILM

# Lepsze jutro Stone'a

„Wall Street 2. Pieniądz nie śpi” to hollywoodzka saga o miłości, zdradzie i przebaczeniu w świecie globalnego kapitalizmu

WOJTEK KALUŻYŃSKI

Zrealizowany w 1987 roku „Wall Street” był wielkim triumfem Olivera Stone'a. Celnym portretem końca „szlachetnego” kapitalizmu i początków ery korporacji. Stone oddał atmosferę dzikiej rywalizacji, pokazał, jak destrukcyjnie działa prawo oddane w służbę uprzywilejowanym. Jak zwykle zagrał na lewicową nutę. Ostrzeżenie przed bestią wielkich korporacji zawarł w historii diabelskiego zakładu o duszę maklera, który ma jeszcze wybór. Stworzył model kina nie tylko zaangażowanego, lecz także inteligentnego i drapieżnego.

Jego ostatnie dokonania zdają się świadczyć o tym, że ideologiczne obsesje przesłoniły mu rzeczywistość, odebrały drapieżność i świadomość formy. Stone od ponad dekady nie zrobił udanego filmu. W „Męskiej grze” (1999) zbyt niewolniczo trzymał się konwencji kina sportowego, w „Aleksandrze” (2004) abstrakcyjnie wpisywał amerykańskie wojny na Bliskim Wschodzie w ramy kostiumowego widowiska, w „World Trade Center” (2006) liżał rany po 11 września w duchu narodowego solidaryzmu, a w „W.” (2008) portret Busha juniora rozpiął na polityczną agitkę. A jednak powrót na Wall Street wyszedł mu nie najgorzej. „Wall Street 2”, przychylnie przyjęty na tegorocznym festiwalu w Cannes, inteligentnie nawiązuje do pierwszej części. Gordon Gekko (znowu Michael Douglas) wychodzi z więzienia, starszy o 20 lat, ale zdeterminowany, by odzyskać pozycję. Ma w zanadrzu napisaną za kratami książkę, w której nie tylko opowiada o mechanizmach finansowych machinacji, ale też ostrzega przed nadciągającym kryzysem.

Jednak Stone nie tylko analizuje przyczyny krachu finansowego sprzed dwóch lat i demaskuje złych neoliberalistów, ale przede wszystkim pokazuje przemianę, jaką przeszedł kapitalizm od czasu poprzedniego filmu. U schyłku zimnej wojny wolny rynek trakto-



Jacob Moore (Shia LaBeouf, z lewej) – momentami ważniejszy od Gordona Gekko (Michael Douglas, z prawej). Ale nie ukradł mu filmu

wany był jako główna siła postępu. Tyle że globalizacja zdeprawowała szlachetną ideę. „Pieniądz nie śpi nigdy” – powtarza znów Gekko. Ale kiedyś można było go kontrolować, wykorzystywać w dobrym lub złym celu. Dziś zasad korporacyjnej ekonomii nie rozumie prawie nikt. Pieniądz stał się zły, stał się wartością czysto abstrakcyjną, niemającą żadnego pokrycia w rzeczywistym świecie. Kryzys, przekłucie spekulacyjnej bańki mydlanej pokazał więc Stone nie jako apokalipsę, ale szansę, by ów zły pieniądz na powrót stał się dobry. Chciwości nie da się wyrugować z ludzkiej natury, lecz trzeba sprawić, by sprzyjała całemu społeczeństwu, a nie tylko jednostkom.

Stone manifestuje wiarę w lepszą przyszłość, oswobodzoną spod władzy globalnych korporacji. Jej częścią będzie choćby ekologiczne myślenie. Nad finansowaniem badań naturalnych źródeł energii pracuje w „Wall Street 2” Jacob Moore (Shia LaBeouf). To on momentami wyrasta na postać pierwszopla-

nową filmu. Jest zaręczony z Winnie (Care Mulligan), córką Gordona Gekko, która chce znać ojca i jest jego całkowitym przeciwnikiem. Tacy idealisci wymuszają zmiany – przekonuje Stone – a jeśli będą odporne na pokusy, uda im się znieść sprzeczność między robieniem pieniędzy a naprawą świata. „Wall Street 2” ogląda się z przyjemnością dzięki inteligentnej intrydze i świetnym rolom. A jednak to tylko cień oryginału: zbyt dosłownie ogrywa się tu znane chwytły, a nad przemianą Stone'a, że kapitalistyczne piekło się przekuło w socjalistyczny raj, zbyt jawnie unosi się duch Fidela Castro. Cieszę się jednak, że „Wall Street 2” nie jest totalną porażką. Bo choć Oliver Stone nie stworzył arcydzieła, to pokazał, że wciąż ma coś do powiedzenia.

\*\*\*

„Wall Street: Pieniądz nie śpi”, reż. Oliver Stone, USA 2010, 127', Imperial Cinepix, premiera 27 września

## ch zmierzch

„Jestem miłością” jest powściągliwy, elegancki, aż za nadto wypieszczony



ma i Antonio (Tilda Swinton i Edoardo Gabbriellini): lekcja miłości

## zas na seks

Angario wprowadza na polski rynek kino o tematyce gejskiej i lesbijskiej. Tylko we wrześniu ukaza się na DVD trzy filmy. Pierwszy ogień idzie „Shortbus” 2005 roku. Ta błyskotliwa komedia, konieczna romantyczna, u nas porywana była dotąd tylko na pokątnych seansach. Powód? Pruderia. „Shortbus” zawiera niesymulowane seksu (homo i hetero). Skąd też naturalne i zabawne.

Film opowiada o kilku mieszkańcach Nowego Jorku. Seksuolozka Sofia (świetna Sook-Yin Lee) nigdy nie miała orgazmu. Para Jamie i James postanowiła otworzyć swój związek na nowych facetów („Monogamia jest dla heteroseksualistów”). Natomiast domina Severin, doskonała w obsłudze masochistów, chciałaby wreszcie wejść w jakąś relację partnerską. Bohaterowie spotykają się w tytułowym Shortbus, czyli klubie intelektualno-seksualnym, gdzie można wziąć udział w orgii albo pogadać o problemach erotycznych i cie-

Film Guadagnina zaczyna się jak „Zmierzch bogów”, słynne dzieło jego rodaka Luchina Viscontiego – od zjazdu rodziny przemysłowców. Domyślamy się więc, że ów moment chwały – urodziny patriarchy rodu, który ma podczas kolacji przekazać władzę nad firmą swemu synowi – jest jednocześnie zapowiedzią upadku mojej i wpływowej rodziny. Ponieważ jednak to nie Niemcy ery faszystowskiej, tylko zaśnięzony Mediolan początków nowego milenium, tym, co zniszczy tradycyjne więzi i hierarchie, będzie globalizacja. Guadagnino, odwrotnie niż rozbuchany i operowy Visconti, pokazuje te przemiany przez pryzmat kameralnej historii. Skupia uwagę na postaci Emmy (Tilda Swinton), żony „następcy tronu”. Tancredi (w tej roli znany włoski aktor i reżyser teatralny Pippo Delbono) przywiózł ją z Rosji i choć Emma sumiennie wypełnia obowiązki „żony Recchich”, nigdy tak naprawdę w rodzinie i nową ojczyznę nie wrosła. Przypadkowe odkrycie, że córka kocha kobietę, obudzi w Emmie niespełnione pragnienia i tęsknoty. Swoje ujście znajdują one w romansie z przyjacielem syna An-

toniem (Edoardo Gabbriellini). Mimo sporego potencjału melodramatycznego film jedzie na zaciągniętym hamulcu. Aż do ostatnich scen, gdy dochodzi do wybuchu namiętności, jest elegancki, powściągliwy, oszczędny w dialogach, estetycznie (aż nadto) wypieszczony. Narastający niepokój i wzburzone emocje sygnalizują gwałtowniejsze od czasu do czasu ruchy kamery czy sporadyczne zakłócenia chronologii. Podobnie muzyka amerykańskiego minimalisty Johna Adamsa – najpierw jest melodyjna, potem coraz bardziej dramatyczna. W tę konwencję świetnie wpisuje się Tilda Swinton. Zawsze nienagannie ubrana, rozważna, wstrzemięźliwa w słowach i gestach Emma (nawiązanie do „Pani Bovary” zapewne nieprzypadkowe) to kobieta, która dusi się w narzuconej roli. Film Guadagnina przypomina, że w każdym systemie najtrudniej jest ocalić siebie.

BARTOSZ ŻURAWIECKI

\*\*\*\*

„Jestem miłością”, reż. Luca Guadagnino, Włochy 2009, 120', Gutek Film, premiera 24 września

kochanków zarażonych HIV, którzy ruszają w Amerykę z hasłem *Fuck the world!* oraz urugwajsko-argentyński dramat z życia nastolatków „Pokój Leo” Enrique Buchichia. Natomiast w październiku Tongariro będzie rozpowszechniać w kinach „Nić” Mehdiogo Ben Attia z dawno niewidzianą Claudią Cardinale w jednej z głównych ról.

\*\*\*\*\*

DVD „Shortbus”, reż. John Cameron Mitchell, USA 2006, 101', Tongariro Releasing, premiera 17 września

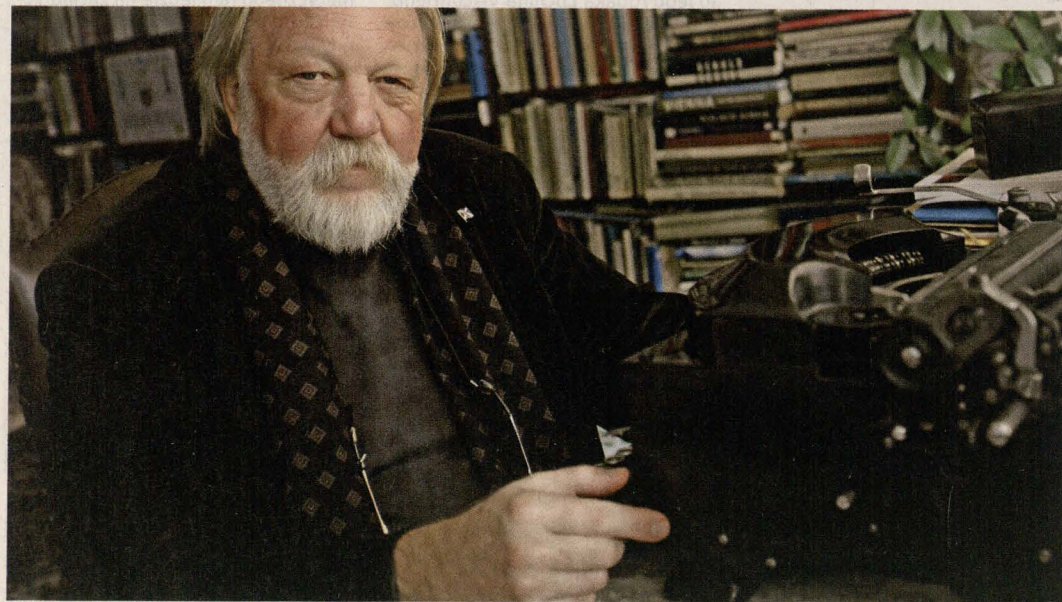
Czy jesteś gotowy na świeżą krew?

**CZYSTA KREW**

SEZON 2 już na DVD!

Oglądaj również SEZON 1 na DVD!





Tadeusz Cegielski. Nie wiemy niestety, czy swój kryminał napisał na maszynie do pisania

# Retro do potęgi

„Morderstwo w Alei Róż” to kryminał bezwstydnie niedzisiejszy. I w tym jego siła i smak

JACEK WAKAR

Łatwo powiedzieć, dla kogo książka Cegielskiego nie jest. Z daleka od niej powinni trzymać się fani nalaadowanych akcją, pirotechniką i technologicznymi gadżetami kryminałów Deavera, Connelly'ego i im podobnych. Średnią najwyższą mieć będą czytelnicy Larssona i Mankella, bo Cegielskiemu nie w głowie wymyślać nową Lisbeth Salander, stosunkowo rzadko też pada u niego deszcz. Powieści nie polubią też prawdopodobnie ortodoksyjni wyznawcy czarnego kryminału spod znaku Hammeta i Chandlera. Nie dlatego, że autor ich nie cenil. Po prostu w „Morderstwie...” odwołuje się do całkiem innych wzorców. Gdzieś wspominał, że powstało ono z tęsknoty za archetypem, prawozorem prawdziwego kryminału, a ten stanowiła dlań literatura wagonowa z jednej, a Conan Doyle z drugiej strony. Nietrudno więc narysować mapę inspiracji Cegielskiego. Obyczajowe tło oraz wątki erotyczne to dawne pulp fiction, cała reszta to kryminalna szarada w najbardziej klasycznym stylu.

Tych, którzy znają profesora Cegielskiego jako specjalistę od historii nowożytnej i historii idei, wybitnego znawcę wolnomularstwa,

człowieka nieulegającego myślowym stereotypom, za to obdarzonego rzadkim poczuciem humoru, takie podejście do tematu nie zaskoczy. Nie zdziwią się oni, że „Morderstwo...” chociaż wypełnia wszystkie żelazne reguły konwencji, można nazwać pastiszem kryminału. Choćby z tej racji, że Cegielski z lubością przerysowuje postaci, tworząc z nich raczej typy literackie, a nie pełnokrwistych bohaterów. No i raz po raz puszcza do nas oko, żebyśmy przypadkiem nie traktowali jego gry zbyt serio. Pisząc tę książkę, bawił się doskonale, a teraz tego samego oczekuje od nas.

Fabulę szczegółowo streszczać nie warto. Mamy rok 1954. 60-letni Ryszard Maria Wirski, przed wojną komisarz policji państwowej, teraz kapitan MO, jest cały przedwojenny, nowe porządki go brzydzą. Mimo to chłonie życie – piękna kochanka, spacerzy szlakiem śladów dawnej Warszawy, knajpy. I właśnie w jednej z nich – w Rarytasie – dowie się o zabójstwie partyjnego dygnitarza, towarzysza Bogusława Szczapy, dokonanym w lokalu przy Alei Róż 6A. Siła książki Cegielskiego polega jednak nie na intrydze. „Morderstwo...” to rzecz z zupełnie innej epoki. Boh-

terowie myślą, by tak rzec, po dawnemu, działają po dawnemu, inny świat mają przed oczami i pod powiekami. Inny – ciekawszy i lepszy – świat pamiętają. Najprościej zatem skwitować, że jest to kryminał retro co się zowie, i na tym skończyć. I to nie tylko o „Złym”, ale i o „Dzienniku 1954”. Cegielski bowiem wskrzesza tamten czas, tamtą Warszawę.

Wirski – swoją drogą najsympatyczniejszy chyba w polskim kryminale milicjant – oprócz szukania mordercy ma bowiem takie zagwozдки jak ta, czy skrócić w prawo, w Kłonowę, czy iść w lewo, w kierunku poczty na rogu Flory i Bagateli. Poznając szczegółowo jego marszrutę, czujemy smak dawnej Warszawy. Bardzo przyjemne uczucie.



**Tadeusz Cegielski,**  
„Morderstwo  
w Alei Róż”,  
W.A.B.,  
Warszawa 2010,  
s. 432, 39,90 zł

## Kochać mimo wszystko

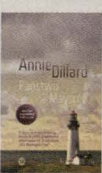
Nowa powieść Dillarda: moralne zwycięstwo bez moralizowania

MARTA MIZURO

Lou i Toby Maytree to para z 14-letnim stażem. Ona jest malarką pracującą w galerii, on poetą, który na życie zarabia jako cieśla. Nie łączy ich już wielka miłość, lecz przyjaźń, przywiązanie i pokrewieństwo zainteresowań. Krótko mówiąc: stare, bardzo dobre małżeństwo, które mu nic interesującego nie powinno już się przytrafić. Ale dzień po wypadku samochodowym, w którym zginął Toby, Lou zostaje z inną kobietą. Najlepszą przyjaciółką żony. To dopiero początek historii rozgrywającej się na przestrzeni pół wieku. Opowiedzianej nie chronologicznie, lecz tak, by odpowiednio zaakcentować najważniejsze epizody i dowiedzieć, jak dziwnie może wyglądać miłość aż po grób.

Uhonorowany w 1975 roku Nagrodą Pulitzera „Pielgrzym nad Tinker Creek”, najgłośniejsza książka Dillarda, a u nas wydana dopiero wiosną tego roku, to dzieło całkowicie... nieludzkie, gdyż jedyną mocno obecną w niej przedstawicielką homo sapiens jest sama Annie. To ona jest narratorką, która przygląda się przyrodzie Appalachów oraz samej sobie jako części natury. Natomiast w powieści najnowszej z taką samą pasją i z takim samym gatunkiem. Mimo że tak odrębny, to nierzadko kojarzący się autorze z egzystencją „braci mniejszych” – tryb życia państwa Maytree porównany zostaje do życia małży. Te jednak „znacznie mniej czytają”. Tego typu odniesienia pozwalają pisarce zachować emocjonalny dystans do wydarzeń, które, co tu kryć, chwytają za serce. Dillard opowiada tę historię bardzo dyskretnie, okazując w ten sposób szacunek swej mądrej i wielkiej duchem bohaterce, a zarazem starając się nie potępiać tych, którzy wystawili Lou na taką próbę charakteru. To rzadkość: pokazać moralne zwycięstwo, unikając przy tym moralizatorskiego tonu.

Wierski – swoją drogą najsympatyczniejszy chyba w polskim kryminale milicjant – oprócz szukania mordercy ma bowiem takie zagwozдки jak ta, czy skrócić w prawo, w Kłonowę, czy iść w lewo, w kierunku poczty na rogu Flory i Bagateli. Poznając szczegółowo jego marszrutę, czujemy smak dawnej Warszawy. Bardzo przyjemne uczucie.



**Annie Dillard,**  
„Państwo Maytree”  
przeł. Maciej Świerkocki  
Wydawnictwo Literackie  
Kraków 2010, s. 266,  
32,90 zł

## „Niepokój” i fiasko

Przypomnienie pochłoniętego przez Zagładę młodego artysty obraca się w niecznośny kicz

MARCIN SENDECKI

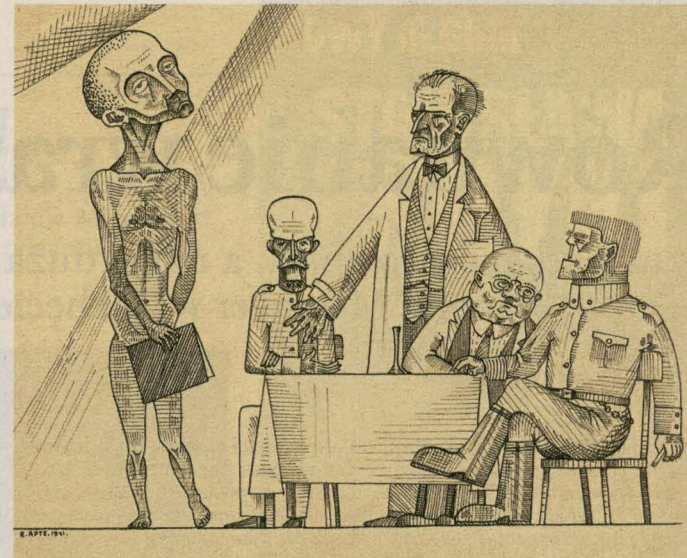
Wszystko jest piękne, świetne, wzruszające. Wydawcy trafia zeszyt z rysunkami. To cykl zatytułowany „Niepokój” (ciekawe, że kilka lat później sam nazwie swój tom Tadeusz Łódzki). Autorem prac jest Ryszard Apte, żydowski chłopak, który ukrywał się z matką u wujka w rodzinie. Oboje rozstrzelano w 1941, a Bolesław Piasecki – jeden z ich opiekunów, zginął w Auschwitzu. Rysunki są intrygujące i bezsprzecznie warte publikacji, w czym udział mają także tragiczne okoliczności ich powstania. Czy są to wprawki „robione pod dyktando” (wedle Natana Grossa, któremu Apte rysunki po prostu przesyłał), czy rzecz przełomowa, to pozostawiam znancom sztuki. Zeszyt Aptego, zreprodukowany z pieczołowitością i ze smakiem, to wspaniały dziś książce o nim. Książka – wynik czegoś w rodzaju dziennikarskiego śledztwa prowadzącego do samego tylko nazwiska i pobytu w Wieliczce do, na ile to było możliwe, rekonstrukcji losów Ryszarda. Książka jest pięknie wydana.

Autorzy przekopali źródła, odnaleźli świadków. Poznajemy wszechstronnie (muzycznie, literacko, plastycznie) uzdolnionego jedynaka z zamożnej, świeckiej krakowskiej rodziny, wybitnego ucznia elińskiego Gimnazjum Hebrajskiego, a także dandysa. Możemy zoba-

czyć publikowane przed wojną w syjonistycznym „Nowym Dzienniku” i jego dziecięcym dodatku „Okienko na Świat” ilustracje, wierszyki wzorowane na Makuszyńskim i próby wierszy „dla dorosłych”. Okazuje się też, że było inaczej niż w pamięci Piaseckich.

Rodzice Aptego zginęli w 1942, podczas likwidacji wielickiego getta, on zaś kilka miesięcy później, wywieziony do obozu pracy w Stalowej Woli, skąd zbiegł i został schwytany. Wcześniej państwo Apte z Krakowa uciekli do sowieckiego Lwowa, a stamtąd – po wejściu Niemców – do Wieliczki. Historia poruszająca, więc skąd fiasko? Ano stąd, że Gluchowski i Kowalski zebrali, co mogli, a brakujące fragmenty wymyślili. Zabieg uprawniony. Gdyby jeszcze poprzedzał na rekonstrukcji prawdopodobnych wypadków. Ale nie – autorzy wymyślili dla Ryszarda dialogi, myśli, a nawet sny, zawsze niestety odwołując się do najbardziej wysławianych kłis.

Zamiast rzeczowej opowieści wiskają nam biograficzny kicz, tym bardziej przykry, że jest to kicz holocaustowy. Dwa z niezliczonych przykładów. Piszą oto Gluchowski z Kowalskim: „Twarz Sebastiana będzie na tych rysunkach tak bardzo smutna, jak straszny był smutek, który ogarnął Ryszarda na krakowsko-wielickim trakcie”. Albo stosują wyrafinowany zabieg stylistyczny:



Ryszard Apte, „Święty Sebastian przed komisją wojskową”, 1941

małemu Ryśkowi śnią się ślaniający się ze zmęczenia proletariusze, a potem, w obozie, ich los staje się jego udziałem. Finezja godna opowieści o małym Leninie.

Autorzy kierują się też dziwnym przekonaniem, że piszą dla osób wyjątkowo nierozgarniętych: cytują Henryka Voglera, który wspominając Aptego, aluzyjnie napomyna o Proustowskim Charlusie oraz powiada, że Rysiek spoglądał nań jak Tadeusz ze „Śmierci w Wenecji”. Jasnemu? Skądże znowu! Nasz pisarski duet pyta więc dramatycznie: „Czyżby Ryszard pożądał Henryka?”, a potem tłumaczy, że baron Charlus i „Śmierć w Wenecji” mają związek z homoseksualizmem. Przy czym takim językowe niedbalstwa i niepełnosprawności („pod rząd”, „została wykonana egzekucja”) to betka.

**Piotr Gluchowski, Marcin Kowalski,**  
„Apte. Niedokończona powieść”, Ha!art, Kraków 2010, s. 160 + XIX, 31 zł

**AVANT ART FESTIVAL 2010**  
24-26 09  
01-04 10  
WROCŁAW  
WWW.AVANTFESTIVAL.PL

**FESTIWAL O MUZYCE**  
spektakle  
koncerty  
taniec współczesny  
video art  
warsztaty  
panel dyskusyjny

**koncerty**  
MAJA RATKJE  
JAMES PLOTKIN & MICK HARRIS  
ALVA NOTO  
RADIAN  
ARVE HENRIKSEN & JAN BANG  
MINIMETAL  
OFFONOFF  
JONO EL GRANDE  
THE THING & OTOMO YOSHIHIDE  
20  
PUMA  
NECESSARY  
PHALL FATALE  
LUCIEN DUBUIS TRIO  
STIAN WESTERHUS & TERJE ISUNGSET  
REGENORCHESTER  
ORGANOLEPTIC TRIO

**spektakle**  
taniec współczesny  
video art  
MAISON DAHL, BONNEMA & NEEDCOMPANY  
Ricky and Ronny and Hundred Stars - a Gado Country Opera  
[MINUS 20] COLLECTIVE  
The Park  
VERDENSTEATRET  
And All the Questionmarks Started to Sing  
AUSTRIAN SOUND & VISION  
PEK | warsztaty i panel dyskusyjny

**SPRZEDAŻ BILETÓW I KARNETÓW: CS Impart, sieć Ticketpro (www.ticketpro.pl)**

**ORGANIZATOR**  
Zygmunt Art

**PATRONAT**  
eea grants  
norway grants  
Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

**PARTNER STRATEGICZNY**  
centrum impart

**PARTNERZY GŁÓWNI**  
prahelvetia

**PATRONI MEDIALNI**  
PRZEKROJ, gazeta, T.V.P. WROCŁAW, KULTURA, dwójka, RADIO WROCŁAW, radio

**PARTNERZY**  
VERDENSTEATRET, ant teatregarajon, RiteBaum, FALANSTER, PR

**EXKLUSIV**  
nowamuzyka, Glissando



# Równanie wrażliwości

Rzeźbiarka, czarownica, a może duża dziewczynka bawiąca się upiornymi lalkami. Annette Messenger w Zachęcie przedstawia swoją retrospektywę

STACH SZABŁOWSKI

**N**a zdjęciach wyciętych z kolorowych magazynów dorysowuje pięknym kobietom zmarszczki w rozbijającą szczerym geście zazdrości. Powołuje do życia przerażające chimery ze skrzydłami nietoperza i pierściami zamiast oczu. Szyje maskotki w kształcie ludzkich organów – jelit, płuc, mózgów – chwyta je w sieci i wiesza pod sufitem, zmuszając widza do przedzierania się przez surrealistyczno-anatomiczny labirynt. Tworzy lalki, które mogłyby być przytulankami, gdyby nie to, że jest w nich coś potwornego. Lubi teatralne chwytne, przyćmione światła, scenograficzne efekty.

## Monumentalne włóczki

Współczesna sztuka oskarżana jest o chłód, intelektualną kalkulację, które zabijają zmysłowość. Mówi się tak nie bez racji, ale twórczość Messenger jest jednym z wyjątków. Jej sztuka należy do tradycji, w której mieszczą się surrealiści, ale również niestroniący od okrucieństwa bajkopisarze, wizjonerzy amatorzy, prymitywiści szukający najkrótszej drogi od doświadczenia do jego ekspresji. To sztuka przeznaczona do intuicyjnego odczytywania. Zamiast po hermetyczne kody wypracowane przez kolejne awangardy Messenger sięga po archetypy, obrazy, które każdy nosi w sobie, zanim ujrzy je w galerii. Uczęszczała do paryskiej École Nationale Supérieure des Arts Décoratifs, ale została z niej wyrzucona. Nie pokazywała się na zajęciach, wolała przesiadywać w muzeach i kinach.



Message szyje, fabrykuje laleczki, maskotki, ołtarzyki, tworzy „Historię sukienek” umieszczonych w gablotach niczym w sarkofagach

Pewnie robiła słusznie, bo akademicki trening nie jest potrzebny w sztuce, którą uprawia. Prace Messenger są bliskie ekspresji sztuki naiwnej, rękodzieła, spontanicznej twórczości dziecka, które przechodzi niefrasobliwie ponad zagadnieniami warsztatowymi, krocząc prosto do celu – wyrażenia swoich emocji, lęków, pożądań i obsesji. Sama Messenger jest jeszcze jedną złą uczennicą, która po latach może zagrać na nosie dawnym belfrom, bo osiągnęła wszystko – od Złotego Lwa na biennale w Wenecji po retrospektywę w najważniejszych muzeach, z MoMA i Centre Pompidou na czele.

Sztuka Messenger zaczyna się w domu, w kameralnej przestrzeni mieszczańskiego saloniku – w praktyce robótek ręcznych, w delikatnej materii tkanin, nici, maskotek i zabawek. W tradycyjnym, patriarchalnym społeczeństwie to świat kobiecy, prywatny, posłedni wobec poważnych spraw pozostających domeną mężczyzn. I właśnie dlatego od lat 70. robótki ręczne i prace domowe weszły w skład podstawowego arsenału artystycznych feministek. Kobiety odmówiły ścigania się z mężczyznami na wyznaczonym przez nich polu, zażądały równouprawnienia w dziedzinie wrażliwości.

Annette Messenger wpisuje się w ten dyskurs, ale nie daje się w nim zamknąć. Owszem, wciąż sięga po techniki uważane kiedyś za kobiece, ale jednak tworzy z nich formy monumentalne, jak można przekonać się w Zachęcie, gdzie jej włóczkowo-tekstylne prace układają się



w surrealistyczne scenografie anektujące całe sale. Jest początek lat 70. Annette Messenger znajduje na ulicy zdechłego wróbla. Robi dla niego włóczkową kamizelkę, czapeczkę, układa go do snu. Wróbelek jest pierwszym z „Pensjonariuszy”, martwych ptaszek, którymi artystka bawi się jak lalkami. Truchła znikną później z jej sztuki, ale motyw zabawy lalkami pozostanie – maskotki i zabawki są do dziś figurami stałe obecnymi w twórczości Messenger.

## Zła matka

W Zachęcie nie oglądamy żadnego z „Pensjonariuszy”, ale konfrontujemy się z inną drastyczną pracą. Dzieci z wymazanymi oczami – to jedna z wielu zgromadzonych przez artystkę kolekcji – zbiór fotografii małych dzieci, którym Messenger zabazgrała oczy, czasem tak gwałtownie, że w papierze zrobiły się dziury. Agresywny gest dopełniają złowieszcze podpisy pod zdjęciami – „Miałby pięć lat”, „Miałaby sześć miesięcy”. Na wystawie jest zbiorem symbolicznie okaleczonych, może nawet zabitych, dzieci zestawiona jest inna kolekcja – „Moje rysunki dziecięce”. Te małe, wykonane kredką prace rzeczywiście przypominają naiwne dzieciece rysunki. Wszystkie przedstawiają matkę w różnych życiowych sytuacjach i pozach, postać pożądaną, ale jednocześnie budzącą lęk, obcą, a nawet demoniczną. Wśród wczesnych, analizujących społeczną rolę kobiety prac Messenger ta jest być może najbardziej dosadna: artystka podaje w wątpliwość macierzyństwo, ten, wydawałoby się, niepodważalny i bezdyskusyjny obszar związany z kobiecością. U Messenger w macie-

ryństwo wplecione są strach, złość, odmowa zagrani roli, na którą kobieta wydaje się skazana.

## Teatr klasy B

Artyści wystawiający w Zachęcie lubią gnieść posąg gladiatora stojącego u szczytu schodów prowadzących do galerii. Messenger zawiesiła na wyciągniętej dłoni wojownika jeszcze jeden fetysz – skalp ze sztucznych włosów, który tańczy w podmuchach powietrza generowanych przez umieszczony poniżej wentylator. To moment, w którym jej posępna sztuka jest najbliżej poczucia humoru. Kulminacją wystawy jest jednak monumentalna instalacja „Wietrzyk” – formacji Spartan i innych, posłedniejszych w której nie ma śladu ironii. Na podłodze pogrążonej w mroku wielkiej sali leży jedwabny woal. Co jakiś czas uruchamiają się dmuchawy: tkanina wzdyma się i faluje. Wówczas dostrzegamy ukryte pod woalem kształty wydobyte przez zapalające się na chwilę mdłe światła, które zaraz gaśnie: włochate i miękkie figury monstrualnych maskotek, potworów.

W tej realizacji francuska gwiazda dochodzi do granicy efekciarstwa rodem z teatru klasy B. Messenger trafia do Zachęty na tym etapie kariery, na którym magia jej sztuki zdążyła zmienić się w klasykę. A jednak to wciąż ten rodzaj twórczości, którego nawet wejście do kanonu nie zdołało do końca odczarować. To artystka będąca ponad cynizmem współczesnej sztuki; jej wrażliwość łatwo zbanalizować, zmienić w kicz, ale nie da się na nią uodpornić.

\*\*\*\*\*

Annette Messenger, „Na pokaz”, Zachęta, Warszawa, do 14.11

# To już koniec? Halooo?!...

Co ileż można?! – jęknęła ekipa studia Bungie, ale zrobiła dla Microsoftu jeszcze jedną, ostatnią grę z serii „Halo: Reach”. Można odsapnąć z ulgą

ŁAF SZEWCZYK



epiczna walka ludzkości ze schematami science fiction kończy się porażką

inito. Bungie – studio, które gra „Halo: Combat Evolved” (2001) dało konsoli Xbox Microsoftu szansę na przetrwanie, a kolejnymi tytułami z tego cyklu biło rekordy sprzedaży. Ostatni przed „Halo: Reach” epizod, „Halo 3: ODST”, próbował opowiedzieć mniej sztamponie historię, a omawiana dziś gra jest krokiem w obrany kierunek. Nowe interaktywne menu rozwija się jednak w takim tempie, że krok za mało – szczególnie w przypadku tak archaicznej konstrukcji jak gra celownikowa w scenografii kosmicznej opery.

Ostatni przed „Halo: Reach” epizod, „Halo 3: ODST”, próbował opowiedzieć mniej sztamponie historię, a omawiana dziś gra jest krokiem w obrany kierunek. Nowe interaktywne menu rozwija się jednak w takim tempie, że krok za mało – szczególnie w przypadku tak archaicznej konstrukcji jak gra celownikowa w scenografii kosmicznej opery.

„Halo: Reach” jest prequelem trylogii o Master Chiefie, tu raz jeszcze wielkim nieobecnym. Wcielamy się w Szóstkę, nowego członka oddziału Spartan, i wraz z kumplami trafiamy na ogień potyczek. Aż byłem zaskoczony, że gra chce mnie zaskoczyć już na początku literal-

nie niczym. To było jak déjà vu. Trzeba słuchać uważnie anglojęzycznych rozkazów, bo inaczej nie zgadniemy, co dalej robić – znów zaoszczędzono na pełnej wersji kinowej, napisy pojawiają się tylko w reżyserowanych przerywnikach. Najwyraźniej ktoś podliczył, że osób niedosłyszących i głuchych – o niewładających płynnie żadnym z uwzględnionych języków nie wspominając – jest zbyt mało, by wpłynęły na wyniki sprzedaży. Co za cynizm. Mimo to fani serii „Halo” będą tą grą zachwyceni. Dostaną jeszcze raz to samo, z obligatoryjnymi szlifami tu i tam, a przecież tego właśnie chcieli. Reszta pewnie i tak wrzuci ramionami. Dla osób, które saga Bungie o heroicznej walce ludzkości w konfrontacji z najbardziej ograniczonymi schematami science fiction dotąd nie wciągnęła, „Halo: Reach” nie jest artykułem pierwszej potrzeby.

Tyle o trybie fabularnym. A moduł potyczek sieciowych? Na szczęście wypada lepiej. Przed premierą polecałem z grupą dziennikarzy do Monachium, by sprawdzić, jak w przypadku „Halo: Reach” wygląda zabawa w sieci. Gdy komórka jednego kolegi zabrzęczała motywem przewodnim z „Halo”, wiedziałem już, że są wśród nas szaleńcy. Im walka drużyn przeciw sobie, a także kooperacja przeciw kolejnym falam agresorów, musiały się podobać. Ale i ja, trzeźwy sceptyk, dałem się wciągnąć. Tryb wieloosobowy, choć również oparty na znanych już rozwiązaniach, za pewnia w „Halo: Reach” przyzwoitą rozrywkę.

\*\*\*\*\*

„Halo: Reach”, Bungie, Microsoft, Xbox 360, 185 zł

NOWY ALBUM

STANISŁAWA  
SOYKI

...TYLKO BRAĆ  
OSIECKA  
ZNANA I NIEZNANA

soyka  
...tylko brać  
osiecka  
znana  
nieznana

UNIVERSAL  
UNIVERSAL MUSIC POLSKA

ALBUM POLECAJĄ:

PRZECZKOSPOLITA PASTYL PIZA KAPOTA JAZZBOM GALA INTERJAN  
empik.com miastomuzyki.pl E-METROMEDIA Radio 26T





Mądzik i jego „Makbet” raczej po stronie mroku

## „Palec mię świerzbi...

...to dowodzi, że jakiś potwór tu nadchodzi”

JACEK SIERADZKI

Dlaczego Leszek Mądzik, skreślając na oko trzy czwarte oryginalnego tekstu „Makbeta”, zdecydował się zostawić akurat to pocziwe zaklęcie, z którego kpiono już w czasach Boya? Dlaczego sięgnął po przekład Paszkowskiego tak już zaśnieżony? Mądzik, twórca subtelnych obrazów scenicznych na pograniczu światła i mroku, rzadko wkracza do „normalnego” teatru, a rezultaty bywają zwykle odświeżające. Spotkanie z Szekspirem jednak nie wyszło, owocując naiwnością. Poczynając od prologu, gdy widzowie krocą przez zbudowany w foyer tunel z obitej czarnym materiałem dykty, w którym śpiewały, młaskały i wiły się wiedźmy, po akcję właściwą, gdzie reżyser unieruchomił aktorów w ulubionych mansjonach – trumnach postawionych na sztorc, po czym zostawił ich sam na sam z retoryką tekstu. Dawali sobie z nią radę raz lepiej, bo dyskretnie (Lady Makbet Jolanty Rychłowskiej), raz gorzej, wpadając w deklamacyjny patos. Nie było w tym energii ani tragizmu, ani nawet zadziwienia absurdem losów, tylko deklamowana baśń. W sumie – jęk zawodu. Dziś teatr uwielbia lokować Makbeta wśród pisuarów albo wysyłać go na wojnę do Iraku, więc wyobraźni Mądzika wyglądało się jak zbawczej odsieczy. Jeden niesamowity obraz finału, gdy bohatera przeszywa mnóstwo czerwonych igieł, za cały spektakl nie starcza – choć pozwala wynieść z teatru coś mocnego pod powiekami.

ccc

„Makbet” Williama Szekspira, przekład Józef Paszkowski, reżyseria i scenografia Leszek Mądzik, kostiumy Zofia de Ines, muzyka Andrzej Zarycki, Teatr imienia Juliusza Osterwy w Lublinie

# Komedia o zniewoleniu

„Białe małżeństwo” Krystyny Meissner skutecznie zrywa z narosłym wokół sztuki Różewicza skandalizującym mitem

JACEK WAKAR



Bianka (Katarzyna Bednarz) i Paulina (Katarzyna Z. Michalska) w nie całkiem niewinnych igraszkach

W foyer Wrocławskiego Teatru Współczesnego zorganizowano niewielką wystawę plakatów towarzyszących nie tylko polskim inscenizacjom głośnego niegdyś i granego jak Europa długa i szeroka dramatu. Znamienne, bo wśród różnych motywów regularnie powtarza się falliczno-waginalny. „Białe małżeństwo”, jak Jasiowi ze znanego dowcipu, wszystkim zwykle kojarzyło się z d... Krystyna Meissner nie czyta Tadeusza Różewicza po łebkach, zatem unika tego rodzaju plakatowych uproszczeń. Co nie znaczy, że jej przedstawienie jest zachowawcze. Nagości, najczęściej kobiecej, mamy tu znacznie więcej, niż przewidują ogólnokrajowe sceniczne normy, tyle że zawsze jest sensowna. Co za ulga dla publiczności. Najistotniejsze jednak, że Meissner źródłem udręk niemalże wszystkich bohaterów sztuki nie szuka w dolnych partiach ich ciał, ale zdecydowanie wyżej. W mózgach i sercach – tak jest zdecydowanie ciekawiej. Z wierzchu mamy sielankę. Co prawda Biankę (Katarzyna Bednarz) i Paulinkę (Katarzyna Z. Mi-

chalska) zajmują głównie niewłaściwe dla pańienek z dobrego domu myśli, Ojciec (Jerzy Senator) chętnie obłapia Kucharcię (Anna Blaut), a Matka (Elżbieta Golińska) aż piszczy z tęsknoty za facetem, ale poza tym spokój – herbatki, spacer, las, pikniki. Czas sący się powoli, tyle że atmosfera gęstnieje. Aż wreszcie przed oczami Bianki jakby z niczego rodzą się demony. Ojciec już nie jest ojcem, ale lubieżnym bykiem. Dziadek (Jacek Piątkowski) wyjmuje nagle podłużny plastikowy przedmiot. Tylko uciekać ze strachu przed własną imaginacją i tęsknotami.

To wszystko jest u Różewicza, ale Meissner wyciąga z lektury „Białego małżeństwa” zaskakujące wnioski. Niegdyś ten dramat łamał tabu, ale że dziś tabu nie ma, trzeba szukać głębiej. Dlatego zabawne i okrutne przedstawienie we Współczesnym od pierwszej chwili staje się gorzką opowieścią o zniewoleniu – każdym i każdego. Bo ciało jest pułapką, źródłem cierpienia albo przynajmniej frustracji. Bo dusza jest więzieniem myśli. Te bardzo chciałoby wyjść z ukrycia, ale nikt

nie jest skłonny dzielić się nim, nawet z najbliższymi. To komedia o zżerającym nas dzisiejszym zakłamaniu. O tym, że górząc się na nie i wchodząc do teatru, sami zastawiamy na siebie pułapki. Rzecz dla tych, którzy zobaczą na scenie coś więcej niż serię znakomicie skomponowanych obrazów. I docenią świetne, równe aktorstwo, bo „Białe małżeństwo” to kolejny dowód, że zespół z Różewiczem przeżywa ostatnio wyjątkowo dobry czas. Tym razem siłą rzeczy więcej zależy od dwóch Katarzyn – Bednarz i Michalskiej. Druga jako Paulinka aż kipi grzesznymi emocjami, ale nigdy nie wpada w karykaturalną rolę. Pierwsza robi kreację. Jej Bianka najpierw kuli się w sobie, przerażona światem. Potem wybucha, doświadcza wyzwolenia. U Różewicza i Meissner przynosi je tylko samoświadość.

ccccc

„Białe małżeństwo” Tadeusza Różewicza, reżyseria Krystyna Meissner, scenografia Andrzej Witkowski, muzyka Piotr Dziubek, Wrocławski Teatr Współczesny

## Przemienieforii

Manic Street Preachers zakończyli żałobę i znów atakowali przebojów. Pamiętam podstawówki, że płodozmienną podstawą nowoczesnego rocka, ale i w muzyce niektórych powodzenie stosują tę zasadę. Walijczycy płyty brudne trudne przekładają popomni fajerwerkami. Jeszcze obeschły tzy po rozdzierającym albumie „Journal

for Plague Lovers” (z tekstami odziedziczonymi po zaginionym przed 15 laty gitarzyscie Richardzie Edwardsie), a oni już proponują nowe, tym razem euforyczne dźwięki. Zanim płyta ujrzała światło dzienne, Manics odgrazali się, że będzie brzmiała jak hity wytwórni Motown w heavymetalowych aranżacjach. I coś jest na rzeczy. Słychać fascynującą amerykańskim stadionowym pop-metalem, ale znalazło się też miejsce dla chóru gospel. Początek i urokliwy tytułowy walczyk z kulminacją

godną Queen jest zaiste porywający, a całość więcej niż przywołuje (oni po prostu znają tajemną sztukę pisania zgrabnych piosenek). Byłoby jeszcze lepiej, gdyby nie sztampowe aranżacje, te wszystkie słodkie smyki i nienaturalnie bombastyczne refreny. Panowie, odstawcie już Robbiego Williamsa...

JAREK SZUBRYCHT

ccccc

Manic Street Preachers, „Postcards from a Young Man”, Sony Music

# W pozycji łamanej

Indigo Tree w rozkroku między jawą a snem

MARIUSZ HERMA

Na oczach dwóch tysięcy kibiców 29 maja w Gdańsku ostatni skok w karierze odwybitny polski gimnastyk Marek Blaniak. Zdobywca złota olimpiadzie w Pekinie i brąz w Sydney wynalazł „podwójny skok w przód w pozycji łamanej”, którą to figurę nazwano jego cześć blaniakiem. Tytuł tak swą drugą płytę, stylizowany skok zapowiada wro-

clawsko-sudecki duet Indigo Tree. Piszą wręcz, że ponownie debiutują.

Na wstępie zła wiadomość dla fanów muzyki, która brzmi jak nieporadnie nagrany w sypialni: Peve Levy i Filip Zawada (wspierał ich jeszcze Michał Kupicz) potrzebowali roku, by profesjonalizować swoje brzmienie. I dociążyć, bo gitary akustyczne zastąpili przefiltrowanymi elek-

trykami, a część kompozycji napędza wydatny bas – tak jakby dopiero teraz objawiła się sceniczna profesja Zawady, eksbasyisty Pustek. A im dalej w płytę, tym garażowego brudu więcej. „Blaniak” to wciąż senne, wycofane i rozmyte w pogłosach piosenki bez refrenów, tyle że ich kompozycyjny beztępe i wykonawcza beztroska są już tylko pozorowane. W „Drymonday” czy „Lovegaps” usłyszycie jedno z najlepszych melodii tego roku. I to w znakomitej interpretacji, bo grupie udało się przejść w wokalny trójwymiar. Angielszczyzna, co nie kłuje w ucho, klawisze tylko dyskretnie pogłębiające drugi plan – o talencie Indigo Tree najwięcej mówią błędy, których zdołali uniknąć.

Pewnie nieprzypadkowo „Blaniak” pozycjonuje się pomiędzy Animal Collective a The xx, jednak zarzucanie duetowi pójścia w koniunkturę nie ma sensu. Lepiej pochwalić go za łatwość, z jaką dogonił świat na swojej drodze z sypialni do studia. Do którego duet kroczy tyleż niechętnie, co nieuchronnie. Nie mówimy im, że na horyzoncie widać już coś wielkiego.

ccccc

Indigo Tree, „Blaniak”, Antena Krzyku

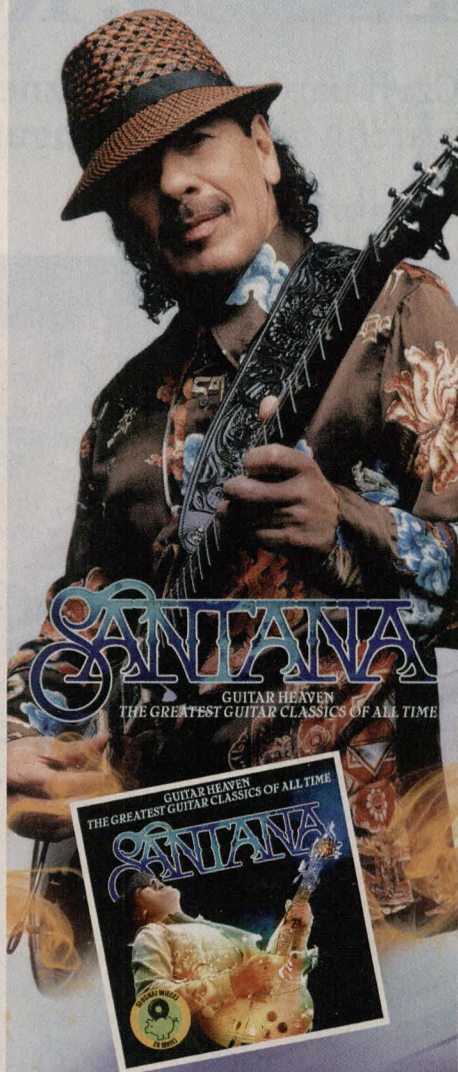


INDIGO TREE BLANIK

Levy i Filip Zawada (po prawej) w drodze z sypialni do studia

Sluchaj więcej za mniej

Najsłynniejsze gitarowe klasyki w wykonaniu wirtuoza gitary – Carlosa Santany.



Z gościnnym udziałem: Chrise Cornella, Pata Monahana, Raya Manzareka, Roba Thomasa, Scotta Weiland, Chrise Daughtry'ego, Gavina Rossdale'a, a także: Nasa, India, Arie i Yo-Yo Ma, Joe Cockera, Jonny'ego Langa, i wielu innych!

www.sonymusic.pl  
www.facebook.com/sonymusicpoland  
www.twitter.com/sonymusicpl

ESKA ROCK, amś, Party, cgm.pl, PRZEKRÓJ, FILMBOX, WROCŁKA, Główny, WP.PL, DEMOTORY.PL, empik.com, RZECZPOSPOLITA





ŁADNE RZECZY

## Lata 50. Reaktywacja

Czyli bardzo bezpieczne związki mody i ekologii. Projektanci wyciągają z archiwum i recyklingują kolejny rozdział historii mody

OLA SALWA



Kolekcja jesień/zima 2010 według Louisa Vuittona, czyli luksus w każdym calu

**R**eutylizacja trwa. Jeszcze nie dawno – choć z perspektywy czasu – modne były lata 80. Nastroszone ramiona, neonowe kolory, a nawet bohaterowie filmów z Freddym Kruegerem, Rambo i Indianą Jonesem na czele. Teraz projektanci grzebią głębiej. Przerysowane linie i krzykliwość mogą się przejeść. Podróżujemy więc z mody do lat 50. Świat wracał wtedy do równowagi po II wojnie światowej. Dziś przemysł mody usiłuje wrócić do formy sprzed krachu ekonomicznego z 2008 roku.

Pod koniec lat 40. w modzie panowała kałdzy innymi *baby doll dress*, krótkiej suciasta sylwetka, stroje były bardzo oszczędne, także dlatego że sprzedaż tkanin była reglamentowana. Christian Dior przełamał tę powojenną oszczędność. Jego suknie były szyte z nieprzystwoitej jak na owe czasy ilości jedwabiu, a sylwetka okrzyknęła „New Look” przywracała kobiecie, a jakże kobiece kształty. Talia osy (dzięki gorsetowi oczywiście), rozłożysta spódnica, okrągła

### Męsko i kobieco

**M**arc Jacobs stawia na kobiece kroje w kolekcjach domu Louis Vuitton (1). Ciemne kolory, ciężkie materiały plus zgrabna torebka: z taką garderobą można jechać na bardzo eleganckie, rzymskie wakacje. Z kolei Francuzka Isabel Marant (2,3) tłumaczy dzisiejszym dziewczynom męską modę drugiej połowy dekady. W obu kolekcjach liczą się także niuanse: tutaj kokardki przy butach.

SOL



rot. Zeppelin/East News (4)

OBYCZAJÓWKA

## Ani dziewczyny, ani do wzięcia



Ma być tak: doktor, czyli ten mój, Pucio, znaczy się kolega doktora, no i ten trzeci, co myśmy powiedziały, że przyjedziemy z koleżanką. Znaczy się ten twój

MICHAŁ WITKOWSKI

**C**zy nie tak to leciało? Dziś już nie powstają arcydzieła filmu obyczajowego, takie jak „Dziewczyny do wzięcia” Kondratiuka czy „Miłość blondynki” Formana. Nie ma tych dziewczyn, tych chichotów, tych blondynek. Teoretycznie można założyć, że i dziś kilka niedojrzałych, źle ubranych panienek wybrało się ze wsi do miasta na podryw, lecz zaraz dopada mnie wrażenie głębokiego fałszu. Prastara sytuacja, archetypiczna sytuacja! Do miasteczka, gdzie znajduje się kobieca fabryka, przyjeżdża oddział wojska... („Miłość blondynki”). Mój ty Panie Boże! Ani miasteczka, ani fabryki, ani żołnierzy! Każdemu z tych trzech elementów układanki należałoby się elegia. Gdyby ktoś to usłyszał w latach 60., zapytałby pewnie: to jak? Bomba wybuchła? Hiroshima? Ano tak. Obyczajowa Hiroshima.

Oglądam stare filmy i wypisuję z nich nieistniejące powiedzonka, zapomniane zwroty, jowialne żarciki. Od kiedy odkryłem, że na YouTube można obejrzeć cały serial „W labiryncie”, wiem, że nic nie ginie. Jak się śmiejemy na przestrzeni czasu? Jak się uśmiechamy w przedwojennych komediach, jak to ewoluuje przez wszystkie komunistyczne dekady i jak niepostrzeżenie zamienia się w dzisiejszy dziki, sitcomowy brecht? Jak zanikają wielkie – Pilch by powiedział „epickie” – biusty, które jako żywo należą do sfery obyczajów, a nie biologii, bo w tej ostatniej nic tak szybko się nie zmienia? Ile zostaje cukru w cukrze? Bardzo niewiele. Ostatecznie po obyczajowej Hiroshimie wystarczy słodzik albo fruktoza. A jesteśmy wciąż przed ostatecznym bombardowaniem. Całkowity zakaz palenia w knajpach wciąż przed nami... U Formana i Kondratiuka wieś to była enklawa

niedojrzałości i w sumie – mimo wszystko – niewinności. Twórcy polowali na sytuację, w których bohaterki czuły się spięte, nie były sobą, usiłowały zatuszować jakoś poczucie niższości i w konsekwencji stawały się sztywne i pretensjonalne. Grały, ale grały źle i przed zdecydowanie złą publicznością („doktor”, „magister” – to były takie same role i kłamstwa!). Przed publicznością również skrępowaną, źle ubraną i przerażoną sytuacją podrywu. Zderzenie wsi i miasta to było spotkanie dwóch kompleksów, dwóch niższości.

Przerażeni chłopcy podający się za doktorów, magistrów i inżynierów podrywają trzęsące się ze strachu dziewczyny, które mówią prawdę, za nikogo poza sobą się nie podają, ale też stroją minki i uśmiechają się przymilnie, lecz sztucznie. Gombrowiczowska to gęba! Bo na samym dnie tego wszystkiego czai się seks, to jego tak się boją źle ubrani chłopcy i grubawe panienki ze wsi, to dlatego tak zmieniają temat i w ogóle to powinni już iść... Nie było wcześniej ogłoszenia w Internecie, nie było dokładnego ustalenia, co lubimy, ile za to chcemy, nie świat to galerianek. Bo też jest to seks absolutnie poza największym fetyszem naszych czasów, poza konsumpcją, nieupłatany ani w galerię sklepów, ani w rynek strojenia się i pindżenia przed spotkaniem, wcierania i trenowania. Dlatego oni tacy niezrobieni, tacy naturalni i niezgrabni! Nieopancerzeni. Żaden Dolce & Gabbana nie dodaje im pewności siebie na tej randce. Pot nie jest uperfumowany, a jedyne, co wciąż się ukrywa, to ten nieszczęsny powód spotkania, ten straszny seks, który oby jak najpóźniej, a najlepiej w ogóle...



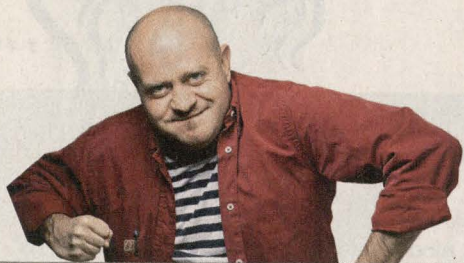


ROMAN KURKIEWICZ

LEWO  
MYŚLNI

# Tysiąc osiemset znaków

Nadszedł dzień dawania znaków. Zamiast rad dam wam znak



Felietonista to najpiękniejszy zawód świata, nawet jeśli jemu samemu i wszystkim innym sprawia zawód. Jest to ten rodzaj działalności, w którym można pisać rzeczy ważne i pies z kulawą nogą nie zwróci na to uwagi. Można też pisać głupoty, potwarze i banialuki i cieszyć się niewygaszalną sławą. Przeważnie jednak obojętność dotyka felietonistki i felietonistów po równo brakiem zainteresowania. Kiedy felietonista widzi, że nawet gdy napisze nie wiadomo co, to panuje owa puszczańska cisza, owe pustynne zawieszenie głosu, owa bezmierna cisza nieskończonych pascalskich przestrzeni, wtedy z rozpaczki bierze się do metafelietonistyki, czyli pisania o felietonie. Że trudno. Że kiedy wszyscy są odwrócenii, to należy ten stan nieczytania i niereagowania pokochać. Że nie musi się pastwić nad niedoszłym prezydentem, bratem prezydenta, który odszedł, bo okazuje się, że przez te miesiące, kiedyśmy mogli go wybrać i o mały włos nie wybrali, on przebywał w krainie odurzenia silnymi środkami. Odurzeni tą wiedzą rzucamy temat w ką. Nie pastwimy się nad innymi, nie pytamy, dlaczego akurat 24 września dowiemy się, czy powstaną z zartu, bo ich dręczy krzyż, którego nie ma tam, gdzie był, a zdecydowali o tym prezydenci obecni i dawny.

Należy pisać o kwestiach nawet nie warsztatowych, bo skromność nie pozwala przyznać, że być może warsztat jakiś się ma... Ale jest nowa szata graficzna „Przekroju”. W tej szacie rozważania tego felietonisty będą liczyć (precyzyjnie mówiąc: już dzisiaj liczą) tysiąc osiemset znaków. Ileż da się powiedzieć! A ileż przemilczeć! I ważnych, i błahych kwestii. Zaczynamy już dzisiaj dawać wam znaki. Ten był pierwszy. Jeszcze pozostałe tysiąc siedemset dziewięćdziesiąt dziewięć. Wytrwajcie!

## NIE TAK JANEK KOZA



MYŚLNIK KRZYSZTOF BILICA

Nie łudźmy się: obracamy się w świecie iluzji.

## JOLKA NR 38

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

E10 D5 G8 • D10 I4 C1 A6 K9 I2 C9 G5 J8 J2 • J12 C2 • E5 K11 F12 K2 J10 D11 B8 / J5 G9 • F1 C5 D7 K7 B12 F8 • I11 C6 B9 D12 K10 • G6 A7 F3 E8 • I2 J3 G11 B10 • H4 E2 B3 G10 I6 D1 • A11 I9 E1 A3 H10

### Wyrazy 11-literowe:

- NAJZABAWNIEJSZE NIEDOPATRZENIE
- ZWIĄZANE Z JOGGINGIEM

### Wyrazy 8-literowe:

- ŚREDNI PRZED NIM
- LUBI CZYSTOŚĆ

### Wyrazy 7-literowe:

- LEŻY, CHOĆ MÓGLBY KOPAĆ

### Wyrazy 5-literowe:

- OPIŁYWA W MAZURY
- WIĘDNĄ W BARSZCZU
- DON EGO • LÓD NAD GŁOWĄ
- Z CZYM KOŃ WYSKOCZY
- KLUSKI Z WĘGLEM
- WIĘCEJ ŚMIECHU NIŻ GRZA
- URADOWANY PIOTR

### Wyrazy 6-literowe:

- W TO MI TKAJ
- KRAJĄ KRAJE
- W ODKRYWCE ESTETY
- APACZ DLA DZIEWCZYNY

### Wyrazy 4-literowe:

- SREBRNE JAK MALINY
- WIKTORIA ŚLEPEJ KURY

### LAUREACI Z NR. 34

Krzyżówka: Irena Frolowicz, Gliwice; Ewa Grochowicz, Wałbrzych; Filip Klepacki, Kraków; Piotr Sosnowski, Warszawa; Janusz Woźniak, Bystrzyca Kłodzka

### Jolka:

Leszek Jankowski, Kalisz; Andrzej Kozarzewski, Pułtusk; Leon Matkiewicz, Kędzierzyn-Koźle; Justyna Urbaniec, Wieliczka; Joanna Ziółka, Lublin

### ROZWIĄZANIA Z NR. 36

Krzyżówka: KILOWAT Poziomo: 1. wynik zbliżenia – kompromis 7. wyrób czekolado-podobny – baton 8. jeży włos – koleś 9. pan i władca – lord 10. ale urwał tatar – hejnał 12. skrzyp domowy – zawias 14. końbatant – ułan 17. złote ropy – wrzód 18. zamek na wzgórku – suwak 19. o kulach po kulach – kombatant; Pionowo: 2. w Warszawie i w Lublinie – motor 3. stręła gazy – rana 4. ojciec szelki – mikser 5. izba przyjęć – salon 6. nauka języka obcego – pocalunek 7. czerwony jak

cegła – bolszewik 11. dwaj murzyni na pustyni – tandem 13. dziecko w drodze – wózek 15. miejsce do parkowania – ławka 16. przewa na papierosa – usta

Jolka: SZŁA JADWIGA POD WIECZÓR, SZŁA JADWIGA NA NIESZPÓR (z piosenki Jacka Kieja) Rzedami: wywiad, zburze, drożdże, miks, gryziółek, linoskoczek, ania, dźwięki, wiązki, banyta, Kolumnami: gęś, kulig, kranówka, irysy, zastępy, wędki, oliwa, wdowiec, zając, andersen, kiki, lezka.



## Wall Street: Pieniądz nie śpi

Występują: w roli ucieleśnionej przyczyny światowego kryzysu ekonomicznego – GORDON GEKKO, a w roli bankierów z Lehman Brothers – PUBLICZNOŚĆ

GORDON GEKKO: – Taaak... Hm... Jakby to... (chrzęka) Otóż gdy 23 lata temu mówiłem, że chciwość jest dobra, miałem na myśli, że... (ociera pot z czoła) Krótko mówiąc, nie zrozumieliśmy się.

PUBLICZNOŚĆ: – O rany.

GORDON GEKKO: – No właśnie... (Konsternacja. Panika. Samobójstwa)

Kurtyna – z powodu ostrych cięć budżetowych – nie zapada.

## JEDNO DANIE ADAMA GESSLERA

Dziś zaczniemy od obiecanego dokończenia przepisu na śledzie marynowane w oleju lnianym (część pierwsza w poprzednim numerze „Przekroju” bądź na stronie [www.wscieklegary.tvp.pl](http://www.wscieklegary.tvp.pl))



Po przeczytaniu poprzedniego mojego tekstu pan Krzysztof Nowina-Konopka przysłał mi następujący list.

Wielce Szanowny Panie, przekazuję Panu bardzo dobry przepis na śledzie z imbirem, które nazywamy u nas w „Nowinie” śledziami Michała.

### SKŁADNIKI NA 10 PORCJI:

- 600 gramów matiasów
- 80 gramów (po obraniu około 60) świeżego imbiru
- 290 gramów cebuli
- 60 mililitrów soku z cytryny
- 80 gramów cukru kryształu
- około 100 mililitrów oliwy z oliwek z pierwszego tłoczenia (tak by śledzie były przykryte)
- płaska łyżeczka mielonego czarnego pieprzu

Śledzie moczymy około 30 minut w 5 litrach zimnej wody. Imbir i cebulę kroimy w bardzo drobną kosteczkę. Wyciskamy sok z cytryny i mieszamy go z cukrem i pieprzem. Namoczone śledzie kroimy na kawałki o długości 2–2,5 centymetra, mieszamy z cebulą i imbirem, dolewamy sok z cytryny z przyprawami. Całość polewamy oliwą i układamy w szklanym naczyniu. Śledzie są gotowe do spożycia po 24 godzinach. Podawać można z chlebem lub ze specjalnie przygotowanymi pieczonymi ziemniakami. Ziemniaki po obraniu i wyjęciu z wody obtoczyć w mące, lekko posolić, jeśli ktoś lubi, dodać odrobinę kminku, ułożyć na blasze i upiec w piekarniku.

Życzę, żeby wszystkim smakowało. Łączę wyrazy szacunku i serdeczności. Krzysztof Konopka.

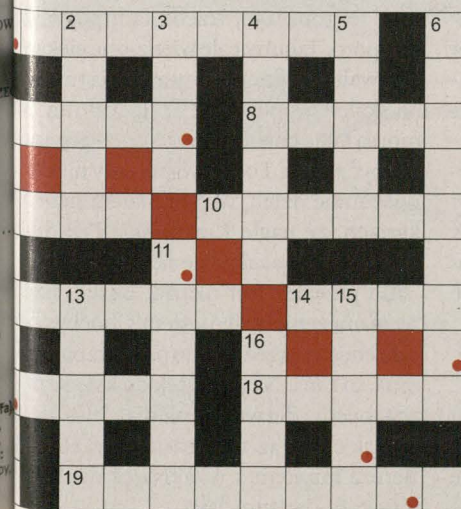
Spróbowałem. Genialne. Jak wszystko w „Nowinie”. Jedzenie, Państwo, moje i jego śledzie. A za tydzień o pana Krzysztofa i moim ukochanym daniu. Będzie pysznie.

Program Adama Gesslera „Wściekle gary” oglądajcie w sobotę w Jedyńce TVP o godzinie 17.20.

Przygotowuje: Zespół KALIBER 45

## KRZYŻÓWKA NR 38

ery z oznaczonych pól czytane ziomu utworzą wyraz-rozwiązanie.



### POZIOMO:

1. KIM ON JEST
7. DZIEWCZYNA PRZED WAGĄ
8. Z PROCHU POWSTAŁA, W PROCH SIĘ OBRÓCI
9. CZŁOWIEK W BIELI
10. FORMACJA HEAVYMETALOWA
12. TEJ ZIEMI
14. SELIAL O HYDRAULIKACH
17. OZNACZA PRAWDĘ
18. WSPOMNIENIE PO LODZIE
19. SERWISANT

### PIONOWO:

2. NAJWYŻEJ ZOBACZYSZ
3. NIESKŁONNY DO WYNURZEŃ
4. AKTOR BEZ TWARZY
5. I AZURY
6. MÓWI, CO ROBIĆ
7. DZIAŁA NA NERWY
11. NN
13. Z KURKI NA PAZURKI
15. MA POZYCJĘ W KWACIARNI
16. STATYSTYCZNIE NAJWAŻNIEJSZA IMPREZA



Nagrodą w tym tygodniu jest płyta Beady Belle „At Welding Bridge” (Universal Music Polska).

### Wygraj jedną z 10 płyt.

Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 38” lub „krzyżówka 38”.

Na prawidłowe rozwiązania czekamy do 27 września 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy wystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również zgłoszenia ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.



11 WRZEŚNIA

Z doktorem K. muszę przestać umawiać się na ścisłą godzinę, muszę wrócić do dawnego – zarówno dobrze pojmowanym egalitaryzmem, jak i wiadomymi atawizmami naznaczonego – obyczaju: przychodzę, a tu poczekalnia pełna. Kto z państwa ostatni? Pani? Doskonale, dziękuję.

Nie, żebym gustował w bratanii się z towarzyszami niedoli, nie, żebym smakował wzajemne omawianie mniej lub bardziej analogicznych dolegliwości, nie, żebym sycił się odnajdywaniem nowych koleżanek czy kolegów, którzy mają „dosłownie, ale to dosłownie te same objawy”.

W kolejce do neurologa takie rytuały są zresztą umiarkowane, by nie rzec: nie ma ich prawie wcale; bractwo tak się trzęsie, że raczej się skupia, niż rozprasza; raczej zapada w sobie, niż ekstrawertyzuje; raczej uważa, by od zbytecznego – zawsze przecież jakimiś ruchami wzmaganego – gadania przed samym wejściem do gabinetu nie rozlecieć się do reszty. Nawet jeśli są między nami jacyś bajeranci, nawijacze czy inni urodzeni gawędziarze, to artykulacja poszła im w gestykulację.

Siedzimy w poczekalni i wyglądamy jak zespół koncentrujących się przed występem mimów – ten próbuje jeszcze poprawić ruch łokcia, ów kolana, tamten głowy, prawie wszystkim ręce zrywają się do lotu. Wspólnota jest, ale nie kusi; przyjemnie wiedzieć, że roztrzęsionych cała kupa, nic nowego pod słońcem; wspólnoty nigdy jednak nie były moją mocną stroną, stroniłem nawet od upajających.

Inny i na wskroś indywidualny jest powód mojej tęsknoty za pełną poczekalnią u lekarza – otóż jest to obecnie jedyne miejsce, w którym stosunkowo często bywam najmłodszy.

Każdy trzyma się takiego przyczółka, jaki się przed nim pokazał. Niedawno byłem jednym z najmłodszych asystentów w dziale polonistyki, potem należałem do „młodej redakcji” „Tygodnika Powszechnego”; niepostrzeżenie i krótko, ale przynajmniej ze dwa lata byłem „młodszym literatem” – teraz roztrzęsionymi łapami trzymam się juniorskiego stolka w przedsionku dla pacjentów.

A i to żadna zasada, wystarczy, że – tak jak dziś – przyjdę na godzinę – pocieszcicielskiej skali porównawczej nie ma. Poczekalnia pusta, ktoś zostawił laskę, co twardo o roztrzęsioną ziemię wesprzeć się pomagała, pod sufitem cień zapomnianego parkinsonizmu, właściciel sam się znajdzie. Rychlej, niż mu

się w obecnej euforii – chyba mi przeszło! – wydaje. Nawet papież wiadomą dolegliwość wyleczył przelotnie – niestety, miewa ona i bez świętej interwencji zwodnicze kaprysy – w tym przypadku jakież zawstydzające korowody! Cóż z tego, że teologiczno-medyczne! Samo przeszło? Skądże samo! Ale wróciło! Samo nie przeszło, a co do powrotu, to zobaczymy; może jeszcze raz ni stąd, ni zowąd przejdzie. Ni stąd, ni zowąd? Jak zwał, tak zwał – byle przeszło; z braku laku i cud dobry.

12 WRZEŚNIA

Doktor K. ma w oczach spokój specja, który widział niejedno, może nawet wszystko. Jasnobłękitne spojrzenie rzadko bywa przenikliwe, ale jak już, to na wylot, plus pogoda ducha i bielutki łeb – w moich stronach taki



*Inny powód mojej tęsknoty za pełną poczekalnią u lekarza – otóż jest to obecnie jedyne miejsce, w którym stosunkowo często bywam najmłodszy*

lekarz byłby mitem, pieśni by o nim śpiewano. Pogawędziliśmy ze zwykłą rzeczowością; jak na razie cztery powody sprawiają, że z powolnego, flegmatycznego, a nawet nieco ospałego zawodnika stałem się dynamicznym facetem w wiecznym i coraz bardziej wszechdobylskim ruchu. Jeden powód do wyhamowania, drugi do powściągnięcia, trzeci do zatrzymania, na czwarty na razie nie ma rady, ale i tego nie rozstrzygamy; trzeba cierpliwości. Z cierpliwością najgorzej, cierpliwy to ja byłem w poprzednim wcieleniu, teraz gestykulacja tak porywcza, że sam nie wiem, jaką myśl wyprzedza. Ale idzie. Powoli, ale idzie. W kluczowej kwestii pół roku przeszło. Domyślcie się jakiej. Jak nie, to strzelcie banię dla rozjaśnienia umysłu i za moje zdrowie.

Za kolejne pół roku będziemy wiedzieć więcej. Bez równie zgranych co kokietyrnych fraz typu: jeśli dożyjemy. Dożyjemy. Czas teraźniejszy przestał istnieć, ale życie się zaczyna. Wieczór usnąć i nie móc się doczekać przebudzenia.

13 WRZEŚNIA

Oprócz przyjemnej okoliczności, że bywam w poczekalni młodzikiem, lubię też wizyty u doktora K. z powodu pory – to jest zawsze najpóźniej pierwsza w południe, czas, w któ-

rym ja rzadko, bardzo rzadko bywam na ście. Do tego to samo centrum, okolice, skręcam w lewo i słynnymi schodami przy nasach wylazę – zdaje mi się – na powierzchnię miasta, na Nowy Świat, na Krakowskie i mal do zwiedzania się zabieram! W dobie humorze, powody wyliczyłem, a generalnie da się wręcz w maksimum ułożyć: jak m sześćdziesiątkę na karku i po wizycie u doktora na własnych nogach wracasz do domu – możesz nie tylko iść, ale i skakać.

Ale teraz? Ale w minioną sobotę czy wogóle w te dni przedostatnie! Idź tu, chłopie, i spaceruj, i biegaj, i skacz radośnie! Badaj, jak o niezwyklej porze świat wygląda! Ganiaj i wewte! Zwłaszcza po Krakowskim!

Tam dopiero dygot! Tam dopiero rozednie! Tam dopiero choroba! Tam dopiero dnie samoistne, tam dopiero hipoglikemia, dopiero stwardnienie rozsiane, tam dopiero basedow! Tam dopiero wszelkie możliwe sekwencje przedawkowania środków podających, ze Słowem Bożym na pierwszym miejscu. Mało kto wytrzymuje konsekwentnie upojenia religijnego. A ci, co dzień i z krzyżem muszą obcować? Spróbujcie im zabrać! Każcie im go odstawić – zobaczcie, co to jest – doskonale nie tylko medycy, znany „zespół odstawienia krzyża”!

Nie tyle zobaczcie, ile od wielu tygodni możecie te symptomy śledzić; w sercu sto dzień w dzień drgawki, paraliże, mdłości, bezsenne majaczenia, zimne poty, białe noce, ataki furii i inne deliria. A po zbawieniu, przyjęciu, choćby tylko małego kłosa męki pańskiej, jakież euforie, jakież błogosławione błogostany, jakież przyływy siły i jak wszechmoce!

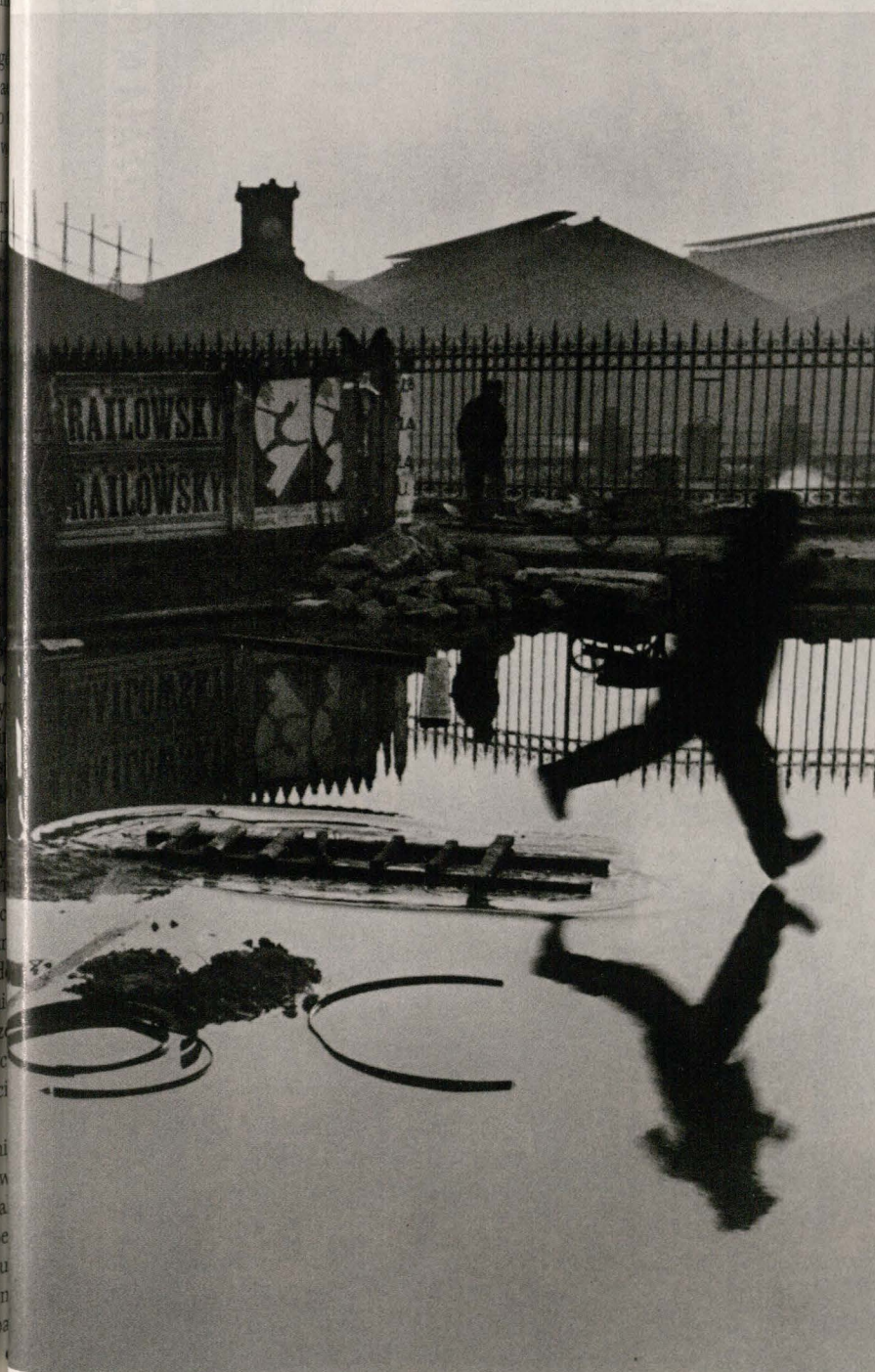
Ale by tego dotknąć, trzeba to zobaczyć, a by to zobaczyć, trzeba tam pójść – mój niesporo. Tabuny całe wiedzione ciekawością tam wał; z jednej strony atrakcja turystyczna na skalę europejską, z drugiej strony wierność: są takie chwile, kiedy My, Polacy, pragniemy być razem. I od tej wspólnoty nieskończoność mnie dzieli, wspominałem już na tych kartach, że nagle Krakowskie Przedmieście nie wiadomo jak dalekie się stało.

Ale przecież jest okazja! Blisko, fizycznie blisko jestem! Choćby poznać, choćby przez rozum pójść trzeba. OK, ja mus, to mus. Na początek do księgarni Libe wstąpiłem i dla wzmocnienia „Historię tortur chińskich” oraz tom rozmów z Henrykiem Berezą kupiłem, i w taki oręż ducha zaopatrzywszy – ruszam dalej.

## Ten moment

W fotografii nie wystarczy talent, musi go wspomóc technologia. Technologia też sama z siebie nic nie da, ktoś musi umieć ją wykorzystać. Historia o tym, jak Henri Cartier-Bresson spotkał leicę

UBA DĄBROWSKI



**R**ok 1932, Francja. Henri Cartier-Bresson ma 24 lata i dobre perspektywy. Jego rodzice są potentatami branży tekstylnej, chłopak nie musi przejmować się prozą życia. Trochę maluje i pisze. Właśnie wrócił z rocznej podróży po Afryce. W Wybrzeżu Kości Słoniowej kupił sobie pierwszy aparat i zapas klisz. Po zejściu na ląd w Marsylii zanosil filmy do wywołania. Okazuje się, że do aparatu dostało się błoto i z całego materiału ocalało jedynie siedem zdjęć. Tego samego dnia zawiedziony początkujący fotograf sprawia sobie lepszy sprzęt – leicę. Produkcowany zaledwie od dwóch lat niemiecki aparat to rewolucja na rynku – jest lekki, prosty w obsłudze, cichy i szybki. Bresson i leica to miłość od pierwszego wejrzenia: – Ten aparat stał się przedłużeniem mojego oka, od kiedy go znalazłem, nigdy się z nim nie rozstałem.

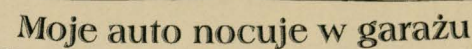
Z leicą pod pachą Bresson zaczyna przemierzać ulice Paryża. Srebrne elementy aparatu zamalował na czarno, żeby przedmiot nie rzucał się w oczy. Czas otwarcia migawki nastawia na 1/125 sekundy, przysłonę na 8 – zawsze jest gotowy do strzału, wystarczy, że przyłoży aparat do oka. – Czułem się jak myśliwy – wspomina. Nie interesuje go, co robią inni fotografowie, jakie są tradycje tej dziedziny sztuki. – Chciałem po prostu łapać życie i zamknąć je w pojedynczych kadrach.

Krążąc w okolicach dworca Saint-Lazare, zagląda na ogrodzony deskami plac budowy, dostrzega mężczyznę biorącego rozbieg przed skokiem przez ogromną kałużę. – Przerwa między deskami była zbyt mała, żeby zmieścić w niej obiektyw. W oryginalnym ujęciu z lewej strony wchodzi w kadr trochę deski – opowiada fotograf. Powstaje zdjęcie, które za kilka lat stanie się podręcznikowym przykładem opracowanej przez Bressona teorii decydującego momentu: – Twoje oko musi zauważyć kompozycję albo sytuację, którą oferuje życie. Palce muszą zareagować i nacisnąć migawkę. To jest ten moment, w którym fotograf jest kreatywny. Jeden moment! Przegapisz go i nigdy się nie powtórzy. ●





Kraków, ul. Poznańska



[www.mieszkaniowy.as](http://www.mieszkaniowy.as)





**Szanuj ojca swego i matkę, a kredyt hipoteczny powierz doradcom ING.**

Nasi doradcy: ■ Dojeżdżają ■ Załatwiają: wypis z księgi wieczystej, wniosek o wpis hipoteki, deklarację do urzędu skarbowego, wypełniają wniosek o kredyt ■ Prowizji nie pobierają  
Umów się na spotkanie: 801 111 888, [www.ing.pl](http://www.ing.pl)

RRSO na dzień 5.09.2010 r. wynosi 6,33%. Do obliczenia przyjęto: oprocentowanie nominalne: 6,15%, kwotę kredytu: 60 000 zł, prowizję za udzielenie: 0% (pod warunkiem założenia konta osobistego w ING Banku Śląskim S.A.), opłatę za weryfikację wartości zabezpieczenia: 230 zł, okres spłaty: 15 lat, spłata rat w równej wysokości, LTV: do 80%, opłata sądowa i PCC: 319 zł. Aktualne RRSO na [www.ing.pl](http://www.ing.pl)

**ING BANK ŚLĄSKI**

**ING** 

[www.ing.pl](http://www.ing.pl) 801 111 888